



ŚWIADEK

V IV III II I II III IV V VI VII VIII IX X XI XII XIII XIV

SWIADEK?

GÜNTER KRIEGER

Moim Rodzicom

GUNTER KRIEGER

ŚWIADEK

V IV III II I III III IV V VI VII VIII IX X XI XII XI

ŚWIADEK

Przełożył
Kamil Markiewicz

Stało tam naczynie napelnione octem. Zatkanwszy więc gąbkę pełną octu na włączni, podali Mu do ust.

J 19,29

Prolog

Jan, którego nazywano Chrzcicielem, nosił odzienie utkane z sierści wielbłądziej i skórzany pas na chudych biodrach. Kiedy Maria ujrzała go stojącego w płytkich wodach Jordanu, w pierwszym odruchu najchętniej by uciekła. Ale kogo się w końcu spodziewała? Człowieka w wytwornych szatach? Ludzie uważali go za proroka, niektórzy nawet za Mesjasza. Maria ustawiła się więc w kolejce tych, którzy przybyli, żeby dać się Janowi ochrzcić na odpuszczenie grzechów.

Kiedy usłyszała jego naukę, zrozumiała, że był naprawdę wyjątkowym człowiekiem. Jan głosił, że bliskie jest królestwo Boże, a gdy mówił, głos mu drżał, jakby Jana przepełniał gniew.

– Przynoście więc owoc godny nawrócenia, a nie wmawiajcie sobie: Abrahama mamy za ojca! – wołał. – Z tych kamieni Bóg może dać synów Abrahamowi!

Nie wszyscy przyszli po to, żeby się ochrzcić. Maria zauważyła stojących w pewnym oddaleniu wysłanników kapłanów z Jeruzolimy. W pewnej chwili jeden z nich wystąpił do przodu i zwrócił się bezpośrednio do Jana:

– Powiedz nam otwarcie i bez przymusu, Janie, synu Zachariasza: Czy jesteś Mesjaszem?

Chrzciel ze spokojem spojrzął w oczy czujnego pytającego.

– Nie, nie jestem – odpowiedział.

– Kim więc jesteś? Musimy dać odpowiedź tym, którzy nas wysłali!

– Jestem tylko głosem na pustyni, a głos ten woła nieustannie: Przygotujcie drogę dla Pana!

– W takim razie jesteś prorokiem, tak jak Eliasz i Izajasz? – tamten nie dawał za wygraną.

– Jestem tym – oznajmił Jan – który idzie przed Panem. Ja chrzczę wodą, ale za mną idzie Ten... On jest już pośród was... który was będzie chrzczył ogniem Ducha Świętego. Ja nie jestem godzien rozwiązać rzemienia u Jego sandałów. W rękę trzyma sito, którym oddzieli ziarno od plew!

Wysłannicy odeszli na bok, żeby się naradzić. Maria stwierdziła, że wyglądają na dość bezradnych. Teraz jednak nadeszła jej kolej na chrzest. Dwóch uczniów Jana wprowadziło ją do rzeki, aż do miejsca, w którym woda sięgała jej prawie do bioder.

Jan objął kobietę ramionami.

– Nawróć się, córko Abrahama, bo bliskie jest królestwo niebieskie!

Maria zdjęła chustę okrywającą głowę i trzykrotnie się zanurzyła. Kiedy po obrzędzie uczniowie podeszli, żeby wyprowadzić ją z wody i wprowadzić kolejnego oczekującego, zdobyła się na odwagę i powiedziała do Jana błagalnie:

– Ochrciłeś mnie, święty mężu, ale moje pragnienie nie zostało zaspokojone. Demony wciąż jeszcze we mnie są!

Chrzciel spojrzął jej badawczo w oczy.

– Kiedy staniesz przed swoim wybawcą – powiedział tak, jakby widział

Świadek

przyszłość – rozpoznasz Go, a demony w jednej chwili cię opuszczą!

To brzmiało jak obietnica. Maria z Magdali, pocieszona, ruszyła w drogę powrotną.

Laureolus

Wy jesteście solą ziemi, a jeśli sól utraci swój smak, to czym go przywrócić?

Mt 5,13

III II I III III IV V VI VII VIII IX

1

W piętnastym roku panowania Tyberiusza

Gelon miał już dość starych dramatów i tragedii. Był przekonany, że ludziom w Tyberiadzie one również już się opatrzyły i że widzowie zasługują teraz na coś innego. Choć teatr zazwyczaj był wypełniony do ostatniego miejsca, to Gelon czuł jednak, że nadszedł czas na coś nowego. Ajschylos i Sofokles już się przeżyli, nużyły również – jeżeli się je obejrzało dwa lub trzy razy – komedie Menandra.

W Seforis, gdzie niedawno odwiedził krewnych, jakby łuski spadły mu z oczu. Jakże byli zacofani tutaj, w Tyberiadzie! W Seforis Gelon ujrzał spektakle, które wcześniej bałby się wystawiać ze swoją trupą aktorską. Rzymianie być może nie cechowali się tak wysoką kulturą jak Grecy, ale potrafili znakomicie zabawiać widzów. Nie przejmowali się estetyką czy ambicjami, uwielbiali po prostu rzeczy nieoczekiwane, improwizację na scenie. Mimowie nie zważali na obyczaje i piękno języka; zresztą po łacinie – jak uważał Gelon – wszystko brzmiało wulgarnie. Na potrzeby greckiej wersji zmieni parę szczegółów, z masek w dużej mierze zrezygnuje.

Przedstawienia, które oglądał w Seforis, początkowo wprawiały go – choć wcale nie był pruderyjny – w pewną konsternację; kiedy jednak

przyjrzał się reakcji widzów, którzy ze śmiechu uderzali się dłońmi po udach i ocierali łyzy, postanowił, że skończy z zafaniem na tyberiadzkiej scenie. Nadszedł czas, żeby oferować ludziom wesołą rozrywkę, a nie smutek i śmiertelną powagę. Gelon musiał tylko przekonać do tego swoich czterech mimów, a wówczas będą święcić nowe, wspaniałe triumfy.

Po powrocie do Tyberiady natychmiast zorganizował spotkanie z aktorami. Cała czwórka usiadła na pustych rzędach amfiteatru, w części, na którą rzucało już cień zachodzące słońce. Gelon stanął przed nimi z miną ważniaka.

– Odtąd będziemy grać tak jak Rzymianie! – To zabrzmiało jak rozkaz, bo Gelon nie miał też zamiaru przeprowadzać na ten temat dyskusji. Był w końcu szefem trupy. To on decydował, co grali, bo odpowiadał też za swoich mimów. Teraz z entuzjazmem opowiedział im o spektaklach, które obejrzał w rzymskim teatrze w Seforis.

– A więc świńskie kawały i dużo hałasu – stwierdził sucho Selenos. Był najstarszy w trupie, miał około czterdziestu lat, a więc o kilka więcej niż jego zwierzchnik.

– Tyberiada jest spragniona świeżych komedii! – odpowiedział niezrażony Gelon.

– A co z Charesem? – Selenos był zdania, że i właściciel teatru ma coś do powiedzenia.

– Już z nim rozmawiałem. Zgadza się na wszystko, co tylko napelni mu sakwę. Stefatonie, a co ty o tym sądzisz? – Gelon zwrócił się do kolejnego członka trupy.

Choć nie zamierzał pozwolić, by ktoś kwestionował jego decyzję, to ciekawiło go, co powie jego najlepszy aktor. Stefaton, syn architekta, ulubieniec publiczności, obdarzony wielkim talentem i męską urodą, był w Tyberiadzie sławną postacią. Właściwie nie mógł wyjść na ulicę, żeby ktoś go nie zagadnął. Stefaton nie potrafił wyjaśnić fenomenowi swojej sławy, ale Gelon i inni towarzysze stale zapewniali go bez zazdrości, że uwielbienie widowni zawdzięczał wyrazistej i wiarygodnej grze, a w przypadku kobiecej części publiczności – również ciemnej, bujnej czuprynie i wspaniałej budowie ciała.

– Gdybyś nie był mimem – mówiła do niego niekiedy żartem Eugenia – mógłbyś pozować rzeźbiarzom jako Herakles, Achilles czy inny chwalipięta! – Stefaton miał zaledwie dwadzieścia lat, ale dla Gelona był nie do zastąpienia.

Młody aktor zastanawiał się nad słowami Gelona.

– Nie wiem – powiedział ostrożnie, bo nie chciał rozżłościć impulsywnego pryncypała. – W Tyberiadzie Rzymianie są mniejszością, a nie jestem pewien, czy Grekom spodoba się, kiedy nagle zaczniemy wystawiać zupełnie inne sztuki.

– Bzdura! – zawołał z pasją Gelon. – Będą zachwyceni. Nadszedł czas na coś nowego. Tych przeklętych wojen z Persami wszyscy mają już po dziurki w nosie!

– Nie wiem, czy potrafię grać role komiczne – wtrącił się Szapur. Muskularny Syryjczyk, jedyny nie-Grek w zespole, wcielał się zwykle w postaci ponurych łajdaków, ale i poza sceną rzadko na jego twarzy widziało się uśmiech.

Gelon przewrócił oczami.

– I ja mam co do tego wątpliwości, Szapurze. Ale nawet w głupich farsach potrzebne jest takie beztalencie jak ty, żeby inni aktorzy mogli błyszczeć! – oznajmił.

Szapur najwyraźniej nie odebrał tego jako obrazy, bo jak gdyby nigdy nic tylko wzruszył ramionami. Gelon spojrzął po kolei na swoich artystów.

– Co z wami? Czyżby strach was obleciał? Co z was za aktorzy, skoro boicie się nowych wyzwań?

Gelon zatrzymał spojrzenie na Eugenii, swojej towarzysze życia. Była surową pięknoscią; zbyt długi, nieco garbaty nos sprawiał, że jej widok nie zapierał od razu dechu w piersiach każdemu mężczyźnie. Kruczoczarne włosy kobieta nosiła kunsztownie upięte w wysoki kok.

– No już, otwórz swoje śliczne usteczka, moja nimfo – zachęcił ją Gelon. – I ty masz już przecież dosyć ciąglego grania kłótliwych bogiń i lamentujących wdów.

Eugenia zacisnęła usta.

– Przecież i tak już zdecydowałeś. Po co mnie jeszcze pytasz?

– Chcę wiedzieć, czy się ze mną zgadasz.

– Ach, to rzeczywiście coś nowego. Jak przypuszczam, w tych nowych widowiskach będę musiała jeszcze częściej obnażać ciało – powiedziała sucho Eugenia. – Wiemy przecież, jak to wygląda w teatrze rzymskim.

– Tak jakby robiło ci to jakąś różnicę!

– A Szapur będzie mógł mnie obmacywać ile dusza zapagnie, tak?

– Cóż, na scenie czasem trzeba robić rzeczy, które nie sprawiają ci wielkiej przyjemności – oznajmił Szapur ze spokojem, wywołując u innych gromki wybuch śmiechu. Uśmiechnął się nawet zwykle poważny Selenos.

– Mówcie o naszym Syryjczyku, co chcecie, ale jest wielkim mimem. Jeśli chodzi o mnie, to jest mi wszystko jedno, czy w przyszłości będę zarabiał na chleb sztukami Menandra, czy autorów tych rzymskich fars – oświadczył.

– No proszę! – Gelon przyjaźnie poklepał Selenosa po plecach. – Wiedziałem, że można na ciebie liczyć. No, nie bądź taki, chłopcze – zwrócił się do Stefatona. – Sprawi ci to przyjemność. Ludzie będą cię adorować jeszcze bardziej.

– Zwłaszcza szlachetna Fausta Decila – zauważyła wyniosłe Eugenia.

– Ta Rzymianka jest mi całkowicie obojętna – zapewnił Stefaton.

– Ach, prawda, przecież upatrzyłeś sobie tę Żydóweczkę. Jakże się to ona nazywała? Maria?

– Nie, ma na imię jakoś inaczej – wtrącił się Selenos.

– Czy nie wszystkie Żydówki mają na imię Maria? – nie ustępowała Eugenia.

– Przestań! – nakazał Gelon. – Gdybym nie znał cię tak dobrze, pomyślałbym, że jesteś zazdrosna.

– Jestem zazdrosna, i to jeszcze jak – odparowała aktorka. – Jeśli bowiem kiedyś szlag cię trafi, a mam nadzieję, że nastąpi to już wkrótce, schronię się pod skrzydła Stefatona.

– Kiedy trafi mnie szlag, będziesz już stara i siwa, moja nimfo. Dlaczego Stefaton miałby wtedy wybrać właśnie ciebie? Przecież może mieć każdą kobietę, na którą przyjdzie mu ochota – Gelon nie pozostawał jej dłużny.

Eugenia posłała Stefatonowi całusa.

Świadek

- Na to jest zbyt nieśmiały. Przynajmniej wtedy, kiedy akurat nie stoi na scenie – stwierdziła.
- Zamilcz, moja nimfo. Nasz Stefaton chce mi właśnie coś powiedzieć. No, mój chłopcze? Nie będziesz się chyba wyłamywał?
- Stefaton rozłożył ręce.
- A jeżeli nie spodoba się to ludziom?
- Spodoba się – zapewnił go szef. – A jeżeli nie, to znów zaczniemy grać stare sztuki, obiecuję!
- Potrzebowali Stefatona. To dla niego do teatru przychodziły tłumy. Sceptycyzm młodego człowieka miał tak naprawdę tylko jedną przyczynę: aktor bał się, że nowe spektakle nie spodobą się Sarze. Zachował to jednak dla siebie, bo w przeciwnym razie Eugenia znów zaczęłaby z niego podrwiwać. Nie chciał też, aby przez jego upór plan upadł. Mógł się zresztą walenie przyczynić do tego, żeby sztuki nie były zbyt frywolne.
- Niech będzie – oświadczył bez entuzjazmu.
- Gelon z radością zacisnął dłoń w pięść.
- Dobry chłopak! Uwierz mi, Menander, Eurypides i wszystkie inne truchła nie mają żadnej przyszłości! – wykrzyknął.
- A o jakiej sztuce myślałeś konkretnie? – chciał wiedzieć Selenos.
- Oczy Gelona zabłyszczały; szef trupy uniósł palec w geście triumfu.
- O zbójcy Laureolusie! – W kilku słowach opowiedział towarzyszom o widowisku, które obejrzał w Seforis.
- I to ma być wesołe? – zapytał z powątpiewaniem Stefaton.
- Gelon po kolei wycelował palcem wskazującym w każdego z aktorów.
- To wy macie sprawić, żeby było wesołe. Już od dawna potrafimy to, czym się teraz chwalamy rzymscy mimowie!
- A ja pewnie mam zagrać zbójcę? – domyślił się Szapur.
- Chciałbyś! W rolę Laureolusa wcielił się naturalnie Stefaton, to najważniejsza postać w całej sztuce.
- Ludzie raczej nie uwierzą, że nasz promienny młodzian to nikczemny zbójca – wyraziła wątpliwość Eugenia.
- Kto mówi, że Laureolus to łajdak? Trochę pozmieniam role. Niech nikt nam nie zarzuca, że imitujemy Rzymian – oznajmił chytrze Gelon.
- W takim razie chyba wszystko jasne – odezwał się Selenos. – Kiedy zaczynamy próby?
- Natychmiast! – Gelon klasnął w dłonie. – Już, ruszcie się! Zostały nam tylko trzy dni do przedstawienia i do sławy!

2

Brawom nie było końca. Nikt z publiczności nie wytrzymał na swoim miejscu, wszyscy wstali, wyciągali szyje, klaskali i krzyczeli, skandowali imię Stefatona. Porządkowi pilnowali, żeby żaden widz nie wdarł się na scenę, jak to się już w przeszłości zdarzyło. Z wielkim trudem udało się wówczas uratować gwiazdora trupy od uduszenia w kobiecych ramionach. A teraz młody aktor w dodatku bezradnie wisiał na krzyżu.

– Odwiążcie mnie! – zawołał do towarzyszy, ale ci wcale nie spieszyli się z pomocą. Przecież aplauz był skierowany także do nich, raz po raz kłaniali się więc wyjącej z zachwytu publiczności. W końcu Gelon, Selenos i Szapur zlitowali się nad skazańcem, wspólnymi siłami wyciągnęli krzyż z zagłębienia w ziemi, położyli go ostrożnie na scenie i rozwiązali sznury na przegubach Stefatona.

Przez ostatnie chwile widowiska młodzieniec czuł narastającą panikę. Z trudem oddychał, a jego kończyny przenikał straszliwy ból. Kiedy uwolniono go z więzów, czuł się jak sparaliżowany; nie mógł poruszyć nawet palcem. Męczyło go nieopisane pragnienie, za łyk wody oddałby wszystko.

– Wreszcie możesz przestać umierać – szepnął do niego z uśmiechem Gelon. – Już po wszystkim. Znów możesz żyć, niech cię fetują. Wstań, za służyles na to!

Gelon najwyraźniej był przekonany, że Stefatonowi trudno było rozstać się z rolą. Czy oni nie widzieli, jak bardzo cierpiał, jak bliski był śmierci?

– Pomóżcie mi wstać – wybelkotał.

Gelon i Szapur chwycili kolegę pod pachy, postawili w pozycji pionowej i dopiero teraz zauważyli, jak bardzo jest osłabiony. Wyglądał tak, jakby zaraz znów miał się przewrócić.

– Na syreny, przestań się słańać! – rzucił kątem ust szef trupy, nadal obdarzając rozkrzyczany tłum promiennym uśmiechem. – Przecież nie ukrzyżowaliśmy cię naprawdę!

Ciało Stefatona mówiło swemu właścicielowi co innego. Młody człowiek musiał się jednak wziąć w garść, bo w przeciwnym razie następnego dnia ludzie będą mówić nie o sztuce, lecz o jego wstydlivej słabości. Na szczęście poczuł powoli powracające siły vitalne. W końcu udało mu się pomachać do widzów, nie będąc podtrzymywanym przez swoich towarzyszy. Aplauz był ogłuszający, z pewnością słyszano go w całej Tyberiadzie.

Sara! Na próżno szukał jej wzrokiem na widowni. Czyżby już opuściła teatr? Od początku przeczuwał, że sztuka nie przypadnie jej do gustu. Potrafił to zresztą doskonale zrozumieć. Czy przynajmniej czekała na niego na zewnątrz? Myśl, że dziś może jej już nie zobaczyć, była równie straszna jak ukrzyżowanie.

Eugenia jakby znała myśli przelatujące mu przez głowę. Ujęła go za

rękę, żeby wspólnie uklonili się publiczności.

– Widziałam, jak wychodziła z teatru, kiedy skazano cię na ukrzyżowanie. Przypuszczam, że chciała oszczędzić sobie tego widoku. Jestem pewna, że cię kocha – oznajmiła.

To były najpiękniejsze słowa tego wieczoru, i w dodatku wyszły z bezwstydných ust Eugenii. Gdyby tylko były prawdziwe! Stefaton jeszcze nie wyznał Sarze swojej miłości otwarcie, ale był mocno zdeterminowany, by jak najszybciej to nadrobić. Właściwie cieszył się, że ukochana nie może go zobaczyć, jak ubrany tylko w śmieszny przepaskę na biodra i wysmarowany cielecą krwią daje się oklaskiwać rozentuzjzmowanemu tłumowi.

Kiedy owacje wreszcie ucichły, mimowie zeszli ze sceny i zniknęli w *skene*. Gelon był w wyśmienitym humorze.

– A nie mówiłem? – wiwatował. – Najwyższy czas na zmiany! Byliście cudowni, kochani, cudowni! – Porwał w ramiona rozradowaną Eugenię i zachłannie przycisnął swoje usta do jej ust. – Gdzie wino? – zawołał.

Bukłak z winem zagarnął Stefaton, żeby zaspokoić swoje nieludzkie pragnienie. Ponieważ młodzieniec chyba nie miał zamiaru przestać pić, Szapur w końcu wyrwał mu napój z rąk.

– Powoli, ukrzyżowany, twoim katom też się należy! – krzyknął. Pociągnął kilka łyków i puścił napój w obieg.

– Do naszego teatru będą ściągać wszyscy Grecy z Galilei – zapowiedział Gelon. – Przybędą nawet z tamtej strony jeziora. Trzeba będzie rozbudować teatr! – Z radości aż zaczęła tańczyć. – Rzymscy mimowie z Seforis w porównaniu z nami to dno, żałośni dyletanci. Będziemy grać co wieczór, co wieczór, rozumiecie? Zapragnie nas zobaczyć nawet stary Antypas, który tak długo nas ignorował. Stefatonie, mój złoty chłopcze, niech cię uściskam!

Młody człowiek cierpliwie znosił wylewne pieszczoty Gelona. Pozostało dla niego zagadką, skąd brało się przekonanie tamtego, że dzięki wystawieniu tej ordynarnej sztuki stali się pępkiem świata teatru. Ale myślałmi i tak był już zupełnie gdzie indziej; jeżeli Sara jeszcze jest gdzieś w okolicy, nie chciał, żeby musiała dłużej czekać.

W tej właśnie chwili do garderoby wszedł właściciel teatru, Chares. Był to mężczyzna drobnej postury, z manierami handlarza na bazarze.

– Gratuluję wspaniałego występu! – powiedział z namaszczeniem.

Gelon jowialnie chwycił go za ramię.

– Już słyszysz monety pobrękujące w twojej sakiewce, co, Charesie? – zapytał.

– Taki jest sens istnienia każdego teatru – oznajmił właściciel. – Na zewnątrz jest ktoś, kto chce rozmawiać ze Stefatonem – dodał.

– Nie dzisiaj – zaprotestował Gelon. – Mój najlepszy mim potrzebuje teraz trochę spokoju, widzowie muszą to zrozumieć!

– A jeśli to posłaniec szlachetnej Fausty Decili?

– A, to w takim razie rzeczywiście co innego. Z pewnością ten nieokrzesany olbrzym, jak mniemam. – Gelon puścił oko do obecnych. – Nie chcemy stracić życzliwości szlachetnej Fausty, nieprawdaż?

– W żadnym razie! – Eugenia posłała Stefatonowi współczujące spojrzenie. – Nie da ci spokoju, dopóki pewnego dnia jej nie uszczęśliwisz, chłopcze.

Kokolwiek miała na myśli, miody człowiek najchętniej by uciekł. I być może rzeczywiście by tak uczynił, gdyby nie czuł ciężkości członków po przebytych torturach.

Niewolnik szlachetnej Fausty Decili, były gladiator, przewyższał o głowę nawet Stefatona. Wszyscy wiedzieli, że Fausta lubi mieć wokół siebie dobrze zbudowanych mężczyzn. Zapewne był to – obok podziwu dla wspaniałej gry aktorskiej Stefatona – jeden z powodów wielkiego zainteresowania, jakie okazywała młodzieńcowi. Dotąd wyrażało się ono jednak wyłącznie w posyłaniu mu pieniędzy lub kosztów z owocami. Tym razem jednak ręce gladiatora były puste.

– Brennus! – Na twarzy Gelona wykiwnął wymuszony uśmiech. – Co nowego w krainie niezwykniętych bohaterów?

Mężczyzna nazwany tym imieniem nie obdarzył go jednak uwagą, lecz zwrócił się wprost do Stefatona.

– Szlachetna Fausta Decila chce cię widzieć! – oznajmił. Mówił w języku łacińskim, z twardym barbarzyńskim akcentem; prawdopodobnie był Celtem lub Germaninem, któż mógł odróżnić jednych od drugich? Stefaton wiedział, że każdy bogaty obywatel Rzymu, który choć trochę się szanował, zatrudniał pochodzącego z tych krajów osobistego strażnika. Również tetrarcha Herod Antypas utrzymywał kilku takich żołdaków.

Eugenia cicho gwizdnęła przez zęby, ale i tego gladiator zdawał się nie dosłyszeć.

– Oczekuje cię jutro o godzinie szóstej w swojej willi! – oświadczył.

Co ta Rzymianka sobie wyobrażała? Stefaton miał wielką ochotę przekazać jej przez tego mięśniaka, żeby z łaski swojej zostawiła go w spokoju, ale ostrzegawcze spojrzenie Gelona sprawiło, że zachował milczenie. Brennus zresztą i tak wcale nie czekał na odpowiedź, bo po prostu odwrócił się na pięcie i oddalił ciężkim krokiem.

Kiedy zniknął im z oczu, Eugenia zaczęła chichotać w kułak.

– Szlachetna Fausta Decila wspaniale się tobą zaopiekuje, szczęściarzu. Ma gorącą krew, mówię ci!

Stefaton spojrzał na nią gniewnie.

– Szkoda, że dla mnie to nie jest takie śmieszne! – fuknął.

– Nie musisz się przeciwieć z tego zwierzać twojej Żydóweczce. – Eugenia wyjmowała jedną po drugiej szpilki ze swojego olbrzymiego koka. Ciemna fala włosów opadła jej na ramiona. Kobieta konsekwentnie odmawiała noszenia peruk.

– I co, Laureolusie? Przyjmiesz zaproszenie? – zapytał Szapur z bezwstydną ciekawością.

– Nie, ty syryjski ośle! – krzyknął Stefaton.

– A właśnie że pójdziesz! – Słowa Gelona zabrzmiały jak rozkaz, których wydawaniem dręczył aktorów szef trupy. Zwykle kierował je do Eugeni i Szapura, czasem do spokojnego Selenosa, tym razem jednak specjalnym adresatem był Stefaton, najlepszy z jego mimów, co jeszcze raz dobitnie zostało potwierdzone po dzisiejszym przedstawieniu.

– Ach, tak? – Stefaton hardo podniósł głowę. – Od kiedy to decydujesz, Gelonie, z kim spotykam się poza sceną?

Gelon zrozumiał, że musi zachowywać się ostrożnie, mniej apodyktycznie. Im zdolniejsi byli aktorzy, tym bardziej wrażliwi – nikt nie wiedział o tym lepiej niż on.

– Chłopcze – powiedział łagodnie. – Przychylność Fausty może nam się tylko przydać. Jeżeli ją rozzłościć, przestanie przychodzić do teatru, a wraz z nią ci wszyscy, na których ma ona wpływ.

Selenos kiwnął potakująco.

– A nie jest ich mało! – dodał.

– Oni chcą przez to powiedzieć – wtrąciła kpiąco Eugenia – że jeśli nie będziesz chciał robić do Fausty słodkich oczu, wyschnie nam niejedno źródło pokaznych dochodów.

Stefaton z irytacją potrząsnął głową.

– Szlachetna Fausta jest przecież zamężna! Czego wy właściwie ode mnie chcecie?

– Zamężna! – parsknęła śmiechem Eugenia. – Oj, prawie o tym zapomnieliśmy!

Gelon położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie martw się tym starcem – powiedział. – Jego lędźwie są martwe jak padlina. Ich związek to małżeństwo z rozsądku: Cepio jest bogaty jak Krezus, Fausta oszałamiająco piękna, ot co. Ten stary grzyb już od dawna nie ma pojęcia, z kim się prowadzi jego żona. A jeśli nawet, to jest mu za pewne wszystko jedno.

– Ale czego ona chce ode mnie? – próbował się wykręcić Stefaton. – Ma przecież swojego gladiatora!

– Nie tylko jego – zaśmiał się Szapur.

Gelon głęboko zaczerpnął powietrza; musiał teraz zachować cierpliwość.

– Spójrz na swoich nieużytecznych kolegów. – Zatoczył ręką półkole. – Każdy oddałby dwie roczne gaże za to, żeby choć na jeden dzień móc zostać kochankiem Fausty.

– Pół rocznej gaży, nie więcej – zaproponował Szapur po krótkim namyśle.

– Bądź tak dobry i ją odwiedź – ciągnął Gelon błagalnym głosem. – Przecież cię nie zje. Fausta jest rozpuszczoną damulą. Kiedy dostanie to, czego chce, zostawi cię w spokoju. Takie już one są, te Rzymianki.

– Jak koty, którym po chwili przestaje sprawiać przyjemność dręczenie złapanych myszy – zawtórowała mu Eugenia.

– Jestem mimem, a nie chłopcem wykorzystywanym do realizowania chorych fantazji! – upierał się Stefaton, ale Gelon nie dawał za wygraną.

– Martwisz się na zapas! Fausta na pewno chce z tobą tylko pogawędzić albo wypić puchar wina.

Szapur już miał wybuchnąć głośnym śmiechem, ale Gelon posłał mu tak miążdzące spojrzenie, że mężczyzna stłumił wesołość.

– Idź do niej, nie dawaj jej powodu do gniewu! Zrobisz to? Dla mnie i dla nas wszystkich? Proszę cię, chłopcze! – zaklinał Stefaton Gelon.

Stefaton przygryzł kącik ust i spojrzał na Eugenię. Ta jedynie lekko skinęła głową.

– No dobrze już, pójdę. Dla was! – Bądź co bądź, zostało mu jeszcze dużo czasu, żeby obmyślić plan zachowania się wobec Fausty. – Ale nie myślcie, że może ze mną zrobić, co zechce!

Tym Gelon najmniej się przejmował. Ten, kogo Rzymianka omamiła, zapominał o swoich wcześniejszych zapewnieniach. Był jak Marek Antoni, kiedy spotkał Kleopatę.

– Dobry chłopak! – Szeł trupy zmierzwił kędzierzawą czuprynę aktora.

– Teraz muszę iść! – Stefaton zaczął się ubierać na tyle szybko, na ile pozwalały mu powracające siły. Jeżeli nie chcą zrobić z niego kaleki, przed kolejnymi widowiskami powinni laskawie wymyślić sposób na to, żeby ukrzyżowanie było dla niego znośniejsze. Eugenia pomogła mu założyć chiton, płaszcz i sandały.

– Dokąd to? – zapytał Gelon.

– A jak myślisz, ty nieromantyczny prostaku? – odpowiedziała za Stefatona Eugenia.

– Hej, Laureolusie! – zawołał Szapur, wymachując wilgotną gąbką. – Nie chcesz się umyć, zanim odwiedzisz swoją żydowską przyjaciółkę? Inaczej będzie się ciebie brzydzić!

– Daj! – Eugenia wyciągnęła dłoń po gąbkę i jako tako starła z twarzy Stefatona cielejącą krew. Jak zwykle okazywała młodzieńcowi wielką życzliwość. Na zakończenie pocałowała go w czyste czoło.

– Idź, mój drogi! – zachęciła go. – Zanim się ściemni!

– I pamiętaj...

Zanim jednak Gelon zdążył wypowiedzieć zdanie do końca, Stefatona już nie było. Artysta chciał teraz zobaczyć i usłyszeć tylko jedną osobę. Okazało się jednak, że nie będzie to takie proste, bo przed teatrem jak zwykle czyhało na niego mnóstwo wiernych wielbicielek. Jego widok wywołał piski radości; otoczyły go młode dziewczęta, ale także damy w średnim i podeszłym wieku oraz kilku młodzieńców, których oczy błyszczały równie mocno, co oczy kobiet. Wielu usiłowało wcisnąć mu w dłoń najróżniejsze rzeczy – słodycze, kwiaty, kosmyki włosów.

– Zostawcie mnie w spokoju! – krzyknął opryskliwie Stefaton. Nigdy jeszcze się tak nie zachował, zawsze znosił widzów z cierpliwością, a nawet pewną dumą. Tym razem jednak bolesne ukrzyżowanie, imperytynacja Fausty i cynizm Gelona zupełnie popsowały mu humor. Tak czy owak, zgromadzeni pozwolili mu przejść, nie czepiając się jego nóg, zdumieni wrogim usposobieniem zwykle tak towarzyskiego ulubieńca.

Z każdym krokiem, który oddalał go od teatru, Stefaton odżywał. Jeżeli Sara naprawdę na niego czekała, to znajdzie ją na brzegu jeziora, za bramą południową. Tam było ich stałe miejsce spotkań.

Jeszcze niecała godzina i nad Galileą zapadnie zmierzch. Banda tłukących się uliczników była tak zajęta swoimi wybrøkami, że nikt nie zwrócił na Stefatona najmniejszej uwagi. Jak dobrze! Gorzej było ze strażnikiem przy bramie południowej, który rozpoznał młodzieńca i próbował wciągnąć go w pogawędkę. Aktor jednak po prostu go minął, bo każda sekunda oglądania Sary, która mu jeszcze pozostała, była cenniejsza niż złoto.

Ujrzał ją już z oddali, siedzącą na nadbrzeżnym glazie. W zadumie patrzyła na gładką jak lustro taflę wody, na której unosiły się łodzie rybackie. Stefaton poczuł ulgę, a zarazem ekscytację, o wiele większą niż przed spektaklem. Schodzącą ścieżką między uszlými krzewami, zastanawiał się, jakimi słowami ma przywitać dziewczynę. Dookoła grały zastępy cykad. W blasku zachodzącego słońca woda żarzyła się czerwienią, jej powierzchni nie marszczył nawet najbliższy podmuch wiatru. Strone ściany gór na drugim brzegu również wyglądały tak, jak gdyby zajęły się ogniem.

„Wszystko płonie, wszystko... Nawet moje serce!” – pomyślał, gdy Sara

Świadek

odwróciła się do niego z uśmiechem.

3

Po raz pierwszy spotkali się dwa tygodnie wcześniej. Sara robiła właśnie zakupy na rozległej, otoczonej kolumnami tyberiadzkiej agorze. W tym samym czasie Stefaton wybrał się tam, żeby kupić zioła dla chorego ojca. Jego macocha Agriope – która w swojej trackiej ojczyźnie była zielarką – głęboko wierzyła w lecznicze właściwości głogu i twierdziła, że na słabe serce ojca nie ma lepszego środka.

Kiedy Stefaton mijał stragan Farnakesa, usłyszał kłótnię.

– Chcesz zrobić ze mnie głupca, bezczelna dziewczyno?! – Farnakes, znany z przebiegłości wikliniarz, przybrał swoją najgroźniejszą minę. Stojąca przed nim młoda kobieta nie dała się jednak przestraszyć.

– Jest dokładnie odwrotnie! – oznajmiła spokojnie. – To ty jesteś oszustem!

Stefaton początkowo zobaczył tylko jej plecy. Miała na sobie jasną suknię, a ciemne, nieosłonięte włosy spięła na karku. Na prawym przedramieniu zawiesiła pusty koszyk.

– Dobrze mnie posłuchaj, dziewczyno – odezwał się Farnakes, biorąc głęboki oddech. – Albo w tej chwili oddasz mi koszyk, albo zapłacisz tyle, ile jesteś mi winna. W przeciwnym razie zadbam o to, żebyś poznała się z cdyłem!

Stefaton uznał, że powinien zainterweniować.

– Farnakesie! Jakże to straszne, że wciąż masz problemy z klientami, nieprawdaż? – zawołał.

Kupiec popatrzył na niego.

– A, Stefaton! Tak, możesz mówić o tym głośno, ludzie robią się coraz bardziej zuchwali. Powiedz, czy jutro w teatrze znów będziesz Herme-sem? – zapytał.

Młody człowiek nie odpowiedział, bo cała jego uwaga skupiła się na dziewczynie, która właśnie odwróciła się do niego. Spoglądał w jej delikatną, ładną twarz i okrągłe oczy, patrzył na pełne wargi, rozchylone jakby od słów pełnych zdziwienia. Sądząc po stroju, była Żydówką, zapewne z jednej z okolicznych wiosek. Odkąd Herod Antypas wznosił Tyberiadę na terenie cmentarza w Chatat, bardzo niewiele Hebrajczyków żyło w tym nieczystym miejscu.

– Na oszustkę w sumie mi nie wygląda – zawyrokował Stefaton, nie mogąc oderwać oczu od nieznanym.

– Przecież nie mają tego wypisanego na czole! – upierał się Farnakes. – Jest mi winna dwie sesterce!

– Dałam mu pieniądze, zanim wzięłam koszyk! – wyjaśniła dziewczyna bez wzburzenia. – Wygląda jednak na to, że o tym zapomniał.

– No i co mam powiedzieć? – Sprzedawca kręcił głową i wydymał z oburzeniem policzki, ale Stefaton rozpoznał w nim kiepskiego aktora.

– Czy możesz być pewien, Farnakesie, że twoja pamięć nie splatała ci fi-

gła? – powiedział łagodnie.

Wikliniarz z kwaśnym uśmiechem przekrzywił głowę, zastanawiał się przez chwilę, a potem wzruszył z lekceważeniem ramionami.

– Po co mam się kłócić z Żydówką? – burknął. – Niech zatrzyma koszyk, jeżeli może to pogodzić ze swoim sumieniem.

– Mogę – oznajmiła dziewczyna, bez trudu wytrzymując jego karcące spojrzenie. Kiedy odwróciła się, żeby wmieszać się w falujący tłum, Stefaton wciąż patrzył za nią jak urzeczony.

– Bezcelność zwyciężyła – skwitował Farnakes, po chwili jednak przyjął wielkoduszny ton. – Ale doskonale rozumiem, że bardziej wierzysz ładnej dziewczynie niż mnie. Cóż, te Żydówki są kute na cztery nogi. Widząc je, człowiek znów chciałby być młody.

Stefaton go zignorował. Błyskawicznie postanowił, że dogoni dziewczynę.

– Poczekaj! – zawołał. Nieznajoma spojrzała przez ramię i zatrzymała się. Młodzieniec zaraz znalazł się obok niej, ale w pierwszej chwili nie wiedział, co powiedzieć.

– Jak się nazywasz? – Na szczęście głos nie uwiązał mu w gardle.

Spojrzenie dziewczyny wciąż jeszcze było poważne, ale nie nieprzychylnie. Stefaton wpatrywał się w jej zielone, otoczone gęstymi rzęsami oczy.

– Sara. A ty?

– Jestem Stefaton.

– Dziękuję, że uratowałeś mnie przed tym chciwym wikliniarzem, Stefatonie – powiedziała Sara.

Młody człowiek w zakłopotaniu skinął głową.

– Każdy by tak zrobił – odparł skromnie.

– Skąd miałeś pewność, że mam rację? – zapytała dziewczyna. – Nie znasz mnie.

– Ale znam Farnakesa. A co do ciebie, Saro, to może dasz mi szansę, żeby poznać cię bliżej? – zaryzykował.

Sara nie odpowiedziała, ale na jej policzkach zaznaczyły się dwa uroczę dołeczki, bo usta ułożyły się w lekki uśmiech.

– Nie chciałabym wyjść na ciekawską, ale dlaczego wikliniarz zapytał, czy jutro znów będziesz w teatrze Hermesem? – chciała wiedzieć. Najwyraźniej zupełnie go nie znała.

– Cóż, jestem aktorem, a Hermes to moja najnowsza rola.

– Aha, w takim razie rozumiem, dlaczego wszyscy się za tobą oglądają – stwierdziła Sara.

A więc i to nie uszło jej uwadze. Ludzie zresztą nie tylko się za nim oglądali; bardzo często poklepywali go także po ramieniu, tak jak właśnie w tej chwili robiła to jakaś leciwa matrona.

– Jesteś najlepszy, chłopcze, najlepszy ze wszystkich! Jesteś moim ulubieńcem! – zapewniła. Stefaton przywołał na usta wymuszony uśmiech, zadowolony, że kobieta zaraz poszła dalej i więcej go już nie zagadywała.

– Jeśli masz ochotę, Saro – powiedział z wahaniem do dziewczyny – to mogłabyś obejrzeć jutrzejsze przedstawienie. Zatrószczę się, żebyś dostała dobre miejsce.

Sara odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.

– Hm, sama nie wiem – oświadczyła.

– Byłbym bardzo urażony, gdybyś odmówiła. – Stefaton odważył się na udawaną groźbę.

– Naprawdę? Jestem jak najdalsza od tego, żeby cię urazić, mimie Stefatonie. Tak naprawdę to już od dawna chcę pójść do teatru – oznajmiła Sara.

Najpóźniej w tej chwili, kiedy dziewczyna ukazała w uśmiechu błyszczące, białe zęby, młodzieniec wpadł po uszy.

Wieczorem po ukrzyżowaniu Stefaton, schodząc z mocno bijącym sercem po ścieżce prowadzącej na brzeg jeziora, postanowił, że na powitanie pocałuje Sarę. Dotąd ich spotkania przebiegały w atmosferze nieśmiałego dystansu, choć nie było wątpliwości, że oboje czują do siebie sympatię. Ale Sara była Żydówką, a Żydzi przestrzegali surowych zasad. Nie wolno było o tym zapominać nawet przez chwilę. Stefaton nie chciał wszystkiego zepsuć, nazbyt śmiało sobie poczynając, choć przecież – ku niezrozumieniu swoich kolegów – wcale nie był zdobywcą niewieścich serc. Niemniej jednak nadszedł najwyższy czas na pocałowanie Sary w policzek, żeby pokazać, jak bardzo mężczyzna za nią tęskni.

Dziewczyna podniosła się z gładkiego, okrągłego głazu. Jej widok niemal odebrał Stefatonowi dech w piersiach i sprawił, że na razie zapomniał on o pocałunku.

– Pokój z tobą – powiedziała Sara na powitanie.

– I z tobą, Tabito – odwzajemnił pozdrowienie młodzieniec. Stefaton nadał jej to pieszczotliwe imię oznaczające gazelę, bo uznał, że dobrze do niej pasuje. Sarze również się spodobało, choć uważała, że chłopak w ten sposób zbyt jej schlebia.

– Jak dobrze znów widzieć cię w pełni sił i na nogach! – oznajmiła.

– Ukrzyżowania nie życzę nawet najgorszemu wrogowi! – Śmiech był reakcją Stefatona na uczucie zakłopotania.

Sara wpatrywała się w tafłę wody.

– Czy to nie piękne? Jeszcze nigdy nie widziałam, by jezioro płonęło tak jak dziś. A ty? – zwróciła się do towarzysza.

– Masz rację, zupełnie jakby dno stanęło w płomieniach. – Stefaton podszedł bliżej i ujął dziewczynę za ręce; były ciepłe i delikatne. – Nie podobają ci się, prawda? Mam na myśli sztukę o Laureolusie.

– Nieszczerólnie – przyznała Sara. – Była brutalna i miejscami niesmaczna. – Mówiła poważnym głosem, ale uśmiechała się przy tym. – Przykro mi było patrzeć, jak cierpisz.

Stefaton zaczerwienił się.

– Spektakl to był pomysł Gelona. W Seforis cieszył się podobno wielkim powodzeniem.

– Tutaj też podobał się ludziom – stwierdziła Sara, choć sama nie podzielała tych odczuć.

– Chciałbym przestać w niej występować! – zapewnił młodzieniec. Wciąż jeszcze trzymał towarzyszkę za ręce, a ona nie próbowała mu się wyrwać. Jej oczy będzie widział przed sobą chyba przez całą noc. Przy-

pomniał sobie, że miał ją pocałować, ale Sara akurat znów odwróciła głowę w stronę jeziora.

– Dziś u mego ojca gościł pewien sprzedawca oliwy – powiedziała w zamysleniu. – Opowiadał o rabbin imieniem Jezus, który w okolicy Kafarnaum w cudowny sposób uzdrowił kilku śmiertelnie chorych. A rybacy podobno widzieli, jak chodził po wodach jeziora.

Stefaton zaśmiał się.

– Być może właśnie oto, dlaczego jezioro dziś tak płonie. Wstydzi się, bo czuje, że ktoś z niego zakpił. – Urwał, bo w oczach Sary dostrzegł coś, co wskazywało na to, że bynajmniej nie powiedziała mu tego, aby go rozbawić. – No cóż, ludzie cieszą się, kiedy mają o czym gadać – dodał. – Myślą, że ktoś, kto uzdrowił śmiertelnie chorych, potrafi dokonać jeszcze zupełnie innych cudów.

Dziewczyna skinęła z wahaniem głową.

– Tak, być może.

Łodzie powoli zaczęły odpływać, żeby przed zmrokiem dotrzeć do swoich przystani. Ponieważ nie było wiatru, rybacy musieli sięgnąć po wiosła.

– Przejdziemy się? – zaproponowała Sara.

Był to jeden z tych cudownych wieczorów, po których już nazajutrz rano człowiek odczuwa smutek, bo myśli, że już nigdy się nie powtórzą. Ręka w rękę, Stefaton i Sara szli w milczeniu ścieżką wzdłuż brzegu, wdychając zapach jeziora. W końcu Stefaton zdobył się na odwagę.

– Ileż bym dał, żeby mieć cię zawsze przy sobie, Saro – powiedział, zatrzymując się. Spojrzeli na siebie, a młodzieniec ku swojej radości zauważył, że oczy jego towarzyszek błyszczą.

– Zawsze? – zapytała cicho.

– Aż do śmierci! – zapewnił Stefaton. Czuł, że w sercu dziewczyny toczy się zażarta walka. Sara pochodziła z pobożnej żydowskiej rodziny; dla jej rodziców było zapewne czymś niewyobrażalnym, by ich córka poślubiła Greka poganina. W dodatku na pewno już dawno upatryli sobie dla niej chłopaka, bo Sara bez wątplenia osiągnęła wiek odpowiedni do zamążpójścia.

Stefaton delikatnie położył jej palec na ustach.

– Nie musisz nic teraz mówić, Tabito. Proszę, milcz, abym przynajmniej mógł trochę pomarzyć.

Dziewczyna zamknęła oczy i stanęła na palcach. Nieśmiało objęła towarzysza. Jej usta były lekko rozchylone, z trudem łapała oddech. Stefaton pochylił głowę, ostrożnie odwzajemnił jej uścisk, bojąc się, że to wszystko może się okazać tylko przywidzeniem, ale kiedy jego wargi złączyły się z jej wargami i kiedy poczuł słodki smak jej ust, pojął, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Gdy nadeszła chwila rozstania – słońce już zaszło, a jezioro i góry przestały jaśnieć purpurowym blaskiem – Stefaton uparł się, że odprowadzi dziewczynę do domu. Sara mieszkała o dobrą godzinę drogi od miasta, na skraju jednej z pobliskich wiosek, gdzie jej ojciec miał dużą plantację oliwy. Rodzina prowadziła gospodarstwo już od wielu pokoleń i dorobiła się przyzwoitego majątku. Dziewczyna powiedziała Stefatonowi, że jej rodzice żarliwie pragną przenieść się kiedyś do Jeruzolimy, aby tam umrzeć i zostać pochowani. Jak bowiem dodała, gdy na końcu czasów przyjdzie

Maszjach – Grecy mówili o nim Mesjasz – zmarli w Jerozolimie jako pierwsi zostaną wskrzeszeni do życia wiecznego.

– Skoro tak jest – odparł Stefaton – to chciałbym zostać żydem i razem z tobą umrzeć kiedyś w Jerozolimie. – Choć czuł, że jego słowa są niedorzeczne, Sara obdarzyła go uśmiechem.

Kiedy dotarli do muru otaczającego plantację, jej ojciec, niewysoki, krzepki mężczyzna, pracował jeszcze w gaju. Mimo zmierzchu i dzielącej ich odległości Stefatonowi wydało się, że dostrzega niezadowolone w jego chudej twarzy. Będą chyba musieli powstrzymać się od namiętnego pożegnania.

– Kiedy się znów zobaczymy, Tabito? – zapytał dziewczynę.

– Jutro, jeśli chcesz – powiedziała Sara. – Do godziny siódmej muszę pomagać rodzicom w wytłaczaniu oliwy. Potem możemy wybrać się na wycieczkę.

Nie było nic, czego Stefaton pragnąłby bardziej.

– Będę na ciebie czekał w naszym miejscu – oznajmił.

Dotknęli się przelotnie koniuszkami palców, a potem młodzieniec wybrał się w powrotną drogę do Tyberiady. Zapomniał już o bólu ukrzyżowania; czuł życie przenikające każde włókno jego ciała. Jeszcze nigdy nie był tak szczęśliwy.

Efraim syn Elihu wiedział o uczuciu swojej córki – ona sama opowiedziała mu i matce o młodym Greku z Tyberiady. Nigdy nie ukrywała przed nimi swoich uczuć. Nie przemilczała przed rodzicami nawet faktu, że poznany mężczyzna jest mitem, choć wiedziała, że im się to nie spodoba. Tego wieczoru właściciel gaju oliwnego zobaczył go po raz pierwszy, choć tylko z daleka. Młodzieniec towarzyszył jego córce w drodze do domu; najwyższy czas, bo ojciec zaczynał się martwić. Młodzi ludzie – jak zauważył Efraim – pożegnali się dość powściągliwie, ale mężczyzna nie był przecież głupi; zdawał sobie sprawę, że oboje wiedzieli, iż ich obserwuje. Nawet nie chciał myśleć o pieśczościach, jakimi zapewne obdarzali siebie wcześniej.

Efraim skinieniem dłoni przywołał Sarę.

– Jest już późno – powiedział z wyrzutem.

– Tak, ojczu. Wybacz mi, zupełnie zapomnieliśmy o upływie czasu.

Jej słowa były tak pełne zakochania, że ojciec miał wielką ochotę zakazać jej mówić o wybranku. Ale nawet jemu wydało się to trochę żalose.

– Niedobrze będzie, jeśli zakochasz się w tym poganinie – powiedział tylko.

Żałował, że nie potrafi być bardziej surowy w stosunku do swojej jedynej córki i po prostu zabronić jej kontaktów z adoratorem. Choć w innych sprawach cechowały go konsekwencja i pewność siebie, to wobec Sary Efraim był ustępliwy i pobłażliwy.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Miłością nie można sterować, ojczu. Ona po prostu spada na ciebie jak grom z jasnego nieba. Sama bym wcześniej w to nie uwierzyła!

Świadek

– A więc to prawda? Kochasz tego... aktora?

Sara w zamyśleniu spojrzała mu w oczy.

– Tak, ojcze. Myślę, że go kocham.

Czy zawsze musiała mu mówić prawdę? Czy ze względu na niego choć raz nie mogła skłamać? Jakże bowiem Efraim mógł pochwalić to, że jego córka kocha Greka? Jego żona, Lea, pochodziła wprawdzie do sprawy z większym spokojem („Poczekaj, za jakiś czas się opamięta” – mawiała), ale do czego by doszło, gdyby wybrany lud Boży wymieszał się z poganami? W synagodze już byli tacy, co krzywo na niego patrzyli.

– Chodź, Saro – westchnął i objął córkę ramieniem. – Chodźmy do domu. Twoja matka czeka.

4

Gdy Stefaton wrócił do siebie, Agriope jeszcze nie spała.

– Mówią, że wasze przedstawienie było wielkim sukcesem – powitała go z uśmiechem.

Ach, to głupie przedstawienie! Młody człowiek wołał o nim nie myśleć. Agriope jednak zdobyła już najświeższe informacje. Poza tym zawsze wiedziała, co się działo w mieście i okolicy.

– A kiedy patrzę ci w oczy – ciągnęła bystra niewiasta – widzę, że w tej chwili twoją głowę zaprzęta coś innego. Udało ci się jeszcze spotkać z Sarą?

– O, tak. I wiesz co, Agriope? Ona za każdym razem jest coraz bardziej czarująca.

– Ach, gdybym choć przez jeden dzień była w waszym wieku! – westchnęła kobieta.

Agriope była już po czterdziestce; ale choć czasem z udawaną melancholią skarżyła się na swój wiek, to z puklami wciąż kruczoczarnych włosów i bystrym spojrzeniem wyglądała nadal bardzo atrakcyjnie. Za młodu w swojej trackiej ojczyźnie pewnie mocno zawróciła w głowie niejednemu chłopakowi. Później jednak pojawiły się rzymskie legiony, które sprowadziły na kraj wojnę. Agriope została niewolnicą; od tamtej chwili minęło ponad dwadzieścia lat.

Po śmierci żony, która zmarła w połogu tuż po narodzinach Stefatona, Demetrios – jeden z naczelników architektów Heroda Antypasa w nowo założonej Tyberiadzie – musiał przyjąć niewolnicę, która prowadziłaby mu gospodarstwo i zajmowała się niemowlęciem. Z czasem Agriope stała się dla swojego pana towarzyszką życia, a dla Stefatona – kochającą matką. Przed kilku laty Demetrios obdarzył ją wolnością; to był akt czysto formalny, bo już od dawna stanowili prawdziwą rodzinę.

Młodzieniec pocałował macochę w czoło.

– Dla mnie zawsze będziesz tak młoda, jak wtedy, kiedy robiłem jeszcze w pieluchy – stwierdził.

– Właśnie to chciałam od ciebie usłyszeć.

– Wiem. – Stefaton uśmiechnął się.

– Zanim pójdziesz spać, powinienesz zajrzeć do ojca – oświadczyła Agriope.

Stefaton stłumił westchnienie.

– Czy to pilne? – zapytał.

– Miał ciężki dzień w pracy. Serce znów daje mu się we znaki. – Kobieta poklepała Stefatona po ramieniu, żeby dodać mu otuchy; dobrze wiedziała, co skłania Demetriosa do rozmowy z synem o tak późnej porze.

– Przecież mówiłem z nim o tym już tysiąc razy – poskarżył się młodzieniec.

– Zrób mi tę przyjemność. Przecież nie musisz się z nim od razu zga-

dać, co ci zresztą i tak nie przyszkodzi do głowy. Możesz mu jednak dać choć iskierkę nadziei, chłopcze.

Stefaton udał się do izby ojca rozjaśnionej nieco przez płomień lampki oliwnej. Kiedy zbliżył się do ojcowskiego posłania, Demetrios usiadł.

– Słyszałem, że źle się dziś czujesz, ojczu – powiedział Stefaton.

– Moje serce zwiotczało jak worek po mące i nie zmienia już tego nawet ziola naszej ukochanej Agriope – odparł Demetrios.

Przez chwilę w pomieszczeniu panowało pełne napięcia milczenie. W przeciwieństwie do swojej wiernej towarzyszkii, ojciec Stefatona przedwcześnie się zestarzał. Jego czoło przecinały głębokie zmarszczki, a nieliczne pozostałe włosy były białe jak śnieg. Przyszyżona siwa broda ładowała ostre rysy twarzy. Choć ojciec wyglądał na zmęczonego, jego oczy promieniały energią.

– Przypuszczam, że po spektaklu dostaliście burzliwe owacje – odezwał się w końcu starzec.

– Tak, ludziom się chyba podobało. – Pomijając oczywiście Sarę.

– Cóż, w takim razie pozwól, że i ja ci pogratuluję. – W tych słowach prawdopodobnie skrywała się ironia, choć ojciec tym razem powstrzymał się od swojego kwaśnego tonu.

– Proszę, ojczu, przejdź do rzeczy. Po co mnie wezwałeś? – Stefaton postanowił, co prawda, że nie dopuści do tego, aby rozmowa znów skończyła się kłótnią, ale wszystko wskazywało na to, że jego plan spali na panewce.

Demetrios zaczął mówić; wyznał wszystko, co mu leżało na sercu, a co Stefaton wiedział już od dawna. Starzec oświadczył, że złożyłby bogom każdą ofiarę, byleby tylko jego syn w końcu zdecydował się pójść w jego ślady. Jego słabe serce zapewne nie będzie już długo bić i byłoby hanbą, gdyby w rodzinie zabrakło architektów. Jemu, Stefatonowi, wcale nie brakuje przecież talentu, miał okazję wielokrotnie to udowodnić – już jako dziecko budował śmiało konstrukcje. Tymczasem jednak młodzieniec przedkładał nad ten szacowny zawód występę na scenie.

– To moje życie, nie twoje, ojczu – zaoponował Stefaton.

– To prawda, ludzie cię uwielbiają, ale czy to jest życie? – zapytał Demetrios. – Jak chcesz wyżywić kobietę? Z kilku denarów, które płaci ci ten podejrany Gelon? Czy twoje dzieci mają mówić: „Nasz ojciec jest mimem”? A co, jeśli ludziom znudzą się wasze farsy? Zostaniesz żebrakiem?

Zazwyczaj Stefaton odpierał te argumenty, a przynajmniej starał się je bagatelizować, ale tego wieczoru milczał. Ostatnio przecież wszystko się zmieniło.

Jak chcesz wyżywić kobietę?

Słowa sprzeciwu uwięzły mu w gardle. Sara była dla niego wszystkim. Najpóźniej od chwili pierwszego pocałunku Stefaton wiedział, że nigdy nie pokocha innej kobiety. Byli dla siebie stworzeni, tak, właśnie tak musiało być. Jeśli okaże się to konieczne, dla niej podda się obrzezaniu. Niech zrobią z niego żyda, jeżeli dzięki temu będzie mógł ją poślubić. Jego ojciec, ten uparty, przemądrzały i zawzięty staruch, miał całkowitą rację: Sara zasługiwała na mężczyznę lepszego niż taki, który pozwalał się ukrzyżować na scenie, żeby zabawić żądną rozrywki publiczność.

Ale mimo to Stefaton nie zamierzał robić ojcu przyjemności, potakując mu. Nie tutaj i nie teraz. Oczywiście, poważnie zastanowi się nad pój-

Świadek

ściem w ślady ojca, bo było prawdą, że miał dobre wyczucie proporcji, liczb i rozmiarów. Jako aktor nie byłby dobrym mężem dla Sary i ojcem dla dzieci, które im się urodzą. W przyszłości, u boku dziewczyny, będzie musiał prowadzić inne życie – teraz to zrozumiał.

– Dlaczego nie śpisz, ojcze? Wyglądasz na zmęczonego – powiedział.

Demetrios tylko pokręcił głową z powodu domniemanej ignorancji syna i z powrotem opadł na posłanie.

– Jesteś beznadziejnym przypadkiem, Stefatonie! – Po tych słowach zamknął oczy i po prostu przestał zwracać uwagę na młodzieńca.

Stefaton bez słowa opuścił izbę. Za progiem czekała na niego Agriope; spojrzała na niego pytająco. Młody człowiek z westchnieniem wzruszył ramionami.

– Jest i zostanie architektem. Chce, żebyśmy budowali życie na skale, nie na piasku. Taką już ma naturę.

Agriope przekrzywiła głowę.

– Mówisz jak ten rabbi – stwierdziła.

– Jaki rabbi?

– Nazywa się Jezus. Wędruje po Galilei, naucza, leczy chorych oraz kaleki.

– Ach tak, słyszałem o nim. Podobno nawet chodził po wodzie – odparł Stefaton.

Oboje się roześmiali, a Agriope pogłaskała pasierba po policzku.

– Twój ojciec jest dla ciebie kimś bardzo obcym, prawda? – zapytała z powagą.

Młodzieniec ujął jej dłoń i pocałował ją.

– Mniej obcym niż myślisz, Agriope – oświadczył.

5

Obietnica, którą wymusił na nim Gelon, ciążyła Stefatonowi jak kamień młyński u szyi. Gdyby młodzieniec odrzucił zaproszenie szlachetnej Fausty Decili, ściągnąłby na siebie gniew trupy. Rzymianka oczekiwała go o godzinie szóstej. Kiedy wyruszał w drogę do niej, myślami był przy Sarze, z którą później także zamierzał spotkać.

Zbliżając się do willi, położonej tuż nad zboczem wzgórza, Stefaton widział w dole błękitną taflę jeziora, a w oddali skrzące się w słońcu góry. Stary, kuśtykający niewolnik wpuścił go do środka przez furkę i otoczo- nym marmurowymi kolumnami atrium poprowadził do przestronnego salonu. Tu na *kline* leżała Fausta; na widok wchodzącego gościa uśmiech-nęła się. Trzymała w dłoniach puchar z napojem. Niewolnik wyjąkał utar- tą formułkę, którą zwykł anonsować gości, ale Fausta spłoszyła go tylko niecierpliwym ruchem ręki.

– Jakaż to dla mnie radość, że mogę cię tu widzieć! – powitała Stefatoną przywilnym tonem, jak gdyby przybył do niej z własnej woli. – Czy przez chwilę dotrzymasz mi towarzystwa? To byłby dla mnie zaszczyt. – Mówiąc to, wskazała *kline* po swojej prawej stronie.

W dobrym tonie byłoby skierować do gospodyni kilka uprzejmych słów, ale młodzieniec tylko lekko skinął głową i usiadł na wskazanym miejscu. Fausta chyba nie wzięła mu za złe jego milczenia, bo uśmiech nie zniknął z jej twarzy. Kobieta miała na sobie białą tunikę odsłaniającą ramiona, wykonaną z prześwitującego materiału; ze stoli zrezygnowała, z fascii najwyraźniej również, bo jej kobiece wdzięki były niemal w całości widoczne. Niezliczone spinki podtrzymywały wysoką piramidę jej ja- snych włosów, najpewniej farbowanych, bo u Rzymianek mody zmieniały się niczym pory roku. Ciało Fausty zdobiła taka ilość złotej biżuterii – pierścionków, bransoletek i kolczyków – że ani przez sekundę nie można było mieć wątpliwości co do jej bogactwa. Była najbardziej olśniewającą kobietą, jaką Stefaton kiedykolwiek widział, ale nie budziła w nim pożą- dania.

– Moje przyjaciółki będą mi zazdrościć, kiedy się dowiedzą, że złożył mi wizytę najlepszy, a przy tym najatrakcyjniejszy mim Galilei – odezwa- ła się Fausta. Taksowała go wzrokiem bez żadnego skrępowania, niemal zachłannie, ale wstyd i skromność nie były przecież cechami, z których słynęła.

– Twój sługa Brennus przekazał mi twoje uprzejme zaproszenie, szla- chetna Fausto – przypomniał Stefaton.

– Och! A więc nie przyszedłeś tu dobrowolnie? – Wydęła efektownie pełne wargi.

– I ty byłabyś znakomitą aktorką. – Stefaton uśmiechnął się. – Musisz się jednak jeszcze nauczyć tego, jak spoglądać nadąsanym wzrokiem. Gelon na pewno udzieliłby ci w tej materii kilku cennych rad.

Śmiejąc się, Fausta odrzuciła głowę do tyłu.

– Po co pytać Gelona? Przecież ty tutaj jesteś. Powiedz mi więc: Jak spoglądać nadąsanym wzrokiem?

– Powinnaś wyobrazić sobie, że masz prawdziwy powód, aby to zrobić – odparł młodzieniec.

– Z pewnością na scenie wypadłabym żałośnie. Moją sceną jest życie, Stefatonie.

O tak, w to nie wątpił.

Fausta sięgnęła po napełniony winem puchar i podała go gościowi.

– Za ciebie, mój tragiczny Laureolusie! – zawołała. – Żeby twoje piękne ciało nie ucierpiało nadmiernie podczas następnego ukrzyżowania. To byłoby straszne!

Wino nie było rozcieńczone. Stefaton musiał mieć się na baczności, bo jeśli wierzyć Gelonowi i innym, Fausta zamierzała go uwieść. Rozejrzała się i pilnując, żeby jego słowa nie zabrzmiały zbyt bezradnie, zapytała:

– Czyżbyś odesłała niewolników?

– Mamy wszystko, czego nam potrzeba – zapewniła Fausta.

– A twój mąż? Gdzie jest?

Fausta Decila nachyliła się, unosząc układające się w delikatny łuk brwi. Teraz już nie ukrywała swoich lubieżnych zamiarów.

– Mój mąż? – powiedziała. – Nie musisz się o niego troszczyć. Dlaczego miałbyś nie wiedzieć tego, co wie każdy?

– A cóż takiego wie każdy?

– Kwintus jest stary, już dawno zapomniał, czym są rozkosze ciała. O ile kiedykolwiek to wiedział, bo z jego wcześniejszych małżeństw również nie narodziły się dzieci – oświadczyła gospodyni. – Jego żony bardzo się cieszyły, mogąc się go pozbyć. Wzięliśmy ślub, bo to było korzystne dla naszych rodzin. Choć należałoby raczej powiedzieć, że było korzystne zwłaszcza dla Kwintusa – dodała kwaśno – bo w moich żyłach płynie w końcu patrycjuszowska krew.

To wszystko, o czym mówiła, rzeczywiście nie było dla Stefatona nowością. Każde dziecko w Tyberiadzie wiedziało o charakterze związku Kwintusa Cepiona i Fausty. Ten pierwszy, plebejusz z pochodzenia, doszedł w Rzymie do godności pretora, by następnie przenieść się do Palestyny, gdzie miał wypełniać zadania wojskowe. Tutaj pozostał po odejściu ze służby, bo w stolicy Imperium czekało na niego kilku upartych wierzących. Za jego dłużnika uznawał się z kolei jego dawny przełożony, Annius Rufus, były prefekt Judei i krewny boskiego Augusta, któremu Cepio uratował życie w potyczce z fanatycznymi zelotami. Wsadził więc na statek swoją młodziutką i olśniewająco piękną siostrzenicę Faustę i wraz z pokaznym posagiem wysłał ją do Palestyny, gdzie została zaślubiona Cepionowi. Od tamtej chwili minęło dziesięć lat, a Fausta, królowa życia, wykazywała swoją sytuację najlepiej jak mogła. Oczywiście Tyberia da to nie był Rzym, ale żyło się tutaj zupełnie dobrze, gdy tylko przywykło się już do tego dziwnego kraju.

– Mój mąż – ciągnęła kobieta – po śniadaniu kazał się zanieść do miejskich term. Zresztą i tak nie zwraca uwagi na moich kochanków.

Stefaton odchrząknął.

– Chciałabyś, żebym został twoim kochankiem? – zapytał.

– Dlaczego nie? Chociaż na jeden dzień. A może i na dłużej, to wiedzą

tylko bogowie. Po co mamy decydować o tym dziś? – Słowa Fausty za-
brzmiały uwodzicielsko i wulgarnie zarazem. Kobieta upiła mały łyk
wina z pucharu i oblizała wargi.

– Zadawanie się z mimem może źle wpłynąć na twoją reputację – za-
uważył Stefaton.

Jego uwaga wywołała u Fausty kolejny wybuch śmiechu.

– Rzadko zdarza się, by ktoś tak mistrzowsko ukrywał cynizm. Ale
oczywiście mnie to nie dziwi, bo w końcu jesteś najlepszym z mimów.
Moja reputacja? Myślisz, że nie wiem, jak się ona miewa? Nie mam nic
przeciwko temu, żeby cała Tyberiaada dowiedziała się, iż leżysz w moim
łożu. To jedynie poprawi moją reputację, bo ciebie ludzie kochają. Po-
wiedz mi, kiedy ostatnio spałeś z adoratorką? – zapytała.

Zakłopotany Stefaton zaczerwienił się.

– Jeszcze nigdy? I kto ma w to uwierzyć?

– Możesz wierzyć, w co chcesz, szlachetna Fausto – odparł młodzieniec.

Kobieta głośno zaczerpnęła powietrza, jak gdyby musiała zdobyć się na
cierpliwość wobec mało pojętne dziecko.

– No dobrze, mój piękny Apollonie – powiedziała. – Zadowolam się tak-
że dziewicami. Co powiesz na kąpiel? Kazałam już podgrzać wodę. Potem
coś zjemy, a potem... Moja sypialnia ci się spodoba.

Z pewnością nikt jeszcze nie odrzucił takiej propozycji z jej strony i
Fausta najwyraźniej była przekonana, że także dziś się to nie zdarzy. Zdą-
żyła już, niby przypadkiem, odsłonić ramiona.

Stefaton jednak nie zamierzał ciągnąć tej farsy.

– Nie pragnę cię urazić, szlachetna Fausto, ale nie chcę ani brać kąpieli,
ani nic jeść, ani dzielić z tobą łoża. Musisz wiedzieć, że na dzisiaj mam
jeszcze plany.

Kobieta uniosła głowę; zastanawiała się zapewne, czy młody człowiek
się z nią nie droczy.

– Doprawdy? – zapytała.

Gość przytaknął i rozłożył bezradnie ręce, bo jeżeli nie okazałby przy-
najmniej ubolewania, Fausta być może rzuciłaby w niego kielichem; w
każdym razie uchodziła za gwałtowną i nieobliczalną. Kiedy zrozumiała,
że Stefaton nie żartuje z odmową, jej twarz wyraźnie stężała.

– Rozumiem, że spotykasz się z dziewczyną? – zapytała czujnie.

Prawdę Fausta odebrałaby zapewne jako afront, młodzieniec postano-
wił więc skłamać, żeby ją udobruchać.

– Nie, nie mam takiego zamiaru – powiedział.

– Wolisz zatem chłopców?

– To także nie – odparł Stefaton. – Po prostu naprawdę muszę teraz iść.
Chciałbym ci podziękować za wyborne wino i gościnność, a także za po-
darunki, które stale mi przesyłasz. – Wstał i uklonił się. – Sam znajdę dro-
gę do wyjścia. Niech bogowie będą z tobą!

Fausta wpatrywała się w odchodzącego, zaciskając zęby. Nie, nikt jesz-
cze nie ośmielił się tak ją potraktować. Czy on myśli, że jest zwykłą nie-
rzadnicą?

– Brennusie! – zawołała, nieco ochłoniwszy. W *cubiculum* natychmiast
pojawił się jej olbrzymi sługa; nie mógł przebywać daleko.

– Pani? – odezwał się.

– Idź za nim, ale potajemnie! – nakazała gospodyni. – Chcę wiedzieć, z

Świadek

kim się spotyka. Kiedy tylko się dowiesz, wróc do mnie. Czekam na ciebie w sypialni. – Nie zamierzała bynajmniej rezygnować z zaspokajania własnych potrzeb z powodu jakiegoś wyniosłego, upartego komedianta. Ten Stefaton jeszcze się zdziwi! Za kogo on się uważa?

Brennus natychmiast wyszedł.

Po opuszczeniu willi Kwintusa Cepiona Stefaton odczuł olbrzymią ulgę. Eugenia miała rację – Fauście Decili, która zwykle dostawała wszystko, czego tylko zapragnęła, chodziło wyłącznie o to, żeby go uwieść. On jednak bez trudu się jej oparł. Teraz chciał tylko znaleźć się przy Sarze. Zostawiwszy za sobą miasto, miał ochotę śpiewać z radości.

W swoim stałym miejscu spotkań Stefaton i Sara padli sobie w ramiona. Okres powściągliwości minął raz na zawsze. Ich przyszłość była niepewna, ale nie chcieli o niej myśleć. Był przepiękny dzień, jakby stworzony dla dwojga zakochanych, którzy chcieli pójść na spacer brzegiem lśniącego w słońcu jeziora. Dookoła kwitły akacje, oleandry i krzewy mirtowe.

Kiedy ruszyli, radośni niczym dzieci, śledzący ich z ukrycia Brennus postanowił wrócić do swojej pani. Zobaczył tyle, ile chciał.

6

W Kafarnaum, tętniącym życiem miasteczku rybackim na północnym brzegu jeziora, Stefaton i Sara przyszli do położonego opodal portu sklepi-ku, żeby kupić chleb na drogę. Był najwyższy czas, żeby wracać, jeżeli chcieli znaleźć się w domu przed zapadnięciem zmroku. Wspólne chwile minęły im bardzo szybko. W oddali majaczyły się wieże Tyberiady, ale od miasta dzielił młodych spory kawałek drogi. Poza tym oboje byli już zmęczeni.

– Dokąd się wybieracie? – zapytał właściciel sklepu, stary, długobrody mężczyzna.

– Do Tyberiady – odparł Stefaton.

– A więc nie przybyliście, żeby posłuchać rabbiego?

– Rabbiego?

Z zaplecza dobiegł głos żony kupca:

– Czy nie widzisz, że on jest Grekiem?

Ale Sara nagle się ożywiła.

– Czy mówisz o rabbim imieniem Jezus? – zapytała mężczyznę.

Sklepiarz lekko skinął głową.

– Czy to prawda, że potrafi czynić cuda? – dopytywała dziewczyna.

Kupiec zlustrował ją nieufnym wzrokiem.

– A kto o to pyta? Żydówka?

– Przecież widzisz! – odezwała się znów jego żona, stając w drzwiach.

– Gdzie jest teraz rabbi? Nauczca? Powiedz, proszę, chciałabym go po-słuchać! – mówiła rozgorączkowana Sara.

Starzec i jego żona wymienili pytające spojrzenia, jak gdyby zastana-wiali się, czy młodzi ludzie są godni otrzymania dalszych informacji. W końcu najwyraźniej uznali, że tak.

– Wcześniej było tu dwóch jego uczniów, kupili chleb i owoce – oznaj-mił właściciel. – Są na wzgórzach za wioską, gdzie rabbi znów będzie dziś nauczał. Przybywają tu nawet ludzie z Judei i Idumei. Chcą go posłuchać.

Sara złapała Stefatona za rękę i spojrzała na niego błagalnie.

– Tak bardzo chciałabym tam pójść, najdroższy! – zawołała.

Najdroższy! Nazwała go tak po raz pierwszy. Tym trudniej przyszło młodzieńcowi sprzeciwić się towarzysze.

– Musimy wracać, jeśli chcemy być w domu przed nocą! – powiedział.

Wtedy żona sprzedawcy złożyła im zaskakującą propozycję.

– Posłuchajcie go, a usłyszycie rzeczy, od których oniemiejecie. Jeżeli zrobi się późno, przenocujecie u nas.

– Przyjęlibyście do domu poganina? – zapytał Stefaton nie bez drwiny w głosie.

– Jeśli tam pójdziecie, nic już nie będzie takie jak wcześniej – odparła tajemniczo kobieta.

– Jakiś głos mówi mi, że muszę go zobaczyć – szepnęła Sara.

Młodzieniec wziął ją na bok.

– Twój rodzice będą się martwić – oświadczył zatroskany. – No i co pomyślał o mnie?

– Muszę go zobaczyć!

Czy ona go w ogóle słucha? Jedno spojrzenie w oczy dziewczyny uświadomiło Stefanonowi, że jego ukochana nie da się przekonać. Młodzieniec zdecydował się ustąpić. Czy kiedykolwiek będzie w stanie jej odmówić?

– No dobrze, Tabito! Chodźmy! – westchnął.

Handlarz objaśnił im drogę i wyruszyli.

– Może specjalnie dla nas jeszcze raz pochodzi po wodzie – zażartował Stefanon, ale ku jego zdziwieniu Sara nie zareagowała na jego słowa; najwyraźniej była myślami gdzieś daleko.

Na wskazane miejsce zdążyło zadziwiająco wielu ludzi. Stefanon wdał się w rozmowę z młodym człowiekiem, zapewne niewiele starszym od niego.

– Czy słyszeliście już kiedyś, jak mistrz naucza? – zapytał tamten.

Stefanon potrząsnął głową.

– Dla nas to pierwszy raz. A ty? Znasz tego rabbiego?

– Jestem jego uczniem – padła pełna dumy odpowiedź.

– Czego ty nie powiesz! Czy to prawda, że umie chodzić po wodzie? – zapytał Stefanon.

Młody człowiek zmarszczył czoło.

– Jesteś Grekiem! – zawyrokował.

– A ty Żydem! – odparł aktor.

– Przyszedłeś zobaczyć, jak czyni cuda? – dociekał nowo poznany.

– Czy to by było coś złego?

– Jego posłannictwo nie polega na zabawianiu ludzi czarodziejskimi sztuczkami!

Ci Żydzi, starzy czy młodzi, potrafili być bardzo nerwowi, kiedy ktoś ich prowokował. Zwłaszcza jeśli chodziło o wiarę. Bądź co bądź, Stefanon uważał, że kwestia istnienia tylko jednego boga jest jak najbardziej warta rozważenia. Jakże dziecinne były wyobrażenia o bogach, jakie mieli Grecy i Rzymianie! Nie wolno było tylko dyskutować o tym z Żydami.

– Właściwie trafiliśmy tu zupełnie przypadkiem. Szczerze mówiąc, nie mam najmniejszego pojęcia, co mnie czeka. Na co powinniśmy się przygotować? – zapytał młodzieniec.

– Na słowo, które stało się ciałem – odpowiedział uczeń, patrząc na niego sceptycznie.

– Aha! Właśnie o czymś takim myślałem. Na słowo, które stało się ciałem, no tak, oczywiście! – zaśmiał się Stefanon.

Sara otrząsnęła się z zamyślenia.

– Proszę, najdroższy, nie kpij sobie! – zawołała.

Uczniowi Jezusa najwyraźniej zaczęło się spieszyć.

– Wybaczcie mi, ale mistrz czeka – powiedział i żwawo pobiegł przed siebie.

Za Kafarnaum rozciągały się zielone wzgórza. Na jednym z nich zgromadził się spory tłum. Widząc rzeszę ludzi, Stefanon zdziwił się, bo słowa właściciela sklepu o tym, że niektórzy przybyli tu nawet z odległych okolic, aby posłuchać rabbiego, wydawały mu się czczą gadaniną. Jeszcze bardziej zdumiał się, ujrawszy Rzymianina. Obywatela imperium mło-

dzieniec w ogóle się tu nie spodziewał, co najwyżej jakichś żołnierzy. Tamten zaś przybył tylko w towarzystwie sługi i nie miał ani hełmu, ani broni, ani napierśnika. Musiał być jednak starym wiarusem, oficerem rzymskiej armii. Kogoś takiego Stefaton rozpoznałby nawet wtedy, gdyby zobaczył go bez odzienia.

Czyżby ten człowiek chciał zaprowadzić tutaj porządek, nie zabrawszy ze sobą miecza? Czyżby nie bał się stanąć twarzą w twarz z tymi wszystkimi Żydami bezbronnymi? Wiadomo było, że Żydzi nienawidzili rzymskich okupantów. Tutaj jednak najwyraźniej nikt nie traktował go nieufnie, wręcz przeciwnie – niektórzy pozdrawiali go serdecznie i wymieniali z nim wesołe spostrzeżenia po aramejsku.

Ciekawość Stefatona rosła. Jeżeli ten rzymski żołnierz przybył tutaj do browolnie, aby posłuchać rabbięgo, to można było się spodziewać ciekawych rzeczy. Wszyscy ciągnęli na szczyt wzgórza – ci, którzy przybyli jako jedni z ostatnich, musieli więc spróbować zdobyć dobre miejsce, aby nic im nie umknęło. Młodzieniec chwycił Sarę za rękę, aby poprowadzić ją szybko i bezpiecznie, omijając wydeptaną ścieżkę. Dziewczyna była wyczerpana, ale się nie skarżyła.

Zanim jeszcze dotarli na sam szczyt, drogę zastąpiło im dwóch mężczyzn; wskazali im miejsca. Stefaton przypuszczał, że są to kolejni uczniowie rabbięgo. Ludzie siedzieli w grupkach na trawie, oczekując na rozwój wydarzeń. Młodzieniec wyjął kupiony chleb, żeby podzielić się nim z Sarą. Jedli w milczeniu, obserwując napływających zewsząd słuchaczy; było ich coraz więcej. Tuż obok Sary i Stefatona usiadł Rzymianin ze swoim ordynansem.

– Czy nie znasz już jego mów na pamięć, setniku? – zagadnęła Rzymianina jeden z uczniów.

– Może przyszedłem tu tym razem po to, żeby wysłuchiwać twoich złośliwości, Piotrze – odparł niezmiészany oficer.

Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie.

– Cieszę się, że znów widzę przy tobie twojego sługę – odezwał się uczeń nazwany Piotrem.

Rzymianin poklepał chłopca po ramieniu.

– Jest zwawy jak młody byczek! – stwierdził energicznym głosem człowieka przywykłego do wydawania rozkazów.

Stefaton rozejrzał się. Ludzie w większości wyglądali na podekscytowanych, jak gdyby zaraz miał zstąpić z nieba sam Jahwe, żeby ich nauczać. Tacy już byli ci Żydzi. W ich życiu nie istniało nic, co traktowałiby bardziej poważnie niż religię – rzecz nie do pomyślenia dla Greka czy Rzymianina. Pomijając może ich sąsiada, którego bezczelny uczeń o dziwnym imieniu Piotr nazwał setnikiem – bo akurat u niego można było dostrzec pewne napięcie. Miał chyba wszystkie cechy, które powszechnie przypisywano rzymskim centurionom, łącznie z niezliczoną ilością blizn na spalonej słońcem twarzy. Jego obecność w charakterze osoby prywatnej była co najmniej dziwna. Również jego sługa wyglądał na zamysłonego i skupionego, wprawdzie nie zwawego jak młody byczek – jak to określił setnik – ale i nie chorego.

Po prawej stronie migotały z oddali turkusowe fale jeziora, a nad całą krainą rozpościerało się upstrzone białymi obłokami niebo. Zbocza wzgórza muskały łagodne, przyjemne podmuchy wiatru.

Przed nimi coś zaczęło się dziać. Na wzgórzu pojawił się mężczyzna w białej tunice, otoczony przez sześciu, siedmiu ludzi – to musiał być Jezus!

Towarzysze rabbiego usiedli na trawie, sam ich mistrz pozostał w pozycji stojącej. Prowadzone wokół głośnie rozmowy ustąpiły miejsca szepotom, a wkrótce zupełnie ucichły. Stefaton spojrział na Sarę. Ta wpatrywała się w Jezusa z lekko rozchyłonymi ustami, jak gdyby chciała go o coś zapytać; rabbi ze swej strony spoglądał na zebranych spokojnym wzrokiem. Stefaton oszacował, że na miejsce dotarło około tysiąca ludzi.

Jeszcze bardziej zaskoczyła go postać samego rabbiego, który skupiał na sobie uwagę wszystkich obecnych. Spodziewał się starca z długą brodą, tymczasem Jezus był mężczyzną całkiem młodym – liczył sobie najwyższe trzydzieści lat. Choć nie wypowiedział jeszcze ani jednego słowa i nie sprawiał wrażenia, jakby chciał pozyskać sobie zgromadzonych – od czego nigdy nie powstrzymałby się żaden mim – jakimś gestem lub wyrazem twarzy, to miał w sobie coś ujmującego. Biła od niego moc, choć Stefaton nie potrafił wy tłumaczyć, dlaczego tak uważa. Nie mógł sobie również przypomnieć sytuacji, w której takie uczucie ogarnęło go na widok człowieka. Jezus – można to już było stwierdzić z całą pewnością – rozczarzał wokół siebie aurę, której trudno było się oprzeć.

Sądząc po pełnych poruszenia twarzach, inni zebrani musieli mieć podobne odczucia. Komuś takiemu jak ten rabbi łatwo było przypisywać cuda. Stefatonowi wydawało się teraz, że rozumie, dlaczego znaleźli się ludzie – nawiasem mówiąc, Żydzi – którzy twierdzili, iż widzieli go chodzącego po wodzie. W tej właśnie chwili młody człowiek pojął, że nie przybył tu tylko dla Sary. On sam również pragnął się dowiedzieć, co Jezus ma do powiedzenia tym wszystkim ludziom.

Gdy rabbi wreszcie przemówił, i tym razem nie czyniąc żadnych spektakularnych gestów, Stefatonowi wydało się, że jego głos jest częścią otaczającego ich krajobrazu. Jego słowa nie były donośne, ale na tyle jasne i wyraźne, że musieli je słyszeć również ci zgromadzeni u stóp wzniesienia. Jezus mówił:

– Szczęśliwi ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie!

Obecni słuchali jak urzeczeni. Stefaton wciąż jeszcze starał się zrozumieć, co mogą znaczyć te słowa, a Jezus już kontynuował:

– Szczęśliwi, którzy się smućą, albowiem będą pocieszeni. Szczęśliwi łagodni, albowiem odziedziczą ziemię. Szczęśliwi, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem będą nasyceni!

Cóż takiego mówił ten człowiek? Choć Stefaton nie był Żydem, na tyle dobrze znał aramejski, żeby domyślić się, jak niezwykła była jego mowa.

– Szczęśliwi miłosierni, albowiem dostąpią miłosierdzia. Szczęśliwi czystego serca, albowiem będą oglądali Boga! – mówił dalej rabbi.

Między poszczególnymi zdaniem panowała cisza, której nie przerywały nawet oddechy; nikt nie ośmielił się nawet odchrząknąć, żeby nie zagłuszyć nawet jednego słowa. Jezus zaczął powoli przechadzać się między ludźmi. Tu i ówdzie przystawał, żeby spojrzeć swoim słuchaczom w oczy. Nie wyglądał surowo czy władczo, jego spojrzenie było łagodne i pełne energii zarazem; nie należał z pewnością do grona tych napuszonych filozofów, którzy głosili swe rzekome prawdy na ulicach Tyberiadz i innych miast Galilei.

– Szczęśliwi, którzy cierpią prześladowanie za sprawiedliwość, albo

wiem ich jest królestwo niebieskie. – Do uszu Stefatona dobiegły kolejne słowa nauczyciela.

Jezus rozłożył ręce; i ten gest nie miał w sobie nic teatralnego.

– Szczęśliwi jesteście, jeśli z mojego powodu lżą was i prześladują, i przypisują wam wszelkie zło, kłamiąc: czeka was sowita zapłata w niebie. Tak bowiem prześladowali przed wami już proroków – mówił.

W tej właśnie chwili po raz pierwszy rozległy się słowa dezaprobaty. Mężczyzna ubrany w obszytą frędzlami szatę faryzejską krzyknął coś o bluźnierstwie wobec Boga. Jezus nie stracił jednak spokoju. Zatrzymał się tuż przed Stefatonem i Sarą.

– Wy jesteście solą ziemi – oznajmił.

Młodemu człowiekowi wydawało się, że w oczach rabiego czai się uśmiech. Czyżby te słowa były skierowane właśnie do nich? Czy to było jego osobiste przesłanie? Stefaton poczuł, że serce zaczęło mu bić mocniej. Dłoń Sary spoczywała w jego dłoni; dziewczyna jak urzeczona wpatrywała się w nauczyciela, słuchając go z zapartym tchem.

– Jeśli sól utraci swój smak, to czym go przywrócić? Nie przydaje się na nic, najwyżej na to, żeby ludzie ją podeptali. Jesteście solą i światłem, światłem świata. Miasto, które leży na górze, nie ukryje się. Nie zapala się też świecy i nie stawia pod korcem, lecz na świeczniku, żeby mogła świecić wszystkim w domu – powiedział Jezus, po czym ruszył dalej.

– Kto ci dał prawo, aby tak mówić, Jeszuo synu Josefa? – krzyknęła faryzeusz.

Widać było, że szuka powodu do sprzeczki z nauczycielem, którego w tej okolicy już otaczała sława. Jezus bez trudu wytrzymał jego spojrzenie, ale odpowiedź, której po chwili udzielił, odnosiła się do wszystkich słuchaczy. Jego głos stracił nieco ze swojej łagodności; brzmiał teraz bardziej nagle, napominająco.

– Nie sądzicie, że przyszedłem znieść Prawo albo Proroków. Nie przyszedłem znieść, ale wypełnić. Zaprawdę, powiadam wam: dopóki niebo i ziemia nie przemina i dopóki nie wypełni się wszystko, nie zmieni się ani jedna kreska w Prawie. Ktokolwiek więc zniósłby jeden z tych przepisów, choćby najmniejszy, i tak nauczał ludzi, ten będzie najmniejszy w królestwie niebieskim. Wielki w królestwie niebieskim będzie ten, kto będzie ich przestrzegał i tak nauczał. Jeśli wasza sprawiedliwość nie będzie przewyższała sprawiedliwości nauczycieli Pisma i faryzeuszów, na pewno nie wejdzicie do królestwa niebieskiego – zawołał.

Faryzeusz rozdziawił usta. Kilku zgromadzonych zaśmiało się złośliwie, ale Jezus uciszył ich, potrząsając głową. Gdy tamci się uspokoiłi, ciągnął dalej:

– Słyszeliście, że powiedziano praojcom: „Nie będziesz zabijał”, a kto by zabił, winien będzie sądu. A ja wam powiadam: Każdy, kto gniewa się na swojego brata, będzie winien sądu. A kto ubliża swojemu bratu, będzie winien Najwyższej Rady. A kto nazwie go bezbożnikiem, będzie winien piekła ognistego.

Teraz jego ton był bardziej szorstki. Ten Jezus wcale nie miał zamiaru schlebiać swoim słuchaczom. W oczach Stefatona czyniło go to jeszcze bardziej interesującym. Nauczyciel wiedział dokładnie, czego chce, i nie dbał o to, czy jego poglądy spodobają się obecnym. Po prostu mówił, nie zdradzając nawet najmniejszej niepewności. Zaprzeczył temu, jakoby

chce znieść Prawo dawnego Izraela, ale cytując święte księgi Żydów, do-
dał od siebie niezwykle słowa: „A Ja wam powiadam”!

Czy oburzenie faryzeusza nie było zrozumiałe? Stefaton wiedział mało
o religii żydowskiej, ale przypuszczał, że takie słowa miał prawo wypo-
wiedzieć tylko tak zwany Mesjasz, na którego czekali Hebrajczycy. Czyżby
Jezus był uzurpatorem? A może uważał się właśnie za owego Mesjasza?
Wielu Żydów wierzyło, że Mesjasz przyjdzie, aby wyzwolić ich spod jarz-
ma rzymskiego panowania. Czy wiedział o tym także ich sąsiad, centuri-
on? A Sara – co ona, jako Żydówka, myślała o tym wszystkim? Młodzie-
niec miał wielką ochotę szepnąć do niej kilka słów, ale bał się, bo dziw-
czyna najwyraźniej trwała w podobnym uniesieniu, co inni ludzie w tłumie,
wliczając w to Rzymianina i jego sługę. Nie wiedział, co w tej chwili
odczuwała jego ukochana, ale na pewno nie było to oburzenie.

„A Ja wam powiadam!” – Jezus powtórzył te słowa jeszcze kilkakrotnie,
a ludzie słuchali w osłupieniu.

Rabbi zaczął mówić o małżeństwie. Cudzołóstwo – jak stwierdził – za-
czyna się już wtedy, gdy mężczyzna z pożądaniem patrzy na inną kobietę.
Kilku mężczyzn zdających tuż przed nim spuściło wzrok. Nauczyciel zda-
wał się czytać w ich myślach.

– Możecie pozwolić wam napisać list rozwodowy tylko z powodu waszej
zatwardziałości. A Ja wam powiadam: Każdy, kto rozwodzi się z żoną, na-
raża ją na cudzołóstwo. Na początku stworzenia Bóg uczynił ludzi męż-
czyzną i kobietą. Dlatego opuści człowiek swojego ojca i swoją matkę, a
połączy się z żoną i będą jednym ciałem – mówił Jezus.

– Wywyższasz się nad Mojżesza? – zawołał osłupiały faryzeusz. – Przy-
sięgam, że jeszcze tego pożałujesz!

Rabbi zatrzymał się i spojrzał w jego stronę.

– Słyszeliście, że powiedziano praojcom: „Nie będziesz fałszywie przy-
sięgał”. A Ja wam powiadam: Nie przysięgajcie wcale, ani na niebo, bo to
tron Boga, ani na ziemię, bo to podnózek Jego stóp, ani na Jerozolimę, bo
to miasto wielkiego Króla. Niech wasza mowa będzie: „Tak – tak”, „nie –
nie”, a co ponadto, pochodzi od złego.

Faryzeusz, mimowolnie zdegradowany do roli inspiratora Jezusa, nie
wytrzymał i rozwścieczony oddalił się. Miejsce opuściło również kilku
innych mężczyzn – być może cudzołóżników, jak z rozbawieniem pomyślał
Stefaton. Żydowskie kobiety, które mężowie wyrzucili z domu, nie miały
zbyt wielu możliwości obrony; nauczyciel właśnie jednoznacznie się za
nimi wstawił. Wyglądało na to, że czuł się również upoważniony do brania
w nawias pradawnych przepisów Mojżesza. Nic dziwnego, że jego na-
uczanie wywoływało sprzeciw ortodoksów – a także ludzi o ciasnych ho-
ryzontach.

– Słyszeliście, że powiedziano: „Oko za oko, ząb za ząb”. A Ja wam po-
wiadam: Nie zwalczajcie zła złem! Jeśli ktoś uderzy cię w prawy policzek,
nadstaw mu drugi – kontynuował rabbi.

Nauczyciel znów ruszył przez tłum. Sara mocno ścisnęła Stefatona za
rękę, a jemu wydawało się, że czuje, jak szczęście przenika swoim cie-
plem ciała ich obojga. Jezus znów zbliżył się do nich, tym razem jednak
zatrzymał się przy Rzymianinie.

– Słyszeliście, że powiedziano: „Będziesz kochał swojego bliźniego i nie-
nawidził wroga”. A Ja wam powiadam: Kochajcie również waszych wro-

gów i módlcie się za prześladowców, abyście stali się synami waszego Ojca, który jest w niebie. Czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą, dobrze mówcie o tych, którzy was przeklinają, i módlcie się za tych, którzy was zniesławiają.

Stefaton przełknął ślinę. Czy to przypadek, że rabbi wypowiedział te słowa w pobliżu rzymskiego oficera? A może zrobił to celowo? Polecenie, aby kochać wrogów i okupantów, musiało być dla Żydów wielkim wyzwaniem, czyż nie? Nakazy nauczyciela stawały się coraz trudniejsze do przyjęcia. Wyrzec się odwetu to już trudne zadanie, ale kochać swojego nieprzyjaciela to coś wręcz niemożliwego. Mowa Jezusa była wielką prowokacją, nikt się jednak nie skarżył. Niektórym po policzkach spływały łzy.

– Temu, kto chce zabrać ci suknię, oddaj także płaszcz. Daj każdemu, kto cię prosi, i nie żądaj zwrotu od tego, kto zabiera twoją własność. Bo jeśli kochacie tych, co was kochają, to czym chcecie się chwalić? Przecież nawet grzesznicy kochają tych, którzy ich kochają. Wy zaś bądźcie tak doskonali, jak doskonali jest wasz Ojciec w niebie – napominał rabbi.

– Panie, naucz nas się modlić!

Jezus powiódł wzrokiem po tłumie, szukając wołającej, a kiedy ją znalazł, po jego twarzy przemknął uśmiech.

– Dobrze powiedziałaś, Mario! – Stefaton usłyszał pełen uznania szept setnika.

– Modląc się, nie mówcie wiele jak poganie. Nie sądźcie, że wasza modlitwa zostanie wysłuchana tylko wtedy, gdy wypowiecie dużo słów. Wasz Ojciec w niebie wie, czego potrzebujecie, zanim Go jeszcze poprosicie. Módlcie się tak:

Ojciec nasz, któryś jest w niebie, niech się święci Twoje Imię, niech przyjdzie Twoje królestwo, niech spełnia się Twoja wola na ziemi, tak jak w niebie. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i przebacz nam nasze winy, jak i my przebaczyliśmy tym, którzy nam zawinili. I nie dowól nam ulec pokusie, ale wybaw nas od złego.

Jezus umilkł na chwilę, żeby jego słowa w pełni dotarły do słuchaczy. Niektórzy z nich bezgłośnie powtarzali usłyszaną modlitwę. Jeden z uczniów, który przez cały czas notował słowa mistrza na woskowych tabliczkach, wykorzystał okazję, aby przerwać pracę i odetchnąć. Nad głowami zgromadzonych znów powiał ciepły wiatr. W powietrzu unosił się zapach lilii.

Tyberiada? Co to było za miejsce, gdzie leżało? Pępek świata znajdował się dla Stefatona właśnie tutaj, na wzgórzu pod Kafarnaum, gdzie młodzieniec siedział u boku ukochanej dziewczyny i słuchał nauki tego zdumiewającego człowieka. Tutaj to on był widzem, nikt nie wymagał od niego, żeby zabawiał żądny rozrywki tłum, nikt nie wiwatował na jego cześć i nie klepał go z uznaniem po plecach. Tutaj mógł być sobą.

Co za wspaniały dzień! Jutro bezpowrotnie rozpłynie się w przeszłości. Dla młodzieńca tak mogłaby wyglądać wieczność.

Rabbi mówił o postach, tym dziwacznym zwyczaju Żydów. Potem podjął temat bogactwa, które – jak podkreślał – jest dla ludzi przeszkodą na drodze do królestwa niebieskiego.

– Nie możecie służyć Bogu i mamonie! – oświadczył i wskazał na parę krążących po niebie wróbli. – Przypatrzcie się tym ptakom: nie sieją, nie zbierają i nie gromadzą zapasów w spichlerzach, a wasz Ojciec niebieski

je żywi. Czyż wy nie jesteście więcej warci od ptaków? – pytał.

Stefaton zupełnie stracił poczucie czasu. Słowa Jezusa, choć na pozór zupełnie nie przystawały do znanych mu realiów, poruszały go.

– Wszystko, co byście chcieli, aby ludzie dla was czynili, i wy dla nich czynicie! – Czy można było wyobrazić sobie lepszy świat? Wszystko wydawało się takie proste i nieprawdziwe zarazem. – Jeśli chcesz wyjąć pyłek z oka brata, wyrzucić najpierw belkę ze swojego oka! – wołał rabbi.

Gdy Jezus powoli kończył mowę, cienie na trawie znacznie się wydłużyły.

– Każdy więc, kto słucha moich słów i wprowadza je w czyn, jest podobny do człowieka rozsądnego, który zbudował swój dom na skale. Gdy spadł ulewny deszcz i zerwały się wichry, dom się nie zawalił – mówił nauczyciel.

Puls Stefatona przyspieszył. Mężczyźnie przypomniawszy się rozmowa z Agriope. Mim mógłby przysiąc, że rabbi mrugnął do niego porozumiewawczo. Nie, na pewno zmrzył oczy, oślepiiony blaskiem zachodzącego słońca. Najwyraźniej jednak Sara miała podobne wrażenie.

– Zobacz, patrzy na nas – szepnęła. To były jej pierwsze słowa od dłuższego czasu.

– Każdy zaś, kto słucha moich słów, a nie wprowadza ich w czyn, jest podobny do głupca, który zbudował swój dom na piasku. Gdy spadł ulewny deszcz i wezbrały rzeki, zawalił się i rozpadł zupełnie. – To było ostatnie zdanie długiej mowy, równie osobliwe i dobitne jak jej początek, i równie wyjątkowe, jak wszystkie słowa wypowiedziane przez rabbiego. Słowo, które stało się ciałem! Cokolwiek miał na myśli uczeń, używając tego tajemniczego określenia, Stefaton uznał, że w jakiś sposób pasuje ono do tego, co przeżył.

Towarzysze Jezusa podnieśli się i znów otoczyli mistrza; wyróżniał się wśród nich mężczyzna zwany Piotrem, który zachowywał się jak osobisty strażnik rabbiego. Wyraźnie poruszeni słuchacze pozostawali jeszcze na swoich miejscach. Dopiero gdy Jezus wraz z uczniami zaczął schodzić po przeciwległym zboczcu wzgórza, przez tłum przebiegł szmer rozmów. Rzymianin patrzył za oddalającym się rabbim, żując źdźbło trawy. W końcu niezgrabnie wstał.

– Poczekaj tutaj – polecił młodemu adiutantowi i podążył za odchodzącymi.

Sądząc po wyglądzie, sługa oficera był z pochodzenia Syryjczykiem.

– Dokąd poszedł twój pan? – zapytał Stefaton.

Chłopak nie wyglądał na zdziwionego nieskrywaną ciekawością rozmówcy, wręcz przeciwnie, nawet lekko się uśmiechnął.

– Pragnie podziękować mistrzowi – odpowiedział bez wahania. – Tak jakby nie robił tego już dziesiątki razy. Pewnego dnia chyba zostanie żydem. Już zresztą zbudował dla nich synagogę.

Grubo ciosany rzymski żołnierz, który kocha Żydów, a w dodatku zbudował dla nich synagogę? Stefaton nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Zbudował synagogę? – powtórzył, czując mętlik w głowie.

– Miał swoje powody – padła krótka odpowiedź.

Stefaton podrapał się w brodę i spojrzał w kierunku, w którym podążył centurion.

– Za co chce mu podziękować?

– Leżałem sparaliżowany gorączką i byłem bliski śmierci. Nie potrafił mi pomóc żaden lekarz. Wtedy mój pan poszedł do Jezusa i poprosił, żeby rabbi mnie uzdrowił.

Sara pochyliła się ku niemu.

– Jezus cię uzdrowił? – zapytała.

Śługa rozłożył ręce.

– Przecież tutaj jestem, prawda?

– Widocznie twój pan bardzo cię ceni – stwierdził Stefan z uznaniem.

– Ale czy raczej to nie ty powinienes pójść do rabiego i mu podziękować? To ty przecież byłeś pacjentem.

– Naturalnie uczyniłem to, kiedy tylko siły wróciły mi na tyle, żeby do niego pójść – odparł chłopak.

– I co ci powiedział mistrz? – dociekała Sara.

– Że odpuszczone są mi wszystkie moje grzechy.

Stefan wyjął dolną wargę i pokiwał głową.

– Teraz jesteś nie tylko zdrowy, lecz także bez grzechów, cokolwiek przez to rozumieć. Zrobiłeś rzeczywiście dobry interes – zawyrokował.

Chłopak znów się uśmiechnął, ale tym razem z politowaniem, tak jak nauczyciel uśmiecha się do niezbyt rozcigniętego ucznia, który po intensywnych ćwiczeniach wciąż jeszcze nic nie rozumie. Dookoła ludzie przygotowywali się do drogi. Zapadł wieczór, nadszedł czas na powrót do domów.

– Nie pozostaje nam chyba nic innego, jak tylko przyjąć propozycję staro kupca, Tabito – oznajmił Stefan.

Sara najwyraźniej wciąż jeszcze nie martwiła się nieprzyjemnościami, które ją czekają za to, że pozostała przez noc poza domem i dopiero następnego dnia pokaże się zgnękanym troską rodzicom.

– Nazwał nas solą ziemi – powiedziała to tak, jak gdyby nic innego się nie liczyło.

– Mam tylko nadzieję, że twój ojciec nie zabroni się nam spotykać – mruknął jej towarzysz.

Dziewczyna spojrzała na niego nieco zmieszana.

– Czy jego słowa wcale nie zrobiły na tobie wrażenia? – zapytała.

– Cóż, jego mowa była imponująca – przyznał młodzieniec – choć nie przystawała do rzeczywistości. Oczywiście, gdyby każdy postępował według jego słów, świat wyglądałby inaczej. Ale ponieważ nigdy tak nie będzie, a wszyscy ludzie nie staną się Żydami, nie ma sensu się nad tym zastanawiać.

Wydało mu się, że w oczach Sary dostrzegł zawód, i natychmiast pożałował lekceważenia ukrytego w wypowiedzianych słowach.

– Choć ten Jezus jest oczywiście wyjątkowym człowiekiem – dodał szybko. – Jego mowa jeszcze na długo pozostanie mi w pamięci. Ale teraz chodź, musimy zatroszczyć się o nocleg – ponaglił dziewczynę i skinął na pożegnanie słudze, który wciąż czekał na powrót pana.

– Bóg z wami – powiedział tamten.

– Miejmy nadzieję – westchnął Stefan.

Właściciel sklepu w Kafarnaum dotrzymał słowa i przyjął młodych ludzi na noc. Spędzili ją oddzieleni od siebie tylko glinianą ścianką, a naza jutrz wczesnym rankiem wybrali się w drogę powrotną; gospodarz uparcie odmówił przyjęcia zapłaty za gościnę.

– Zrobiliśmy to dla was, a przez to i dla Pana – oświadczył; jakby tego było mało, jego żona dała im dwa chleby jako prowiant.

Dzień był pochmurny i zdecydowanie chłodniejszy niż poprzedni. Nad wodą unosiła się mgła. Sara była zamyślona i małomówna. Jej głowę wciąż jeszcze zaprzętały słowa rabbiego. Stefaton przyznał w duchu, że to budziło w nim nerwowość i pewną zazdrość. Spróbował przyciągnąć uwagę dziewczyny.

– Gdzież to słońce? Spójrz na jezioro, Tabito, teraz jest szare! Pamiętasz, jak jeszcze niedawno płonęło? Tego wieczoru, kiedy po raz pierwszy się pocałowaliśmy...

Sara przystanąła i spojrzała na niego.

– Nie wążp w moją miłość – odezwała się z powagą. – Ale słowa tego Jezusa bardzo głęboko mnie poruszyły, Stefatonie. Nic już nie będzie takie jak wcześniej.

Jej zapewnienia niezbyt uspokoiły młodzieńca, bo dotąd sądził on, że religijna gorliwość jest Sarze obca. Mimo wszystko w jej oczach dostrzegł prośbę, żeby wziąć ją w ramiona. Przycisnął więc mocno dziewczynę do siebie, ciesząc się bliskością jej ciała.

– Będiesz dziś wieczór występować w teatrze? – zapytała Sara.

Teatr! Zupełnie o tym zapomniał. Gelon jest na pewno wściekły, bo Stefaton nie pojawił się na próbie.

– Tak, będę występował, ale nie chciałbym, żebyś przychodziła. To głupia sztuka, sama zresztą widziałas – powiedział.

Sara uśmiechnęła się smutno.

– I tak czeka mnie areszt domowy – stwierdziła.

W tej samej chwili Stefaton postanowił, że będzie to jego ostatnie przedstawienie. Jeżeli poważnie traktował swoje uczucie do Sary – a nigdy nie traktował niczego poważniej niż to! – to nie miał czasu do stracenia. U boku ojca zgromadzi dostatecznie duży majątek, żeby móc założyć rodzinę. Chciał oznajmić to towarzysze, ale dziewczyna myślami znów była na wzgórzu. Nagle zapragnął, żeby szybko zapomniała o rabbim Jezusie.

Szli dalej, a Stefaton czuł się wolny jak ptak. Czekало na niego nowe życie.

Gdy Chares nagle wpadł do garderoby, wyglądał na jeszcze bardziej przejętego niż sami mimowie, którzy zaraz mieli wyjść na scenę. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, żeby odwiedzał aktorów tuż przed przedstawieniem, i wszyscy podejrzewali, że teraz musiał mieć ku temu ważny powód. Mimo to Gelon zaczął go besztać.

– Co to ma znaczyć, Charesie? Od kiedy to przeszkadza się artystom przygotowującym się do wielkiego występu? – Wskazał na półnągą Eugenię, która jeszcze wkładała na siebie kostium. – Poza tym to niestosowe, żeby w obecności...

Właściciel teatru nie dał mu dokończyć tyrady.

– Cała Tyberiaada zna piersi Eugenii, od kiedy grała ona heterę Kserkse-sa, Gelonie. A teraz podam ci prawdziwy powód, dla którego powinienes być zdenerwowany! – oznajmił.

– No, słucham?

– Antypas!

Gelon popatrzył na niego, mrużąc oczy.

– Antypas? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Na Zeusa, od kiedy to jesteś tępakiem? Przybył tutaj z małą świtą, żeby obejrzeć wasze przedstawienie!

Aktorzy wymienili pytające spojrzenia. Tetrarcha nigdy dotąd nie pojawił się w teatrze. Aby zapewnić sobie rozrywkę, utrzymywał własną trupę aktorów – pozbawionych talentu osłów, jak ich nazywał Gelon. Herod Antypas nie był kimś, kto przypatrywał się zajęciom ludu. Miał od tego szpiegów.

Gelon zastanawiał się przez chwilę.

– Z małą świtą? – dopytywał.

– Z żoną, pasierbicą, służbą, gwardią przyboczną, jakimś Rzymianinem, którego nie znam... no i z Kwintusem Cepionem i Faustą – pospieszył z wyjaśnieniem Chares.

– Rozumiem. – Oczy Gelona nagle zajaśniały blaskiem triumfu.

Właściciel teatru uniósł palec wskazujący i pogroził nim, jak gdyby stała przed nim gromada rozwydrzonych uczniów.

– A więc postarajcie się. Przynieście temu teatrowi szczyt! – Po tych słowach zniknął.

– A nie mówiłem? – Gelon zwrócił się do towarzyszy. – Antypas wreszcie zwrócił na nas uwagę! Udowodnimy, że jesteśmy lepsi niż jego nędzni komedianci!

– Na pewno przybył tu dla Stefatona – zauważyła przytomnie Eugenia. Jej pryncypał nie zarcagował na te słowa.

– Dajcie z siebie wszystko – powiedział zamiast tego. – Antypas musi obaczyć, że zatrudnia złych ludzi. W przyszłości będzie zabiegał o nasze względy.

– Musimy tylko mocno w to wierzyć – zadrwił Szapur.

Selenos również nie okazywał zachwyty.

– Antypas naszym chlebobawcą? No, nie wiem. Możliwe, że musieliśmy grać tylko to, co sobie zażyczy – stwierdził.

– Będzie nam płacił złotem, osły! – Gelon westchnął z powodu tępoty swoich mimów. Jego spojrzenie padło na Stefatona, który zawiązywał właśnie sandały i sprawiał wrażenie, jak gdyby to wszystko w ogóle go nie obchodziło. – Szkoda tylko, że nie zdążyliśmy porządnie poprobować. Naszego Laureolusa niestety coś... zatrzymało. Chciałem trochę dłużej poćwiczyć rolę.

– Czy sam nie powtarzasz przy każdej okazji, że Stefaton ma wrodzony talent? Próby to dla niego zwykła strata czasu. – Eugenia jak zwykle wstała się za młodym aktorem, choć Stefatonowi było teraz bardziej niż kiedykolwiek obojętne, co myślał o nim Gelon. Po przedstawieniu oznajmił mu, że nie będzie już dłużej do jego dyspozycji. Szef trupy na pewno się przerazi i spróbuje każdego sposobu, by go powstrzymać. Ale decyzja Stefatona była ostateczna. Nikt i nic nie mogło jej zmienić.

Publiczność na trybunach zaczęła klaskać, dając wyraz swojemu zniecierpliwieniu.

– No już, zaczynamy! – Gelon spojrzał po kolei na swoich aktorów. – Selenosie, wiesz, co masz robić. Graj jak zawsze. Szapurze, nie próbuj być bardziej dowcipny, niż wymaga tego twoja rola, bo z tą plugawą gębą drapieznika i tak nikogo nie przekonasz. Eugenio, pamiętaj, że tym razem nie jesteś lafiryndą, a wierną towarzyszką Laureolusa. A co do ciebie, Stefatonie – jego głos nie pozostawiał wątpliwości, że szef wciąż gniewa się na młodzieńca – to mogę mieć tylko nadzieję, że przynajmniej złożyłeś obiecaną wizytę szlachetnej Fauście.

– Jeżeli ma cię to uspokoić, to tak, byłem u niej – odparł Stefaton obojętnie.

– No, to chyba wyjaśnia, dlaczego nie przyszedł na próbę. – Szapur wyszczerzył zęby w uśmiechu. – No i co, chłopcze? Co o niej myślisz? Nie jest warta jednej albo nawet dwóch rocznych gaź? Czy ty w ogóle możesz jeszcze normalnie chodzić? – Syryjczyk wykonał obsceniczny gest.

– Zostaw go w spokoju! – odezwała się karcąco Eugenia. – Będziesz miał jeszcze wiele okazji, żeby znęcać się nad nim na krzyżu.

– Cisza tam, barany! – syknął Gelon. – Skoncentrujcie się, z łaski swojej! Nie każmy Antypasowi dłużej czekać i stwórzmy widowisko, którego nigdy nie zapomni.

Kiedy szef trupy wszedł na scenę, wybuchły brawa i widzowie zaczęli skandować imię Stefatona. Gelon poczekał, aż zgiełk ucichnie, po czym zaczął wprowadzać publiczność w treść spektaklu.

– Posłuchajcie i przyrzycie się historii Laureolusa, uczciwego chłopca, który wbrew swojej woli został zbójcą. – To powiedziaławszy, wyjął flet, aby odegrać melodię znanej wiejskiej pieśni, która płynnie przeszła w dźwięki nie mniej znanej ballady zbójckiej. – Wszystko zaczyna się pewnego sło-

necznego dnia – ciągnął Gelon pogodnym głosem, skończywszy grać. – Nasz Laureolus, zmęczony ciężką pracą na roli, odczuwa nieodpartą potrzebę położenia się pod drzewem i ucięcia sobie drzemki. Suchy skwar jest bowiem równie nieznośny jak bicz poganiacza niewolników.

Na widowni znów rozległ się burzliwy aplauz, bo na scenie wreszcie pojawił się Stefaton. Ugięty pod ciężarem pracy, rozglądał się za dogodnym miejscem do odpoczynku i po chwili znalazł takowe pod drzewem wawrzynu, a raczej odgrywającą je, wetkniętą w grecką wazę, gałązkę tej rośliny. Ziewając, opadł na ziemię, wyciągnął się na niej, założył ręce pod głowę, by już w następnej sekundzie – jak się wydawało – spać z błogim uśmiechem na twarzy.

– Ach, jak dobrze służy naszemu bohaterowi ta chwila wytchnienia! – zawołał Gelon. – Jeszcze nie wie, kto zaraz ukaże mu się we śnie. Gdyby Laureolus miał choćby mgliste przecucie, że od tej pory wszystko się zmieni, nigdy by się nie położył, lecz harowałby aż do zmierzchu. Kimże jest ten, który mu się ukaże, pytacie? Zobaczycie to sami, zaraz się tego dowiedziecie!

Zapowiadacz zniknął za ścianą *skene*, aby już po krótkiej chwili pojawił się znowu. Teraz miał brodę sięgającą aż do piersi, a zamiast fletu dzierżył w dłoni zygzakowatą błyskawicę ze złoczonego drewna.

– Wiecie, kim jestem? – zapytał publiczność dźwięcznym głosem.

– Zeusem! – wykrzyknęli zgodnie widzowie.

Gelon teatralnym gestem uniósł piorun.

– Tak, właśnie nim, i dlatego byłoby stosowne, gdyby na widowni uciły te głupie chichoty. A może myślicie, że ojciec bogów jest postacią komiczną?

– Nieee! – rozległa się pełna skruchy odpowiedź publiczności.

Zeus, już nieco udobruchany, podrapał się w brodę.

– No, ale teraz zupełnie wyleciało mi z głowy, po co właściwie zstąpiłem z Olimpu – powiedział.

– Chciałeś ukazać się w wizji Laureolusowi – oświadczył uderzając obojętnym głosem Selenos, wystawiając głowę zza ściany.

– Prawda, jakże mogłem o tym zapomnieć, na Zeusa!

– Cóż, po prostu jesteś starym grzybem – zapewnił go Selenos.

Widzowie wyli z zachwytu.

– Bezczelność! Starym grzybem? Ja, ojciec bogów? – wrzasnął Gelon-Zeus. – Hm, zaraz, od początku, a więc przyszedłem, żeby... – Bezradnie rozejrzał się wokół i wreszcie spostrzegł śpiącą pod wawrzynem postać. – A kim jest ten młody człowiek?

– To Laureolus! – odpowiedziała publiczność.

– A co ja mam wspólnego z tym... – Bóstwo zmarszczyło nos. – Z tym nieokrzesanym chłopem?

– Wizja! – Widzowie usłyszeli głos Selenosa, który zdradzał, że podpowiadający traci powoli cierpliwość.

– Proszę bardzo, skoro tego sobie życzyte! Niech będzie wizja! – Zamyślony Zeus spojrział z góry na śpiącego. – Co mam mu przepowiedzieć? Że zostanie skazany na wieczne toczenie pod górę wielkiego głazu?

– Przecież to już było – westchnął Selenos.

– A masz może lepszą propozycję, mądralo? – zapytał urażony bóg.

– Czy to ja jestem ojcem bogów? Zaskocz nas! Wymyśl coś! Coś zupełnie

nowego! Przekonaj nas, że nie jesteś starym grzybem! – odparł jego rozmówca.

– Moja Hera może potwierdzić, ile mam wigoru!

– Może w lędźwiach. Ale co z twoją głową, ty stary capie?

Zeus tupnął nogą jak obrażone dziecko.

– Myślisz, że nie umiem iść z duchem czasu? – zawołał.

– Udowodnij to!

– Udowodnij to! – zaczęła skandować widownia.

Bóstwo podniosło ręce, żeby ją uciszyć.

– Potrafię doskonale robić to, co potrafi bóg Żydów! – zawołał hardo.

– Znasz go? – zapytał Selenos.

– Skąd? Przecież to jedyny bóg, jak więc możemy się znać? A więc wizja! – Zeus w zamyśleniu skubał brodę.

– Tylko pamiętaj, ojczyźnie bogów: bez tamtych starych numerów!

– Nie jestem starym grzybem! – wrzasnęła Zeus tak głośno, że musiała go usłyszeć cała Tyberiada.

Laureolus obudził się, przestraszony.

– Kim jesteś? – zapytał, przecierając oczy.

Publiczność nagrodziła jego pierwsze słowa specjalnymi brawami.

– A na kogo wyglądam? – odpowiedziało pytaniem na pytanie bóstwo.

Laureolus zlustrował je wzrokiem od stóp do głów.

– Czy to, co masz w ręku, to piorun? – zapytał.

– Oczywiście, że piorun!

– A! W takim razie pewnie jesteś Zeusem, ojcem bogów! – stwierdził Laureolus i zaczął z powrotem układać się do snu, ale bóstwo wymierzyło mu kopniaka.

– Chcesz spać, kiedy stoi przed tobą Zeus? – powiedziało gniewnie.

– Wybacz, ale myślałem, że to tylko wizja – usprawiedliwiał się Laureolus.

– I właśnie tak jest, ty łobuzie. A teraz posłuchaj mnie uważnie. – Zeus głęboko zaczerpnął powietrza. – Nie jestem starym grzybem! A ty jesteś wybrańcem bogów.

– Ja?

– Odtąd jest ci przeznaczone dokonywać wyłącznie dobrych czynów – oznajmiło bóstwo.

– Rozumiem – odparł Laureolus, ale jego mina mówiła coś zupełnie przeciwnego.

– Od tej pory – ciągnął rozbawiony Zeus – będziesz pomagał ubogim i wdowom. Na twoich wargach nigdy nie pojawi się kłamstwo i nigdy nie podniesiesz ręki na innego człowieka.

Laureolus podrapał się po głowie i skinął nią niepewnie.

– Jak uważasz, ojczyźnie bogów – powiedział.

– Z czego się, na Hades, tak śmiejecie? – zawołał Zeus do widzów, zachwyconych mimicznym kunsztem Stefatona. – Z tamtego Mojżesza nikt się jakoś nie wyśmiewał, mam rację? – Pogroził publiczności błyskawicą.

– I będziesz się trzymał z dala od dobytku twojego sąsiada i od jego żony, rozumiesz, Laureolusie? – dokończył.

Niewidzialny Selenos dostał ataku śmiechu.

– I powiedział to największy zbereźnik, jakiego świat widział! – zawołał.

– Były czasy, w których moje imię wymawiano ze czcią! – wrzasnął wściekle Zeus.

– Jak już mówiliśmy, czasy się zmieniły.

– Czasy się zmieniają, kiedy sprowadzę na świat zagładę. I uwierz mi, stanie się tak, jeśli ten tępak nie zrobi tego, co mu każę! – oświadczyło bóstwo.

– A więc składasz losy świata w ręce tego prostaka? – zapytał z niedowierzaniem Selenos.

– Dlaczego nie? Jestem Zeusem i mogę robić, co mi się podoba!

– Ha, ha! Powtórz to swojej Herze, a ona już ci powie, co o tym myśli!

Jeszcze przez chwilę obaj kontynuowali kłótnię ku uciesze widzów, aż wreszcie Zeus cisnął błyskawicą w kierunku prowokatora; ten wydał przeciągły okrzyk i padł, udając martwego. Tymczasem Laureolusa znów zmorzył sen. Zeus jeszcze raz dokładnie mu się przyjrzał.

– Kiedyś na ziemi można było znaleźć herosów – odezwał się z westchnieniem. – Dziś roi się na niej od osłów i fajtlapów. Wizja dla głupca! Ale będąc miał uciechę, patrząc na to, co ten prostak z nią zrobi! – Zadowolony z siebie kiwnął głową i wśród kurtuazyjnego aplauzu opuścił scenę.

Nigdy jeszcze podczas przedstawienia Stefaton nie był myślami tak daleko od rzeczywistości, jak teraz. Czy na widowni siedziała Sara? Mało prawdopodobne, bo przecież nie kryła, że nie spodobał jej się już pierwszy spektakl. Poza tym zapewne tak bardzo rozgniewała ojca, że ten nie będzie chciał wypuścić jej teraz z domu.

Jeszcze tylko to jedno nieznośne przedstawienie! Młodzieniec nie mógł się doczekać końca. Ale zanim on nadejdzie, Stefaton będzie musiał przejść ciężkie próby – między innymi ukrzyżowanie. Postanowił, że weźmie się w garść, żeby nie zawieść publiczności. Udając śpiącego pod drzewem wawrzynu, zmrużonymi oczami spoglądał na rzędy miejsc w amfiteatrze. Nie, Sary nigdzie nie było widać, a ją odnalazłby nawet w stutysięcznym tłumie.

Dla tetrarchy Heroda Antypasa i jego świty zwolniono miejsca tuż przed orkestrą, dzięki czemu władca mógł śledzić widowisko z najbliższej odległości, z dala od prostego ludu. Stefaton dotąd nie widywał Antypasa zbyt często. Tetrarchę uważano za człowieka podstępnego i nieczułego, ale te rzekome cechy nie znajdowały odzwierciedlenia w jego rysach twarzy. Mim zauważył, że tamten raz po raz z błogim uśmiechem gładzi swą kręconą brodę. Antypasa nie oburzyła nawet ironia, z jaką Gelon-Zeus mówił o bogu Żydów i ich proroku Mojżeszu – tetrarcha nie był człowiekiem szczególnie religijnym, a przynajmniej nie człowiekiem religijnym w rozumieniu Hebrajczyków. W oczach większości swoich żydowskich poddanych – podobnie jak i jego ojciec Herod, któremu dawni zwolennicy zdążyli już nadać przydomek „Wielki” – jawił się jako władca obcy, ponieważ niż z jego przodków nie wyodził się z żadnego z plebion Izraela. Wszystko to Gelon wiedział doskonale, w przeciwnym bowiem razie nie ośmieliliby się w jego obecności tak banalizować tematu

religii.

Po lewej stronie Antypasa siedziała okryta barwną tuniką Herodiada. I ona wyglądała na rozbawioną. Była drugą żoną tetrarchy, który z miłości do niej oddalił pierwszą małżonkę. Już sama ta okoliczność mierzyła pobożnych Żydów, a sytuację pogarszał dodatkowo fakt, że Herodiada wcześniej była żoną przyrodniego brata władcy, a tym samym jego szwagierką. Jak mówiono w Tyberiadzie, Antypas niedawno kazał uwięzić pustynnego kaznodzieję imieniem Jan, który udzielał nad Jordanem chrztu i w ostrych słowach potępiał podwójne cudzołóstwo. Jego przykład był tylko dowodem na to, jak bardzo należało strzec się tetrarchy. Herod być może patrzył przez palce na drwiny z religii, ale krytyka jego osoby wiązała się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem. Każde słowo wypowiedziane na scenie musiało być więc dobrze przemyślane. Stefaton ufał intuicji Gelona. Ich szef na pewno wiedział, co uchodziło, a co lepiej było przemilczeć.

Obok Herodiady siedziała, rozparta w wyzywająco niedbałej pozie, młodzianka dziewczyna. Musiała to być Salome, córka Herodiady; były do siebie uderzająco podobne. Dwie olśniewające piękności z aksamitnie czarnymi, wysoko upiętymi włosami – jak nakazywała rzymska moda – i patrzącymi wyniosłe zielonymi oczami; Stefatonowi nie umknęło pożądlive spojrzenie, jakim obdarzył pasierbicę Antypas, szepcząc coś jednocześnie do swojej małżonki.

Rzymianin, o którym wspomniał Chares, cywil w białej todze, siedział po prawej ręce Antypasa. Był to korpulentny mężczyzna o nabiegłych kwią oczach i podwójnym, całkowicie zasłaniającym szyję podbródku. I on chyba dobrze się bawił. Co jakiś czas zamieniał kilka słów z tetrarchą. Stefaton nigdy jeszcze nie widział tego człowieka. Mężczyzna musiał być ważnym gościem, niezależnie od tego, skąd przybył – być może z samego Rzymu.

Doskonale mu była znana natomiast twarz sąsiadki nieznajomego – Fausty Decili. Po jej lewej stronie zajmował miejsce sędziwy Kwintus Cepio, ze skrzyżowanymi na piersi chudymi rękami. Już wkrótce po rozpoczęciu przedstawienia zapadł w drzemkę; zdezorientowany podnosił głowę tylko wtedy, gdy rozlegały się brawa lub śmiechy, aby już wkrótce znów paść w objęcia Morfeusza.

Obecność Fausty niepokoiła Stefatona. Czy kobieta czuła do niego urazę o to, że poprzedniego dnia tak zuchwale odrzucił jej względy? Mógł przysiąc, że cały czas śledziła go wzrokiem. Jej spojrzenie wydawało się zagniewane nawet wówczas, gdy przyłączała się do ogólnego śmiechu. Ale dlaczego młodzieniec miał o to dbać? Wszak porzuca zawód mima, a Fausta na pewno znajdzie inne sposoby na zaspokajanie swoich potrzeb. Już wkrótce w ogóle przestanie zaprzętać sobie nim głowę.

W świącie Antypasa znalazły się też służące i niewolnicy, wśród nich Brennus. Były gladiator przykucnął obok swojej pani, Fausty, i starał się nie zwracać na siebie uwagi, co z powodu jego potężnej postury było w zasadzie niemożliwe. Dwaj kolejni słudzy wachlowali dostojnych gości, zapewniając im dopływ świeżego powietrza. Trzeci zaopatrywał ich w wino, gorliwie napełniając podsuwane mu puchary. Nad nimi, na galerii pod kolumnami, czuwało kilkunastu żołnierzy Antypasa. Bez tej eskorty władca nigdy nie opuszczał swojego pałacu.

Stefaton zdążył zaobserwować to wszystko, kiedy na scenie trajkotał

Zeus. W pewnej chwili ogarnęło go złowrogie przeczucie, że ten spektakl, ten dzień, a nawet jego kariera aktorska skończą się zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażał.

Przez dwie kolejne godziny widzowie oglądali tragicomiczną opowieść o życiu Laureolusa. Zbudziwszy się ze snu, główny bohater zaczął rozmyślać o przeżytej wizji; w końcu postanowił potraktować poważnie nakaz ojca bogów i odtąd czynić wyłącznie dobro. Sprzedał więc swoje gospodarstwo, rozdał majątek potrzebującym i zaczął wędrować po kraju, nauczając: „Nie zabijajcie, nie kradnijcie i nie kłamcie! Pomagajcie ubogim oraz chorym i bądźcie wierni swoim żonom! Jeśli mnie nie posłuchacie, czeka was zguba!”.

„Co za puste frazesy!” – pomyślał Stefaton. Laureolus był tylko bezbarwną imitacją rabbiego Jezusa, a Zeus zaś, w porównaniu z głoszonym przez tamtego bogiem Żydów, ograniczonym głupcem. Z drugiej strony, byli przecież w teatrze; ludzie nie chcieli słuchać pouczeń. Jak prosto zostały skonstruowane człowiecze umysły!

– Wszystko, co byście chcieli, aby ludzie dla was czynili, i wy dla nich czynicie! – dodał Stefaton do swojego tekstu. Niektórzy słuchacze wybuchnęli śmiechem, dopatrując się w jego słowach dwuznaczności. Tak, nadszedł najwyższy czas na nowe życie.

Pierwsza uczennica Laureolusa stała się zarazem jego wierną towarzyszką. Zmysły widzów pobudzała teraz dawna ulicznica Helena, grana przez popisującą się wielkim temperamentem Eugenię. Do bohaterów przyłączali się kolejni uczniowie; ich wielość symbolizowały ułożone w wachlarz, przymocowane do długich prętów maski, którymi zasłaniał sobie twarz Selenos, powtarzający bezmyślnie każde słowo swego przywódcy. W ten sposób – jak oznajmił narrator Gelon – za Laureolusem podążyły wkrótce tysiące ludzi pragnących zbudować lepszy świat.

Owi zwolennicy nowego porządku musieli jednak jakoś żyć, a ich miłość nie wszędzie bywała odwzajemniana – nie każdy chciał dzielić się z nimi chlebem. Po raz pierwszy na scenie pojawił się Szapur jako Warsakan; choć sam początkowo był uczniem chłopca-proroka, ostatecznie stał się rzecznikiem tych, którzy pragnęli posłać przywódcę ruchu oraz jego zwolenników do Hadesu. Skutecznie zaczął podburzać przeciwko nim ludzi, w związku z czym stronnikom Laureolusa coraz częściej odmawiano wstępu do miast i wiosek. Ponieważ wypędzani nie chcieli umrzeć z głodu, zaczęli kraść to, czego potrzebowali do życia – a wkrótce potem i inne dobra, które wpadły im w ręce. W ten sposób zaczęto się ich bać jako bandy bezwzględnych rabusiów. Warsakan udał się po pomoc do króla; Gelon zręcznie odgrywał rolę władcy przypominającego Antypasa, który bez wahania wysłał zastępy wojska, aby położyć kres pladze.

Szef trupy wzięła na siebie również rolę żołnierzy – trzymając między nogami trzy drewniane koniki na kijach, udawał atak konnicy. Moment potyczki, w której Selenos desperacko okładał jeźdźców maskami, był jednym z kulminacyjnych punktów sztuki; scena aż drżała, bo obaj walczący

Świadek

przygotowali efektowny taniec. Wreszcie pobici zwolennicy Laureolusa osunęli się na ziemię.

Na skraju pola bitwy stał sam nauczyciel; na widok klęski swoich uczniów wydał okrzyk rozpacz. Po chwili zwycięzcy związali go, a publiczność skomentowała uwięzienie ulubieńca pełnym współczucia jękiem. Kobiety machały białymi chusteczkami. Bohater pod eskortą został wyprowadzony za *skene*; Helena ze szlochem pobiegła za nim.

Selenos zapowiedział przerwę, a w orchesterze wypełnionego po brzegi teatru pojawił się ciemnoskóry połykacz ognia, aby swoimi akrobatycznymi sztuczkami umilać widowni czas oczekiwania na ciąg dalszy sztuki.

8

Podeksycytowany Gelon paradował w tę i z powrotem przed aktorami, którzy wykorzystali przerwę na to, aby na chwilę usiąść i czegoś się napić.

– Jesteście wspaniali! – chrypiał. – Oby tak dalej! Antypas jest zachwycony, mówię wam. Widzieliście, jak z uciechy bił się po udach?

– Widziałam przede wszystkim, jak bez przerwy zerkał na tę dziwkę pasierbicę – stwierdziła Eugenia. – A Herodiada miała wielką ochotę dać mu za to po gębie!

– Żeby tylko żaden z was, żartownisie, nie wpadł na pomysł, żeby dowcipkować o tym na scenie, zrozumiano? – nakazał z naciskiem szef trupy.

– Naprawdę uważasz nas za takich głupców, Gelonie? – zapytał Selenos, uśmiechając się wymuszenie.

– Tak trzymać, jesteście naprawdę wspaniali! – Szef trupy zatrzymał się nad Stefatonem, który patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem. – Z wyjątkiem naszego sławnego bohatera. Stefatonie, chłopcze, co się dziś z tobą dzieje? Widywałem cię grającego z większą pasją. Chyba nie jesteś zbyt skoncentrowany – oznajmił.

– Zostaw go w spokoju, przecież wiesz, jaki jest zakochany – zaprotestowała Eugenia.

– Zakochany, zakochany... i co z tego? Wszyscy byliśmy kiedyś zakochani. Nasz heros ma łaskawie wziąć się w garść. Czy sama nie powiedziałaś, że Antypas przyszedł tu tylko dla niego?

– A czy sam nie powiedziałaś, że Antypas świetnie się bawi? Czego chcesz od tego chłopaka?

– Chcę, żeby nam wszystkiego nie zepsuł, moja nimfo – wyjaśnił Gelon. – To już nic nie można powiedzieć? Poza tym tetrarcha śmiał się najbardziej z naszego wspaniałego tańca. Selenos i ja ćwiczyliśmy go wczoraj w pocie czoła, kiedy nasz zakochany pożeracz serc zabawiał się ze swoją Zydóweczką – dodał kpiąco.

– Uważaj na słowa, Gelonie – syknął niebezpiecznie Stefaton.

Gelon pogroził mu palcem.

– To ty lepiej nic nie mów – powiedział złowrogo. – Nie masz powodu, aby się unosić!

– Gelonie! – zawołała Eugenia, czując, że kłótnia wisi w powietrzu. Ale kochanek ją zignorował.

– Uwierz mi, chłopcze, jeśli będzie trzeba, poradzimy sobie całkiem dobrze i bez ciebie – oznajmił Gelon.

– Jak uważasz – odparł Stefaton, wrzeszcząc ramionami.

Dziwny ton jego głosu sprawił, że szef trupy zamarł i zmrużył oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że cię nie potrzebuję, Gelonie. Ani ciebie, ani tego teatru.

Gelon przyglądał mu się przez chwilę, zaciskając żęby. Ponieważ Stefaton najwyraźniej nie zamierzał uściślić swojej wypowiedzi, zapytał groź-

nie:

– Niech zgadnę: Chcesz dołączyć do innej trupy?

– Myśl sobie, co chcesz, Gelonie. Wszystko mi jedno – odpowiedział młodzieniec.

– A więc to prawda!

– Teraz nie jest dobra pora na roztrząsanie takich spraw – podjął próbę mediacji Selenos. – Dlaczego nie możemy porozmawiać o tym później?

– Bo chcę wiedzieć to tu i teraz – burknął ze złością szef trupy. – No, Stefatonie? Jak będzie? Chcesz nas opuścić?

Młody aktor ani myślał uciekać przed jego wścickłym spojrzeniem.

– Ty to powiedziałaś, Gelonie. Opuść tę trupę. No cóż, teraz już wiesz, zostaw mnie zatem w spokoju.

– Kto cię podkupił? Gdzie byłeś? A może podszeptała ci coś ta twoja żydowska nałożnica?

Stefaton zerwał się gwałtownie i złapał Gelona za kark.

– Ostrzegłem cię! – zawołał.

W ostatniej chwili obu mężczyzn rozdzielił Szapur, stanąwszy między nimi z wyciągniętymi ramionami.

– Tylko spokojnie! – mruknął niskim głosem.

– Ten niewdzięczny łajdak! To ja zrobiłem z niego tego, kim jest dzisiaj! – wrzasnął Gelon.

– Niewdzięczny! – zaśmiała się głucho Eugenia. – A za co ma być ci wdzięczny? Za to, że został mimem, zamiast pójść w ślady swojego szanowanego ojca? Och, cóż za awans społeczny! Już, podziękuj swojemu wielkiemu mistrzowi, Stefatonie – zakpiła. Wiedziała, że powinna była milczeć, żeby jeszcze bardziej nie rozjuszać Gelona. Tu jednak chodziło o jej ulubieńca.

– Dlaczego wbijas mi nóż w plecy, kobieto? – zapytał rozwścieczony szef trupy.

– Nie jest twoim niewolnikiem. Może robić, co mu się podoba. Choć to ja będę najbardziej niepokieszona, jeśli nas opuści.

Selenos chrząknął.

– Pomówimy o wszystkim później, dobrze?

Gelon najwyraźniej też doszedł do takiego wniosku, bo zamknął oczy i głęboko zaczerpnął powietrza. W tej samej chwili do pomieszczenia wszedł Chares.

– Ludzie się niecierpliwią! – oznajmił. – Grajcie dalej, zanim obrzucą polykacza ognia odpadkami. A tak w ogóle to już wiem, o co chodzi z tym Rzymianinem.

– No i? Kim jest ten tłusty wieprz? – dopytywał Szapur.

– To Sekstus Salwiusz, rzymski senator, zaufany Tyberiusza, który specjalnie wysłał go do Galilei. Jeśli chcecie znać moje zdanie, to zrobił to po to, żeby patrzeć na ręce Antypasowi. A jeśli twoja obelga dojdzie do jego uszu, to już po twoim głupim syryjskim łbie! – ostrzegł go Chares.

– Nic dziwnego, że Antypas mu nadskakuje – burknął Gelon, po czym zaklaskał w dłonie. – No, do roboty! Musimy jeszcze kogoś ukrzyżować!

Gdy cesarz Tyberiusz, znany mizantrop, zaszył się na wyspie Capri, aby spędzić tam jesień życia, przekazał ster rządów swojemu zaufanemu, Lucjuszowi Eliuszowi Sejanowi, prefektowi gwardii pretoriańskiej. Jako zastępca cesarza i rzeczywisty władca pociągał on za wszystkie sznurki rzymskiej polityki. Nawet w najdalszych zakątkach imperium wiedziano, że ma wielkie ambicje; nie brakowało takich, którzy posądzali go o chęć sięgnięcia po tytuł cesarza. Z powodu swojej bezwzględności miał w stolicy wielu wrogów, ale stary Tyberiusz nie chciał się z nim rozstać, mimo że wysiłki Sejana, mające na celu wżenienie się w rodzinę panującą, jak na razie pozostawały bezowocne.

Stefaton wiedział o tym wszystkim, choć takie sprawy nieszczególnie go interesowały. Z drugiej strony, fakt, że w teatrze gościł nie tylko tetrarcha Herod Antypas, lecz także bliski zaufany cesarza, stanowił pewną sensację. Nic dziwnego, że Gelon był tak zdenerwowany. Stefaton mógł przewidzieć, jakie myśli przebiegały przez wyrachowany umysł szefa trupy. Gelon chciał zaimponować nie tylko Herodowi, lecz także temu Rzymianinowi. Czy oczami wyobraźni widział już siebie występującego w Rzymie? Albo na Capri? Podczas spektaklu Sekstus Salwiusz najwyraźniej doskonale się bawił. Ambicje Gelona były niepomahowane; ten mężczyzna nie ustanie, dopóki nie zaskarbi sobie uwagi i przychylności Rzymianina, to pewne. Jeśli chodzi o Antypasa, sądził, że już je zyskał.

Cóż, taki był świat Gelona. Stefaton bez żalu go opuści. Kłótnia dodatkowo mu to ułatwiła. Młodzieniec nie wybaczy pryncypałowi słów, których ten użył, żeby obrazić Sarę. Musiał jeszcze tylko przetrwać to przedstawienie, to przekłete ukrzyżowanie. Potem – tak sobie poprząsiął – już nigdy nie wyjdzie na scenę.

Scena, w której Laureolus staje przed sądem, była dla publiczności źródłem znakomitej rozrywki, dla Stefatona – prawdziwą próbą cierpliwości. Młodzieniec do tej pory traktował swoje role poważnie; dziś nie mógł doczekać się końca spektaklu. Nawet jeśli widzowie się nie zorientowali, już dawno spostrzegł to bystry Gelon, choć wyciągnął z zachowania Stefatona fałszywe wnioski. Mimo kłótni młody człowiek chciał rzetelnie doprowadzić sprawę do końca. Robił to przecież nie tylko dla szefa, byli jeszcze Selenos, Szapur, a przede wszystkim Eugenia – ludzie, którzy z biegiem czasu stali się dla niego bliscy jak rodzeństwo. Zasłużyli na to, żeby sztuka o zbójcy Laureolusie odniosła w Tyberiadzie sukces. Z pewnością szybko znajdą dla niego następcę. Nikt nie był nie do zastąpienia – wciąż z naciśkiem przypominał o tym Gelon.

– Twoi uczniowie kradli i mordowali! – oskarżał związanego rabusia sędzia. Był nim Gelon; Stefaton zdziwił się, z jak wielkim wstrętem tamten wypowiadał swój tekst. W czasie pierwszego przedstawienia odgrywał swoją rolę z wyniosłą pogardą, ale teraz przypominał fanatyka, który pragnie tylko śmierci skażanca. Nawet jego dowiec gdzieś zniknął.

– Nie rozkazałem im tego – bronił się Laureolus.

– A co im rozkazałeś? – dociekał sędzia.

- Mieli zaopatrywać nas w chleb i ryby – wyjaśnił skazaniec.
 - Czy mieli pieniądze?
 - Tego... tego nie wiem – jękał się Laureolus.
 - Nie wiesz? Wspaniały z ciebie nauczyciel! Jak to sobie wyobrażałeś? Tylu ludzi! Może chciałeś w cudowny sposób rozmnożyć chleb?
 - Czyniłem tylko to, co mi nakazano.
 - A co ci nakazano?
 - Żebym pomagał ubogim i chorym. Żebym naprawiał świat. Żebym czynił dobro – tłumaczył oskarżony.
 - Doskonale ci się to udało! – ironizował sędzia. – Kto nakazał ci czynić to za wszystko?
 - Zeus.
 - No pewnie! Zeus!
 - Musisz mu uwierzyć! – płakała klęcząca opodal Helena. – To Zeus jest wszystkiemu winien!
 - To Zeus jest wszystkiemu winien! Zeus! Zeus! Zeus! – wtórowała publiczność.
 - A więc mamy przybić do krzyża ojca bogów? – zapytał Gelon.
- Helena gorliwie przytaknęła.
- Ten stary łajdak na pewno na to zasłużył!
 - Ukrzyżuj Zeusa! – skandowała widownia.
- Sędzia wznosił oczy ku niebu.
- Zeusie! Ojcze bogów! Już, schodź na ziemię i pokutuj za to, co uczyniłeś! – Gelon stał przez chwilę w bezruchu. – Nie słyszy mnie! – obwieścił wreszcie z westchnieniem.
 - Nie słyszy, bo w niego nie wierzysz! – zawołał ku zdumieniu wszystkich Rzymianin.

Na jego ustach wykwitł zły uśmiech. Antypas bił brawo. W dłonie kłaskały również Herodiada i Salome; podobnie Fausta, choć ta ostatnia czyniła to z wytworną powściągliwością.

- W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak tylko cię ukrzyżować, Laureolusie – oświadczył sędzia. – Ale kto wie – dodał z drwiną – może Zeus zdejmie cię z tego pała hańby? – Przywołał skinieniem dłoni dwóch katów: Szapura i Selenosa. – Na krzyż z nim!

Rola kata pasowała do Szapura jak ulał. Nieco wyższy od skazańca krzyż był wykonany z grubego drzewa cedrowego. Do przeprowadzenia ukrzyżowania – nawet jeśli odbywało się ono tylko na scenie – nie nadawał się tradycyjny rekwizyt. Gelon nie chciał, żeby egzekucja stała się sceną czysto komiczną. Jak powtarzał, ważne było umiejętne połączenie grozy i humoru.

Dla uproszczenia sprawy obie belki krzyża zostały już wcześniej ze sobą połączone. Oprawcy z hukiem rzucili drewnianą konstrukcję na deski sceny, chwycili Laureolusa, rozwiązali mu pęta, aby następnie zerwać z niego tunikę. Skazaniec stanął między nimi ubrany tylko w przepaskę, a widok jego atletycznego ciała sprawił, że z piersi niejednej obecnej na widowni damy wyrwał się okrzyk zachwytu. Kaci ujęli nieszczęśnika za ręce, żeby przycisnąć go do krzyża. Pogodzony ze swoim losem Laureolus poddał im się, nie próbując się bronić.

Oprawcy powrozami zaczęli przywiązywać mu ramiona do poprzecznej belki. Helena przybiegła na miejsce kaźni, żeby uwolnić ukochanego z

rąk brutalni, co oczywiście było przedsięwzięciem z góry skazanym na porażkę – Szapur przepędził kobietę, wymierzając jej solidnego klapsa. Trzymając się za obolałą część ciała, Helena w podskokach uciekła ze sceny.

Wtedy to, ku zdziwieniu Stefatona i obu katów, Gelon postanowił sam zabrać się za skazańca.

– Ja to będę robił!

Odepchnął Selenosa i ukląkł, żeby kontynuować jego dzieło. Nie tak wyglądały ich ustalenia. Od kiedy to sędziowie osobiście zajmowali się egzekucjami?

– Co to ma znaczyć, Gelonie? Chcesz mi odebrać rolę? – szepnął Selenos.

Tamten jednak nie zwracał na niego uwagi; z całej siły zacisnął pięta wokół przegubów rąk skazańca – tak, że tym, który krzyknął z bólu, był nie Laureolus, lecz Stefaton.

– Oszalałeś? – syknął Selenos, ale uśmiechał się dalej do tłumu, wruszając ramionami i jednocześnie pukając się w głowę, tak jakby scena była przewidzianą częścią sztuki. Szapur również potrzebował dłuższej chwili, żeby zamaskować swoją konsternację.

– Sędzio, kto cię uczynił katem? – zapytał głośno.

– Zeus, a kóżby inny? – padła odpowiedź.

Rozbawiony Antypas klaskał w dłonie, jak gdyby bardzo mu odpowiadało wyobrażenie, że sędzia może być zarazem wykonawcą kary.

Po przywiązaniu jednej ręki Laureolusa Gelon pognął na drugą stronę, gdzie obok krzyża wciąż klękał Szapur.

– Odsuń się! Chcecie pieścić tego lajdaka czy go ukrzyżować? Tak to się robi! – zawołał.

Stefatonowi po raz kolejny wydawało się, że dłoń zaraz mu odpadnie; tym razem ból był jeszcze silniejszy. Helena po raz kolejny wdarła się na scenę i rzuciła na dręczyciela.

– Zadajesz mu ból, ty przeklęty durniu! – wrzasnęła, okładając Gelona pięściami. Widzowie śmiali się i gwizdali.

– Nie popsuj wszystkiego, moja nimfo – mruknął szef trupy, osłaniając głowę dłońmi. Obawa o to, że niespójności akcji zwrócą uwagę widzów, skłoniła Szapura do odciążenia Heleny siłą od brutalnego sędziego.

– Idź precz, kobieto! – krzyknął.

– Ale on go przecież zabije!

– Taki jest właśnie sens ukrzyżowania – oznajmił filozoficznie Selenos.

– Idź, Eugenio – szepnął ponaglająco. – Będziemy uważać, obiecuję!

– Nie wydaje mi się!

– Idź, proszę! – powtórzył cicho aktor.

Kiedy Helena oddaliła się niechętnie, trzech oprawcy dokonczyli dzieła. Powrozy zacisnęły się również wokół nóg Stefatona, a jego stopy spoczęły na podpórcie. Wreszcie kaci wspólnymi siłami unieśli krzyż, aby wsunąć go w przygotowane specjalnie do tego celu zagłębienie. Ból spowodowany szarpnięciem przeniknął ukrzyżowanego do szpiku kości.

Gelon, teraz znów jako wolny od nienawiści poeta, sięgnął po flet i wy dobył z niego smutne dźwięki.

– Nie minie wiele czasu, a nasz tragiczny Laureolus będzie czekał na brzegu Styksu na przybycie przewoźnika Charona – poskarżył się bez

przekonania. – Miejmy nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto włoży mu obola do ust, bo jeśli Charon nie otrzyma swojej zapłaty, to już mu powie, co o nim myśli. – Uśmiechając się błogo, spojrział w miejsce, gdzie zniknęła Helena. – Ale jestem pewien, że jest ktoś, kto się nad nim zlituje! – dodał.

Jeżeli ukrzyżowanie podczas premierowego przedstawienia przysporzyło Stefatonowi cierpienia, to obecne stanowiło niewypowiedzianą mękę. Co sobie myślał Gelon, tak go katując? Czy mim, którego Stefaton uważał za przyjaciela, pod wpływem nikczemnej żądzy zemsty stał się nagle oprawcą?

Młodzieńca bolały nie tylko kończyny – aktor czuł się tak, jakby ktoś wbił mu w czaszkę nóż. Pragnął nieprzerwanie krzyczeć; niech widzowie zrozumieją, że coś tu jest nie tak, że jego męki nie są udawane, że on naprawdę spogląda w twarz śmierci. Wołanie uniemożliwiał mu jednak brak powietrza, jego płuca wypełniał rozdzierający ból. Podpórka była umieszczona niżej niż za pierwszym razem i Stefaton musiał wkładać znacznie więcej wysiłku w przenoszenie ciężaru ciała, chcąc ulżyć poszczególnym członkom. Czy i to była sprawka Gelona?

W przeciwieństwie do Eugenii Szapur i Selenos nie zrobili zbyt wiele, żeby powstrzymać pryncypała – być może dlatego, że nie potrafili sobie wyobrazić, jak bolesna była ta udawana egzekucja. Na pewno powtarzali sobie, że to tylko sztuka teatralna, w której nikt tak naprawdę nie umrze, a na koniec rozlegną się burzliwe brawa. Dla sławy mim musiał być zresztą gotów zacisnąć zęby – tak zapewne myśleli Szapur i Selenos, dając wolną rękę Gelonowi, którego złego humoru się w dodatku obawiali.

Dłonie Stefatona były jak martwe; młodzieniec nie był w stanie poruszyć nawet palcem. Wydawało mu się, że ktoś powoli wysysa życie z jego ciała. A przecież na krzyżu musiał jeszcze odgrywać swoją rolę. Czuł się jak zwierzę ofiarne; widział tysiąc twarzy, wpatrzonych w niego z miejsc amfiteatru z uwagą, pełnych szacunku, przekonanych, że jego udręczenie to pokaz wspaniałej gry aktorskiej, a nie najprawdziwsza rzeczywistość. Jakież to szczęście, że nie było tu Sary!

– Dobry Zeus ma chyba inne sprawy na głowie niż zdejmowanie cię z krzyża – zawołał Gelon, znów wcieliwszy się w bezlitosnego sędziego.

– Pragnę! – wydyszał Stefaton, bez wahania opuszczając przewidziany w tym miejscu dialog. Szapur zrozumiał bądź co bądź, że jego zadaniem było teraz podanie skażącemu poski – wody zmieszanej z octem winnym. Zanurzył gąbkę w przygotowanym wcześniej wiadrze, zatknął ją na gałązkę hizopu i podsunął ukrzyżowanemu pod usta.

Stefaton nie zażądał napoju tylko po to, aby przyspieszyć rozwój wydarzeń – naprawdę dręczyło go straszliwe pragnienie. Choć jego siły powoli słabły, perspektywa otrzymania łyka płynu była czymś tak wspaniałym, że oczekując na niego, młodzieniec przez chwilę nie czuł w ogóle bólu.

Podany napój okazał się jednak czystym octem. Ukrzyżowany wypiął go – miara okrucieństwa najwyraźniej się jeszcze nie wyczerpała. I ta podłość musiała być częścią zemsty Gelona.

– To... to ocet. – Stefaton wiedział, jak niedorzeczny był jego protest, ale nie przychodziły mu do głowy bardziej błyskotliwe słowa. Zdezorientowany Szapur powąchał gąbkę.

– Ach, ten nasz Laureolus! Jeszcze kaprysi – powiedział Gelon, potrząsając głową.

- Wody! – jęknął młodzieniec.
- Obawiam się, że nie mamy wody, królu zbójców – oświadczył sędzia.
- Jeśli chcesz, możesz poskarżyć się cesarzowi.

Stefaton milczał, głowa opadła mu na piersi. Szapur zrozumiał, że ukrzyżowany prawie nie może już mówić i że on sam musi go zastąpić, bo dla trupy teatralnej nie było nic bardziej kłopotliwego niż wymuszone przerwy.

- Cesarzowi? To będzie chyba niemożliwe, dostojny sędzio! – zawołał.
- O, a to dlaczego? – chciał wiedzieć Gelon.
- Cesarz... otóż cesarz... nie jest... nie przyjmuje. Nikogo.
- A dlaczegoż to nikogo nie przyjmuje?

Szapur, który nie był mistrzem improwizacji, a specjalistą od niewyszukanych dialogów, spojrzał na Selenosa z nadzieją, że ten mu pomoże, ale jego kolega wpatrywał się właśnie z z troskaniem w Stefatona; Syryjczyk musiał więc sam odpowiedzieć na pytanie sędziego.

- Bo... bo cesarz przebywa na swojej wyspie, gdzie katamici... eee... głaszczą po go zwiędłym przyrodzeniu – wydukał.

Na moment zapanowała kompletna cisza. W pewnej chwili jednak któryś z widzów wybuchnął złośliwym śmiechem i wkrótce cały teatr szalał z uciechy. Nawet Stefaton, który był bliski omdlenia, wyczuł, że coś wymknęło się spod kontroli.

Gelon poczuł, jak oblewa go gorący pot. Ukradkiem zerknął na publiczność. Antypas i jego rzymski gość w najmniejszym stopniu nie podzielali rozbawienia widzów. Siedzieli na swoich miejscach z lodowatymi minami, podczas gdy Herodiada i Salome tłumili chichot, w udawanym oburzeniu zasłaniając dłonią usta. Fausta Decila nie zadała sobie nawet tego trudu i szeroko się uśmiechała; jej mąż znów był pogrążony w drzemce i zupełnie nieświadomy tego, co się dookoła dzieje.

Szef trupy ze wściekłością patrzył na Szapura. Obelga pod adresem cesarza została rzucona i nie dało się jej już cofnąć, ale być może istniała jakaś szansa na udobruchanie dostojnych gości.

- Ty tępy kacie, ty nieużyteczny nicponiu, ty synu bezzębnej dziwki! Czy nie wiesz, że są to tylko kłamstwa, które źli ludzie rozprowadzają o naszym dobrym cesarzu Tyberiuszu? Cezar posiada nie mniejsze cnoty niż jego poprzednik, boski August! – zawołał z pasją.

- I tak pewnie jest – wymamrotał Syryjczyk, który zdążył pojąć, co narobił.

Selenos również podjął próbę załagodzenia sytuacji.

- Cóż, zbójca Laureolus musi przedstawić swoją skargę szlachetnemu Sejanowi. Prawda, Laureolusie?

Mimo swojego żalosego położenia Stefaton uznał, że nadeszła okazja do wzięcia rewanzu na Gelonie. Choć wisiał bezbronny na krzyżu, jego pragnienie skompromitowania szefa trupy było tak przemożne, że zdołał wyrzucić z siebie jadowitym tonem:

- Sejanowi? Czyż sędzia Gelon... – Świadomie użył jego prawdziwego imienia. – Czyż sędzia Gelon nie powtarza stale, że... – zaczerpnął jeszcze raz powietrza – ...że Sejan to... to lizus... Nikczemny łotr, który idzie po... po trupach, nawet po trupie starego cesarza?

Już w trakcie wypowiedzania tych słów wiedział, że sprowadzi nimi wielkie kłopoty – dość było spojrzeć na twarz Rzymianina. Publiczność

Świadek

też zwietrzyła skandal i wyła z uciechy. Żadna drwina z Rzymu i jego elit nie była dla widzów zbyt ostra. Stefaton czuł satysfakcję, że odplacił pięknym za nadobne fałszywemu przyjacielowi Gelonowi. Tamten mógł teraz zapomnieć o swoich ambitnych planach.

Nikt już nie trzymał się swojej roli. Na scenę ponownie wpadła Eugenia.

– Zdejmijcie go wreszcie z krzyża, przekłęci idioci! – wrzasnęła, usiłując przekrzywić głowę, od którego cały teatr drżał w posadach.

9

Czekali. Wiedzieli, że coś się wydarzy; siedzieli w napięciu w garderobie, podczas gdy widownia powoli pustoszała. Szapur, kręcąc głową, rozmawiał sam ze sobą, Selenos nieustannie pocierał twarz, a Eugenia klęczała obok leżącego na brzuchu na podłodze Stefatona i masowała mu plecy. Gelon przysiadł w kącie i patrzył na swoich aktorów, a jego wzrok zdradzał, że najchętniej każdego z nich by udusił.

– Jacy żałośni z was durnie! Zwiędłe przyrodzenie cesarza! Zwiędłe są chyba wasze mózgi! – krzyczał.

W Szapurze obudziła się duma.

– Nie chciałem tego powiedzieć – oświadczył. – Tak mi się po prostu wyrwało. Gdybyś trzymał się naszych ustaleń, to wszystko by się nie wydarzyło.

– Syryjski półgłówek!

– Uważaj na swoje słowa, Gelonie. – Szapur potrafił znieść niejedno upokorzenie, ale tym razem zupełnie nie miał ochoty na to, by pryncypał bezkarnie go obrażał. – A tak w ogóle, co z tobą? Dlaczego musiałeś być katem? To już twoje role ci nie wystarczyły? – Wskazał palcem na Stefatona. – Potraktowałeś go tak, jak gdybyś naprawdę chciał go zabić!

Eugenia z zimną pogardą spojrzała na kochanka.

– To jasne jak słońce, że pragnął się zemścić.

Gelon ze złością zacisnął zęby.

– Ten bezwstydnym zdrajca zasłużył na małą karę – syknął.

– To było podle z twojej strony – powiedziała głucho Eugenia.

– A kto obraził Sejana przed dostojnymi gośćmi? I do tego jeszcze przypisywał te obelgi mnie? Tego nie uważasz za podle?

– Odpłacił ci pięknym za nadobne, Gelonie. To skutek twojej błazeńskiej intrygi. Ja na jego miejscu nie zachowałabym się inaczej.

– Przez niego jeszcze nas wybatożą, ty głupia krowo! – krzyczał szef trupy. – Tak, masuj mu czule te plecki, zanim bat rozerwie mu skórę na strzępy!

– Klótnie nic nam nie dadzą – westchnął Selenos.

Gelon na próżno szukał wzrokiem czegoś, czym mógłby w niego rzucić.

– Siedź cicho, mądralo. Nie znoszę, kiedy bawisz się w filozofa. Poza tym, spodziewałem się po tobie więcej.

– A czegoż to się po mnie spodziewałeś?

– Na przykład tego, że będziesz uważał na swojego przyjaciela, tego syryjskiego osła! – oświadczył Gelon.

– Wystarczy! – warknął Szapur, grożąc mu palcem.

Stefaton dotąd zachowywał milczenie. Wciąż jeszcze odczuwał potworne cierpienie. Krew, która powoli zaczęła napływać do jego dłoni i stóp, była jak wrzący olej. W miejscach, w których sznury dosłownie złączyły go z krzyżem, widniały mieniające się niepokojącymi barwami pręgi. Ma-

sując go, Eugenia miała niewątpliwie dobre intencje – robiła to pewnie także dlatego, by dokuczyć Gelonowi – ale udręczone ciało młodzieńca nie było w stanie odczuć ulgi. Mim powoli wstał.

– Nie mam zamiaru przyłączyć się do innej trupy, Gelonie. – Jego głos był już dość mocny, choć cichy i na pozór pozbawiony jakichkolwiek emocji. – Powiedziałem tylko, że was opuszczę.

– Co zamierzasz, chłopcze? – spytał z zainteresowaniem Selenos.

Eugenia już wcześniej wszystko rozumiała.

– Chce wykonywać szanowany zawód i założyć rodzinę – wyjaśniła.

Gelon ze sceptycyzmem spoglądał na młodzieńca spod przymrużonych powiek, jak gdyby nie mógł sobie wyobrazić bardziej niedorzecznego planu.

– Naprawdę, Stefatonie? – odezwał się.

Wtedy do pomieszczenia wpadło z hukiem kilku żołnierzy Antypasa; ich twarze były ponure, a ręce zaciśnięte na rękojeściach mieczy wiszących przy pasach. Podążył za nimi spocony, zrozpaczony Chares, który jednak nie miał odwagi otworzyć ust. Dowódca – mężczyzna ze starannie przyciętą bródką, haczykowatym nosem i o przenikliwym spojrzeniu – stanął przed nim w rozroku.

– Wy wszyscy – warknął – jesteście aresztowani. – Skinął na swoich ludzi; ci ruszyli po dwóch, aby pochwycić mimów.

– Puśćcie mnie! – prychnęła Eugenia, ale na nikim nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

Chares odzyskał mowę.

– Czy mogę wiedzieć, co im się zarzuca? – zapytał oficera bardziej lekko niż wyzywająco. Być może jeszcze nie wiedział, co zaszło na scenie.

Dowódca spojrział na niego jak na natrętnego owada.

– Lżenie boskiego Tyberiusza i prefekta Sejana. Podburzanie ludu przeciw imperium i naszemu cesarowi. Wybierz sobie, co chcesz!

– Dokąd ich zabieracie?

– Tam, gdzie przejdzie im chęć do żartów. Ciesz się, że nie mamy rozkazu zatrzymać również ciebie, właściciela tego teatru! – oświadczył oficer.

Chares zbłądł jak trup.

– Ja... ja o niczym nie wiedziałem – wyjąkał.

Nikt już nie zwracał na niego uwagi.

– To wszystko zwykle nieporozumienie! – zawołał wojowniczo Gelon. Nie uciszył go nawet policzek, który otrzymał za te słowa. – Jesteśmy jak najdalsi od tego, żeby kogoś obrażać! Jesteśmy wiernymi poddanymi Rzymu i cesarza. Zawołajcie szlachetną Faustę Decilę, ona zaświadczy, jak szacowną trupą jesteśmy. No, przyprowadźcie ją!

– Nie trzeba, już tu jestem!

Ku zdumieniu wszystkich do garderoby weszła Fausta. Jej uśmiech był lodowaty jak noc zimowa. Za nią niczym długi cień pojawił się osobisty sługa Brennus.

– Szlachetna Fausto – zaczął Gelon z nadzieją – musisz nam pomóc!

– Ach tak? – Kobieta spojrziała na niego wyniosło.

– Chcą nas aresztować. Znasz nas, szlachetna Fausto. Wiesz, że nie pragniemy niczego innego, jak tylko dawać ludziom rozrywkę. Wykorzystaj swoje wpływy! Idź, proszę, do króla i powiedz mu, że nie chcieliśmy nikogo obrazić! – błagał szef trupy.

Rzymianka westchnęła z troską.

– A jednak to uczyniliście, słyszałam na własne uszy. Ach, co was do tego skłoniło? Senator Salwiusz szaleje ze złości i żąda satysfakcji. Tetrarcha nie będzie mu przeszkadzał; taki już jest ten świat. Niestety nic nie mogę dla was uczynić, Gelonie. – Fausta utkwiała wzrok w Stefatonie. – Czasem człowiek robi rzeczy, których później żałuje. Tak jak nasz tragiczny zbójca Laureolus. Cóż, mam nadzieję, że nie przybiją was od razu do krzyża – dodała.

Stefatona przeraziła wrogość przezierająca z oczu kobiety. Jego odmowa uraziła ją bardziej, niż – jak sądził – to było możliwe. Nieudana próba zaciągnięcia młodzieńca do łóżka musiała być dla niej bezprzykładnym poniżeniem, upokarzającą porażką, być może pierwszą, której doznała w życiu ta rozpuszczona arystokratka. Fausta odwróciła się na pięcie i nie wypowiedziawszy już ani słowa, opuściła pomieszczenie; za nią podążył Brennus z wyniosłym uśmiechem gladiatora, który właśnie rzucił na piach areny nieporównanie słabszego przeciwnika.

– Na co czekacie? Wyprowadź tę bandę! – polecił swoim ludziom dowódca.

Loch, w którym wkrótce znaleźli się mimowie, był mniej więcej wielkości sceny, na której jeszcze niedawno wcielali się w swoich bohaterów. Stefaton nie chciał początkowo przyjąć do wiadomości przygnębiającej atmosfery tego miejsca, mając nadzieję, że to zły sen i że on sam wkrótce się obudzi. Dopiero gdy żołnierze brutalnie popchnęli młodzieńca na podłogę i założyli mu na kostki żelazny pierścień, jego nadzieje prysły – wszystko, co się stało, było pożałowania godną rzeczywistością! Wokół rozlegał się tylko brzęk łańcuchów przytrzymujących kajdany. Towarzyszom Stefatona przypadł w udziale identyczny los – wszystkich przykuto do przesiąkniętej wilgocią skalnej ściany. Początkowo Gelon złorzeczył, a Eugenia klęła, ale żołnierze opryskliwym tonem kazali im się zamknąć. Stefaton czuł odór zgnilizny, szcurzej sierści i fekaliiów.

Przez znajdującą się wysoko w górze szczelinę do środka wpadało skąpe światło słoneczne. Aktorzy znajdowali się w nędznej jamie niewoli, niedoli i upokorzenia, wykutej w skale nieludzkiej ciemnicy, nad którą wznosił się wspaniały pałac Heroda Antypasa. Zostali więźniami tetrarchy – ich los był jednym z ostatnich, jakich mógłby pragnąć człowiek.

Stefaton zauważył, że przebywa z nimi jeszcze jeden więzień. Siedział zaledwie pięć łokci od nich, obejmując wątlymi rękoma kolana, i bez ruchu wpatrywał się w nowo przybyłych. Najwyraźniej odebrano mu ubranie, bo był nagi, jeśli pominąć strzępy odzienia z sierści jakiegoś zwierzęcia, okrywające jeszcze tu i ówdzie jego wynędzniałe ciało. W miejscu, gdzie żelazny pierścień uciskał przegub stopy, wyzierało żywe mięso. Choć więzień był chudy i wyniszczony, wydawał się promieniować jakąś nieokiełznaną siłą, znajdującą ujście się w jego przenikliwym spojrzeniu. To wrażenie potęgowały długie włosy i bujna, ciemna broda.

Dowódca splunął dziwacznie osobnikowi pod stopy.

– Masz towarzystwo, Chrzcicielu! – zawołał. – Niewyparzone gęby, tak jak ty, świetnie się z nimi dogadasz!

Żołnierzom spieszyło się, żeby opuścić to odrażające miejsce. Kiedy z hukiem zatrzęsnęły się za nimi wzmocnione żelazem drzwi, Gelon znów zaczął przeklinać los.

– I co, teraz jesteście zadowoleni? Mogliśmy ucztować przy stole Antypasa, a zamiast tego siedzimy w tej szurzej norze! – krzyczał, pociągając z wściekłością za łańcuch, który uniemożliwiał mu ruchy.

Selenos trzeźwo zaoponował.

– Ludzie tacy jak my nigdy nie będą ucztować przy stołach władców – powiedział z widoczną satysfakcją.

– Tak, bo zawsze znajdują się głupcy, którzy nie trzymają się swoich ról!

– A kto zaczął się brać za cudze role? – zaoponował gniewnie Szapur.

Eugenia prychnęła za złością.

– Nie zaczynajcie znowu! Czy nie wystarczy, że muszę tu gnić z bandą dzieciennych awanturników?

Gelon, który stwierdził, że wszyscy są przeciwko niemu, zaczął wyładowywać swoją złość na nieznanym.

– Co się tak gapisz, dzikusie?! – wrzasnął na niego. – Nie odpowiada ci nasze towarzystwo? Uwierz mi, my też nie wybraliśmy twójego!

Tamten nie odpowiedział, ale jego pełne ognia spojrzenie nadal pozostawało utkwione w aktorze, co sprawiło Gelona w jeszcze większą furię.

– Aha! – krzyknął, przypomniawszy sobie słowa oficera. – To pewnie ten pustynny kaznodzieja, który obraził tetrarchę i jego żonę! Prawda, Żydzie? To ty jesteś tym szaleńcem! Ty jesteś Chrzcicielem!

Więzień uparcie milczał. Gelon odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

– I kto tu jest szaleńcem? – mruknął Szapur.

– Co za zrządzenie losu! – Śmiech Gelona przeszedł w jęk. – Świetny materiał na nową sztukę teatralną. Wrzucają nas do jednego worka z tym wariatem. Wiwat, Laureolus! – Zaczął rwać sobie włosy z głowy, nagle jednak zaświtała mu pewna myśl. – Stefatonie! Twój ojciec chyba zatroszczy się o to, żeby nas szybko wypuszczono, nieprawdaż? – zapytał.

Młodzieniec też już o tym pomyślał. Antypas uważał Demetriosa za swojego najlepszego architekta. Jeżeli ojciec wstawi się za nimi, tetrarcha z pewnością okaże im łaskę i udobrucha rozwścieczonego Rzymianina. Stefaton żałował, że pokłócił się z ojcem, choć jeszcze bardziej marzył o tym, żeby móc całkowicie wykreślić ten dzień ze swojego życia. Ach, gdybyż nadal siedział obok Sary na tamtym zielonym wzgórzu, słuchając słów rabiego. To dziwne, ale właśnie tu i teraz, w tym ponurym lochu i o jeden dzień za późno, zrozumiał nagle, dlaczego jego ukochaną tak bardzo poruszyły słowa nauczyciela – to były słowa na wieczność.

10

Nie licząc rzadkich odwiedzin mrukliwego strażnika, który przynosił więźniom czerstwy chleb i słonawą wodę, przez dwa nieskończenie długie dni nie wydarzyło się nic. Gelon po pewnym czasie porzucił swoje gniewne tyrady i tak jak inni tępo spoglądał przed siebie, pogrążony w dręczących myślach. Stefaton zaczął zadawać sobie pytanie, czy ostatnie tygodnie nie były jedynie cudownym snem. Sara – czy ona naprawdę była istotą z krwi i kości? A może tylko złudzeniem, wywołanym przez złośliwe bóstwo, które chciało mu pokazać, o ile piękniejsze byłoby jego życie, gdyby tylko chciał? Beznadzieję ciemnicy, w której zostali zamknięci, dało się wytrzymać; nieznośna była natomiast myśl Stefatona, że może już nigdy nie zobaczy Sary czy wręcz że w ogóle nigdy jej nie spotkał.

Rankiem trzeciego dnia w lochu zjawił się ten sam oficer, który aresztował ich w teatrze. Towarzyszyli mu czterej żołnierze; jeden z nich niósł pęk brzęczących kluczy. Dowódca wskazał podbródkiem najpierw Chrzyciela, a potem Stefatona, a klucznik natychmiast zaczął otwierać ich okowy. Mim znowu stanął na nogach; dwaj żołnierze bez ceregieli chwycili go za ramiona. Bez ich grubiańskiego wsparcia młodzieniec zapewne znowu osunąłby się na ziemię, bo zdrętwiałe kończyny prawie nie chciały go słuchać. Chrzyciela potraktowano podobnie, z nim strażnicy obchodzili się jeszcze brutalniej. Zachowywali się tak zapewne dlatego, że z jego oczu wcale nie ustępowała gniewna przekora.

– Wyprowadzić! – rozkazał oficer.

– A co z nami? – zaprotestował ochrypłym głosem Gelon.

Dowódca uraczył go wzgardliwym spojrzeniem, ale nie zniżył się do udzielenia mu wyjaśnień.

– Dokąd idziemy? – zapytał strażników Stefaton. I on nie otrzymał odpowiedzi.

– Żegnaj, Stefatonie! – zawołała za nim Eugenia, tak jakby przeczuwała, że już nigdy się nie spotkają.

– Zobaczymy się znowu! – zapewnił ją z nadzieją młodzieniec.

Obu więźniów poprowadzono stromymi, wilgotnymi schodami w górę. Kiedy wyszli na zewnątrz, blask porannego słońca oślepił Stefatona tak boleśnie, że młodzieniec musiał mocno zacisnąć powieki.

– Syna architekta zaprowadźcie najpierw do łaźni – nakazał swoim ludziom oficer. – Pospieszcie się!

Jakie zamiary powzięto wobec niego? Żołnierze eskortowali go przez wybrukowany dziedziniec, prosto ku pałacowi Antypasa. Po wejściu do *tepidarium* oddali Stefatona w ręce łaziebnego, niewolnika, który – na co wszystko wskazywało – czekał tam specjalnie na niego. Był to mocno zbudowany, ciemnoskóry, łysy mężczyzna o pełnych wargach; w jego uszach tkwiły kolczyki. Zręcznymi ruchami dłoni zaczął rozbiierać młodzieńca. Stefaton rozejrzał się. Łaźnia była urządzona w stylu rzymskim; mozaiki

podłogowe przedstawiały morskie ptaki i delfiny. Zdumiał się tym faktem, Żydzi mieli zakaz wykonywania podobizn istot żywych. Ściany pokrywał mazerowany gips, dzięki czemu wyglądały na marmurowe. Powietrze było gorące i wilgotne od pary, unoszącej się znad wypełnionego po brzegi basenu.

– Mam wziąć kąpiel? – zdziwił się Stefaton.

– Tak chce tetrarcha. – Niewolnik odpowiedział mu nienaganną greką.

– I doskonale go rozumiem, bo świnia pachnie przyjemniej niż ty. – Gestem dłoni nakazał Stefatonowi wejść do wody.

– Tetrarcha?

– Zamknij się! – krzyknął stojący przed drzwiami żołnierz. – Pospiesz się, nie mamy dużo czasu!

Czy to znaczy, że zaprowadzą go przed oblicze Antypasa? Czyżby ojciec wstawił się za nim? Wszystko na to wskazywało, bo wykłętemu zbrodniarzowi raczej nie pozwolono by zażyć kąpeli. W każdym razie Chrzciciela tu nie przyprowadzono. A więc cała historia skończy się dobrze. Sara nie była tylko snem. Teraz, kiedy Stefatona nie otaczały już ponurc mury, jego rozum zaczął odzyskiwać sprawność.

Milczący niewolnik wyszorował młodzieńca od stóp do głów gąbką, a Stefatonowi po więziennym koszarze nic nie sprawiłoby większej przyjemności, niż wyciągnięcie się w przyjemnie ciepłej wodzie. Tamci jednak musieli naprawdę się spieszyć, bo jego dobroczyńca natychmiast polecił mu wyjść z kąpeli, żeby móc go starannie wytrzeć kawałkiem płótna. Na ławce obok nich leżała czysta odzież.

– Załóż to! – nakazał łaźiebny.

Stefaton nie zadawał już pytań, lecz robił to, czego żądał od niego niewolnik. Zarówno bielizny, jak i prostej tuniki, a także sandałów, nikt przed nim nie nosił, co było kolejnym znakiem, że nie zamierzają go ukarać – tak przynajmniej to sobie tłumaczył.

Kiedy narzucił na siebie ubranie, łaźiebny znów podszedł do niego, trzymając w ręku grzebień z drzewa oliwnego.

– Siadaj i bądź cicho! – polecił.

Stefaton kilka razy musiał zacisnąć zęby, żeby nie krzyknąć z bólu, bo jego włosy były zupełnie skołtunione.

– Kiedy będziesz stał przed tetrarchą, nie patrz mu zbyt długo w oczy – szepnęła niewolnik. – On tego nie cierpi.

– Dziękuję za radę – powiedział młodzieniec. Może uda mu się wyciągnąć jeszcze jakieś informacje? – Co postanowiono? Nie wiesz może, czy mój ojciec...?

– Skończyliście już? – rozległo się w tej samej chwili.

Powiedział to dowódca, który stanął obok nich; nie krył zniecierpliwienia. Niewolnik skinięciem głowy przekazał mu Stefatona. Młodzieniec nie wyglądał już wprawdzie jak ktoś, kogo dopiero co wyciągnięto z brudnego lochu, ale eskortujący go oficer i dwaj żołnierze nadal traktowali go z chłodnym, wręcz wrogim dystansem. Przeszli przez pałacowe korytarze, prosto do serca rezydencji, gdzie musiały się znajdować komnaty Antypasa. Z każdym krokiem, który pokonywały jego powracające do życia nogi, serce Stefatona biło coraz szybciej. Odgrywanie przed groźnym tetrarchą określonej roli na scenie to było jedno, osobiste spotkanie z nim – to coś zupełnie innego.

Mimo to – młodzieniec wciąż to sobie powtarzał – nie mogło być z nim bardzo źle, bo przecież pałac, przez który szli, był dziełem jego ojca. Musiał o tym wiedzieć również Antypas; tetrarcha pokaże, że ceni zasługi Demetriosa. Czy dni spędzone w lochu nie były wystarczającą karą? W końcu Stefaton to nie jakiś tam Chrzyciel, który bezzwrotnie obraził władcę. Kilka słów skruchy z jego ust i wszystko będzie dobrze. Już nigdy więcej nie posunie się do takiego głupstwa – przede wszystkim ze względu na Sarę, za którą gorąco tęsknił.

Dotarli do zdobionych barwnymi rzeźbami drzwi i już po chwili Stefaton ze spuszczoną głową stanął przed tetrarchą Herodem Antypasem.

– O, wreszcie! – odezwał się tetrarcha. – Jesteś synem mojego architekta?

Władca trzymał w dłoni wysadzany błyszczącymi kamieniami kielich z winem. Obok Antypasa leżał senator Sekstus Salwiusz. Spojrzenie, które kierował ku mimowi spod ciężkich powiek, przypominało wzrok rzeźnika oceniającego zwierzę przeznaczone do uboju.

Młody człowiek próbował się skoncentrować.

– Tak, panie. Jestem Stefaton, syn Demetriosa – powiedział.

– Ulubieniec tłumów. – Antypas z rozbawieniem spojrzał na swojego rzymskiego gościa, ale w odpowiedzi Salwiusz tylko coś burknął.

– Przedstawienie bardzo nam się podobało. Oczywiście do pewnego momentu. – Tetrarcha cmoknął z dezaprobatą i upił mały łyk wina.

Stefaton, posłuszny radzie łaźiebnego, spuścił oczy.

– Żałujemy tego, co powiedzieliśmy w naszej głupocie i lekkomyślności, panie. Byliśmy jak najdalsi od obrażania cezara lub jego prefekta. Chcę cię zapewnić, również w imieniu moich towarzyszy, że coś podobnego nigdy więcej się nie zdarzy – zapewnił.

Rzymianin zabulgotał śmiechem.

– On naprawdę wierzy, że odbył już swoją karę!

Młodzieniec wpatrywał się w swoje stopy. Kątek oka widział, jak Antypas w zamyśleniu gładzi się po brodzie.

– Niestety, to nie jest takie proste, mój drogi Laureolusie – westchnął władca.

Jakie zatem mieli wobec niego zamiary? Na pytanie, którego Stefaton nie ośmielił się zadać, choć miał na to wielką ochotę, odpowiedział po krótkiej chwili sam tetrarcha.

– Twój ojciec był u mnie w twojej sprawie. Bardzo go cenię jako architekta, ale musisz zrozumieć, że gdybym cię nie ukarał, obraziłbym Imperium.

Sekstus Salwiusz sięgnął po winogrono i z rozkoszą zaczął je przeżuwać. Stefaton już widział kata wznoszącego nad nim miecz. Co właściwie powstrzymywało go przed spoliczkowaniem tego zadufanego w sobie Rzymianina?

„Jeśli ktoś uderzy cię w prawy policzek, nadstaw mu drugi” – czy te absurdalne słowa musiały mu się przypomnieć akurat teraz?

Antypas też skosztował owocu.

– Na twoje szczęście szlachetny senator Salwiusz nie nalega na przeprowadzenie procesu. Biorąc dodatkowo pod uwagę zasługi twojego ojca, podjąłem inną decyzję – oznajmił.

A więc nie chcieli go ani ułaskawić, ani skazać? Kiedy Stefaton zastanawiał się, co mogą znaczyć słowa tetrarchy, obok *kline* Heroda pojawiła się Salome. Pod suknią, którą nosiła, zaznaczało się każde zaokrąglenie jej ciała; długie wycięcia ukazywały aż po uda jasną skórę nóg. Oczy Antypasa błysnęły niczym srebrne paciorki na jej diademie.

– Salome! Podejdz tutaj i usiądź na chwilę przy mnie! – zawołał i zrobił jej miejsce na swojej leżance.

– Bardzo dziękuję, ale wolę postać – odpowiedziała kapryśnie pasierbica. – Dowiedziałam się, że jest u ciebie przystojny mim – dodała.

– Nie chciałaś przegapić jego widoku, co? – powiedział Antypas z wymuszonym uśmiechem.

– Co masz zamiar z nim zrobić? Ukrzyżować? Byłaby to wielka szkoda, choć dobrze wygląda na krzyżu – oświadczyła Salome.

– Uwierz mi, że najchętniej bym go ułaskawił – odparł tetrarcha.

– Tak jak Chrzciciela?

– Nie mam zamiaru ułaskawiać Chrzciciela.

– Trzymasz go w więzieniu tylko przez wzgląd na moją matkę, prawda? Ale wszyscy wiedzą, że tak naprawdę się go boisz – zauważyła uszczypliwie dziewczyna.

Antypas machnął lekceważąco ręką.

– Mylisz się, Salome. Nie boję się Chrzciciela. – Dlaczego musiała z nim rozmawiać w taki sposób akurat przy tym Rzymianinie?

– Zostawmy tego zjadacza szarańczy. Co z aktorem? Co ci przeszkadza, by go ułaskawić? – zapytała pasierbica.

– To byłby niewłaściwy sygnał dla ludu. – Ach tak, Rzymianie. Zapomniałam, jak przewrażliwieni są ci dzielni synowi wilczy. – Salome posłała senatorowi przelotny uśmiech, pełen uroku i drwiny zarazem.

– Tak samo przewrażliwieni jak twoja matka – odparował tetrarcha.

– Jeśli chcesz nadal znosić słowa obelgi z ust pustynnego kaznodziei, to twoja sprawa. Może jednak się go boisz.

Antypas nie chciał ciągnąć drażliwego tematu.

– Oszczędzimy twojemu bohaterowi przynajmniej biczowania. Szkoda byłoby jego atletycznego ciała, prawda, Salome? Senator złożył mi pewną propozycję – powiedział.

– Jakąż to propozycję? – zapytała znudzonym głosem dziewczyna, choć na twarzy miała wypisaną ciekawość.

– Mim będzie służył w wojsku rzymskim – oznajmił tetrarcha.

– Jako legionista?

– To nie byłaby kara, a zaszczyt, moja gołąbeczko. Nie, naturalnie będzie tylko zwykłym żołnierzem oddziałów pomocniczych.

– Czyli właściwie niewolnikiem – skomentowała Salome.

– Jeżeli będzie się dobrze sprawował, po dwóch latach odzyska wolność. Jeszcze dziś wyruszy z karawaną do Jerozolimy.

Dziewczyna koniuszkiem języka oblizała usta.

– Jaka szkoda! W takim razie zbyt szybko go nie zobaczę – stwierdziła.

Antypas był gotów puszczać mimo uszu zuchwałe słowa dziewczyny, ale jej lubieżne gesty wyczerpały jego cierpliwość. Mimo wszystko stał

przed nimi tylko aktor. Władca nie chciał jednak ganić Salome, zapewne także dlatego, że z drugiej strony jej zachowanie go podniecało.

– Idź sobie teraz, moja droga. Mamy jeszcze coś do omówienia – powiedział.

– Och, z pewnością. – Na twarzy dziewczyny jeszcze raz pojawił się wieloznaczny uśmiech. Salome opuściła salę, kołysząc biodrami, przy czym ani na sekundę nie spuściła oczu ze Stefatona. Tetrarcha zmusił się, żeby za nią nie patrzeć.

Żołnierz rzymskich oddziałów pomocniczych! W Jerozolimie! Przez dwa lata! Stefaton chciał upaść przed Antypasem na kolana. Niech go biją, katują, bicują. Dwa lata z dala od Tyberiady, z dala od Sary, z dala od przyszłości, jaką sobie wymarzył – jak ma coś takiego znieść?

– Mój panie, nie nadaję się do takiej służby. – Usłyszał własne słowa. Tetrarcha z gniewem zerwał się z miejsca.

– Milcz, głupcze! – krzyknął. – Dwa lata w służbie Rzymu nauczą cię trzymać w przyszłości język na wodzy. Tylko wspaniałomyślności szlachetnego Salwiusza zawdzięczasz to, że nie ukarzę cię bardziej surowo!

– A moi towarzysze? – zapytał cicho młodzieniec. Jeżeli jemu jako akt łaski przedstawia się dwuletnią służbę w rzymskiej armii, to co zrobią z Gelonem, Eugenią, Szapurem i Selenosem?

– Towarzysze? – zapytał zdziwiony Antypas.

– Zapewne mówi o pozostałych czterech mimach – wyjaśnił leniwie Salwiusz.

– Proszę, uwolnij ich, panie! Nigdy więcej cię nie rozgniewają! Te obelgi na scenie były wyłącznie moją winą!

– Och, jakaż szlachetność! – Salwiusz z drwiącym uśmiechem splótł dłonie na okazałym brzuchu.

– O losie innych jeszcze nie zdecydowaliśmy, ale bądź pewien, że czeka ich sprawiedliwy wyrok – oświadczył tetrarcha.

Jak mogła wyglądać ich przyszłość, skoro za aktorami nie chciała się wstawić nawet Fausta Decila? Stefaton otworzył usta, żeby jeszcze raz wystąpić w obronie członków trupy, ale Antypas go ubiegł.

– Milcz, bo w przeciwnym razie naprawdę każę cię przybić do krzyża! – zawołał. Trzykrotnie klasnął głośno w dłoń, na który to znak do komnaty wszedł znany już młodzieńcowi oficer.

– Z naszym młodym greckim mimem już skończyliśmy – oznajmił władca. – Zadbaj, żeby miał dobrą podróż!

Stefatona wyprowadzono.

– To nie moja sprawa, ale twoja córka nieźle gra ci na nosie – zwrócił się do gospodarza Rzymianin.

– Masz rację, to nie twoja sprawa, Salwiuszu. A poza tym to nie moja córka, lecz pasierbica. Jest młoda, olśniewająco piękna i pełna temperamentu. Jeżeli chcesz ganić jej maniery, zwróć się do mojej żony – odparował tetrarcha.

Senator nie wziął mu za złe ostrej odpowiedzi, wręcz przeciwnie – wyglądał na rozbawionego śmiesznymi względami, którymi obdarzał dziewczynę Antypas. Czy z jej powodu kiedyś wypędzi na pustynię również Herodiadę?

– A ten Chrzyciciel? O co z nim chodzi? Obraził ciebie i królową? – chciał wiedzieć gość.

Antypas zastanawiał się przez chwilę, po czym doszedł do wniosku, że nie byłoby zbyt rozsądne odmawiać informacji rzymskiemu senatorowi, który wizytował prowincję; nie był zresztą na tyle naiwny, by sądzić, że Salwiusz nie znał szczegółów sprawy.

– To Jan, syn Zachariasza. Publicznie określił mnie i moją żonę mianem cudzołożników. Trzeba przyznać, że zgodnie ze starym prawem żydowskim ma nawet rację – wyjaśnił.

Salwiusz uśmiechnął się szeroko.

– Bo oddaliłeś pierwszą małżonkę, żeby poślubić żonę swojego brata?

– Skoro wiesz, to po co pytasz? – powiedział zniecierpliwiony tetrarcha.

– Ach, ci Żydzi! – Sposób, w jaki Rzymianin wypowiedział te słowa, zdradzały, że nie zalicza swojego rozmówcy do członków tego narodu. – Ale co mam powiedzieć: nawet w Rzymie są uparciuchy tęskniące do czasów republiki, kiedy to, jak twierdzą, nie było jeszcze zepsucia obyczajów.

– Żydowskim ortodoksom nie podoba się to, że kazałem go uwięzić. Niektórzy uważają go wręcz za Eliasza – oznajmił gospodarz.

– Eliasza?

– Eliasz był jednym z proroków. W świętych księgach napisano, że powróci i będzie poprzedzał Mesjasza. Aby jego uczniowie albo inni fanatycy nie pielgrzymowali do Tyberiady i nie siali niepokoju, postanowiłem, że pozbędę się Chrzciciela z miasta. Każę go zawieźć do twierdzy Macheront nad Morzem Martwym, daleko stąd. Tam pozostanie do chwili, gdy w Galilei nikt więcej nie będzie go wspominał.

– A twoja żona przestanie ci suszyć głowę z jego powodu. Czy to prawda, co mówi twoja pasierbica? Boisz się go? – Salwiusz najwyraźniej delektował się zadawaniem władcy jednego kłopotliwego pytania za drugim. Bez wątpienia uważał, że może sobie pozwolić na takie impertynencje.

– Bać się, co znaczy bać się! – syknął rozgniewany Antypas. – Ja mam żołnierzy, on nie. Ja mam bogactwa, on żywi się szarańczą.

– Ale żaden Żyd nie uważa cię za Eliasza – zauważył senator.

– Wy, Rzymianie, potraficie równie dobrze żartować, co walić mieczami – odparł tetrarcha. – Fakty są takie, że Chrzciciel jest pobożnym Żydem. Mówi, co myśli, a wielu odnosi się do niego z czcią i chce, by ich ochrzcił. W sprawach religii muszę się wykazywać dobrym wyczuciem. Jeżeli go uwolnię, wyjdę na słabeusza. Jeżeli każę go stracić, grozi mi rebelia. Doprawdy, czy muszę to tłumaczyć Rzymianinowi?

– Słyszałem jeszcze o nauczycielu cudotwórcy, który gromadzi wokół siebie uczniów w okolicach Kafarnaum – ciągnął gość.

– To prawda, ale ten człowiek nie dał mi dotąd powodu, by go aresztować. W swoich mowach nawołuje do tego, żeby wszyscy ludzie się kochali.

Salwiusz zaśmiał się rozbawiony.

– Wszyscy ludzie? Nawet barbarzyńcy w ponurych lasach północy? Masz pewność, że nie jest komediantem, tak jak nasz Laureolus? Możesz go zapytać, co on myśli o tym, że wypędziłeś żonę i poślubiłeś szwagierkę.

– On sam został ochrzczony przez Jana w Jordanie – powiedział Antypas. – Wszystko wskazuje na to, że nie zależy mu na sławie. Zrozumiał, że nie jest wskazane zwracać na siebie uwagę.

– To może się zmienić, kiedy grono jego zwolenników stanie się licz-

niejsze – stwierdził Rzymianin.

– Póki co, poczekam na rozwój wydarzeń. Wszędzie mam swoich szpiegów. Nie ukryje się przede mną nic z tego, co ten kaznodzieja mówi i robi. Masz na to moje słowo.

Salwiusz z protekcjonalną miną uniósł kielich.

– Masz rację, królu. Bądź spokojny, utwierdzę prefekta Sejana w jego przekonaniu, że jesteś prawdziwym lisem. A uwierz mi, że w jego ustach to komplement!

Ta obietnica poprawiła Antypasowi humor. Mężczyźni stuknęli się pucharami.

– Załuję – ciągnął Rzymianin z ledwo słyszalnym westchnieniem – że nie mogę się wypowiadać w podobnych pochwałach o naszym namiestniku w Cezarei.

– Piłat rządzi twardą ręką – odparł ostrożnie tetrarcha. – Zapewne ma ku temu swoje powody.

Z Salwiusza nie udało się jednak wydrzeć już żadnych informacji i dlatego trawiony ciekawością Antypas zaczął zadawać sobie pytanie, czy dumny i gwałtowny Poncjusz Piłat, prefekt Judei i Samarii, popadł już w niełaskę Rzymu.

Agriope znalazła sposób, żeby jeszcze raz dostać się do swojego pasierba. Stanąwszy przed nim, gwałtownie rzuciła mu się na szyję. Widok kobiety był dla młodzieńca jedyną pociechą w całym jego nieszczęściu. Czule pogładził macochę po plecach i przycisnął usta do jej włosów.

– Dwa lata, mój chłopcze, wytrzymasz to! – Agriope dzielnie wstrzymywała łzy.

Stefaton rozglądał się. Kobieta wiedziała, że szuka wzrokiem ojca.

– On... on nie chciał przez to przechodzić. Sam wiesz... jego serce... – wyjaśniła.

– Teraz już naprawdę stracił syna – stwierdził smutno młodzieniec.

– Wszyscy popełnialiśmy w życiu głupstwa. – Macocha próbowała podnieść go na duchu.

Stefaton zaśmiał się gorzko.

– Czy to nie absurdalne? Właśnie postanowiłem pójść za radą ojca. Chciałem prowadzić takie życie, jakiego zawsze ode mnie oczekiwał.

Agriope położyła mu palec na ustach.

– Cicho! Nic nie jest stracone. To tylko dwa lata! Ojciec wszystko ci wybaczy – zapewniła.

Podszedł do nich oficer i chwycił młodzieńca za ramię.

– Wystarczy! – krzyknął. – Karawana jest gotowa do drogi! Ruszaj się, żebym mógł cię w końcu przekazać tamtym!

– Czekaj! – Stefaton jeszcze raz zwrócił się do swojej macochy. – Co z Sarą? Widziałaś ją?

– Była u mnie i pytała o ciebie. Bardzo się martwi. Ach, Stefatonie, to czarująca dziewczyna. Nie mogłeś dokonać lepszego wyboru!

– Powiedz jej, że jest mi bardzo przykro i że niedługo wrócę... I że...

Świadek

Żołnierz stracił cierpliwość i popchnął młodego człowieka przed siebie.

– ...że ją kochasz – dokończyła za młodzieńca Agriope. – Tak, to też jej powiem, chociaż ona na pewno już o tym wie. – Przeszła jeszcze kilka kroków obok pasierba, aż w końcu oficer zastąpił jej drogę.

– Dalej nie możesz iść, kobieto! – oświadczył.

– Dlaczego zabieracie go akurat do Jerozolimy, skoro zbierają się tam wszyscy wichrzyciele? – zapytała Agriope bez nadziei na odpowiedź.

Żołnierz raczył jednak odpowiedzieć.

– I po co ten lament? Jerozolima zrobi z niego prawdziwego mężczyznę!

„Straszny jest świat, w którym żyjemy!” – pomyślała z goryczą kobieta.

11

Karawana składała się z oddziału jeźdźców, piechoty, wozów, jucznych osłów i wielbłądów oraz grupy kupców z Tyberiadu i okolic, którzy wykorzystali okazję, żeby podróżować pod zbrojną eskortą. Takie konwoje regularnie wyruszały do Jerozolimy, ponieważ tetrarcha również tam miał swoje posiadłości.

Stefaton został przydzielony do jednostki złożonej z żydowskich żołnierzy piechurów, którzy tworzyli tylną straż długiej na dwa stadia kolumny. Już po przebyciu krótkiego odcinka pył i skwar zaczęły mu się dawać we znaki, zwłaszcza że nadal czuł w kościach dwa dni więzienia. Przynajmniej oszczędzono mu noszenia kajdan, choć stróże mieli go ciągle na oku. Zakładano, że podróż będzie trwać tydzień.

W karawanie znajdował się również Chrzciiciel. Siedział w ciasnej klatce z ciężkiego drewna, umieszczonej na dwukółowym wozie ciągniętym przez szarego osła o oklapłych uszach. Stefaton był wstrząśnięty. W ciemnicy miał wiele czasu na to, żeby przyjrzeć się temu osobliwemu człowiekowi. Wydawało się, że Chrzciiciel duchem przebywa już w zaświatach, jak gdyby pogodził się z faktem, że jego dni były policzone. W jego oczach – po których znać, że potrafiły płonąć świętym gniewem – nie odbijały się jednak melancholia ani lęk; wydawało się, że wręcz jaśnieją radością. Jan wyglądał tak, jak gdyby więzienne upokorzenia nie odcisnęły na nim żadnego piętna. Podobnie jak tamten Jezus, musiał robić na ludziach wielkie wrażenie, nawet wtedy, gdy wyrzucał im błędy.

W południe zatrzymali się na postój. Dowódca oddziału pieszego, oficer w średnim wieku o poważnej twarzy, skinieniem dłoni przywołał do siebie Stefatona.

– Masz okazję po raz pierwszy się przydać, mimie! – oznajmił i wskazał na wóz z Chrzciicielem. – Musi trochę rozprostować nogi i załatwić potrzebę. Pójdiesz z nim i będziesz go dobrze pilnował, zrozumiano?

Młodzieniec skinął głową. Dwóch żołnierzy przyprowadziło więźnia na powrozie; Chrzciiciel miał go owinięty wokół szyi niczym koza. Ze stóp zdjęto mu kajdany; w miejscu, gdzie odcisnęły się pręgi, wyraźnie było widać żywe mięso. Uwagę Stefatona zwrócił respekt, z jakim strażnicy odnosili się do Chrzciiciela. Być może byli to ludzie religijni, niewykluczone nawet, że słuchali jego nauk lub zostali przez niego ochrzczeni.

Otulony łańcuchami więzień ledwo trzymał się na nogach. Prowadzący go najwyraźniej czuli się nieswojo; cierpliwie jednak podtrzymywali Chrzciiciela, nie szydząc z niego z powodu jego niedołęstwa.

– Zdejmijcie mu powróż! – polecił swoim ludziom oficer. Było oczywiste, że więzień nie jest w stanie uciec. Mimo to Stefaton zadawał sobie pytanie, dlaczego akurat jemu powierzono to zadanie. Jak gdyby tamci wstydzili się wykonać je sami.

Młody człowiek delikatnie położył Chrzciicielowi dłoń na ramieniu, aby

poprowadzić go za rosnące obok drogi krzaki. Mężczyzna spojrział na niego, a Stefaton poczuł, że jakaś przemożna siła zmusza go do odwrócenia głowy.

– Nie prosiłem o to, żeby być twoim strażnikiem – wymamrotał przepraszająco.

Tamten milczał. Być może był zbyt osłabiony, żeby mówić. Kiedy wrócili do odpoczywających żołnierzy, podano im bukłak z wodą. Młodzieniec dał pierwszeństwo Chrzcielowi, ale ten upił tylko mały łyk.

– Pij! – zażądał zdecydowanie Stefaton. – Nie wiemy, kiedy następny raz coś nam dadzą!

– Jest taka woda, która sprawia, że nigdy nie zazna pragnienia ten, kto się jej napije – odparł Chrzciiciel.

Jego głos był silniejszy, niż sugerował żalosny wygląd, a jeszcze bardziej zaskakujący okazał się fakt, że Chrzciiciel w ogóle mógł mówić.

Wczesnym wieczorem dotarli do Nazaretu, nieciekawej wioski położonej na wzgórzu, na skraju gór Galilei; na równinie opodal miejscowości rozbili obóz. Stefatonowi kazano pomagać przy wznoszeniu namiotów. W okolicy nie było schronisk czy gospód dla cywili, ale noc zapowiadała się łagodnie – nic nie wskazywało na to, że mogą marznąć. Na miejsce pośpiesznie dotarli miejscowi; mogło się wydawać, że tylko czekają na przybycie karawany. Byli to prości ludzie o ogorziałych twarzach, którzy próbowali sprzedać podróżnym płaskie chleby, figi, daktyle i granaty. Po zapadnięciu zmroku rozpalono ogniska, żona jednego z kupców zaczęła grać na flecie, a tam, gdzie krążyły bukłaki z winem, rozległy się głośne śmiechy.

Stefatona nie związano również na noc.

– Masz dość rozumu, żeby nie próbować ucieczki – uzasadnił decyzję oficer, który miał na imię Joram.

Z niewiadomego powodu Joram odnosił się do młodzieńca życzliwie. Być może kiedyś widział go w jednej ze sztuk teatralnych. Były mim wykorzystał sprzyjającą chwilę, żeby zadać mu pytanie.

– Myślisz, że Chrzciiciel jest prorokiem?

– A co cię obchodzą nasi prorocy? – odpowiedział pytaniem Joram.

– Ochrzcili cię? – dociekał Stefaton.

Żołnierz spoglądał na niego spod przymrużonych powiek, jakby się zastanawiał, czy pytanie, które padło z ust poganina, zasługuje na odpowiedź.

– Idź i połóż się spać, chłopcze! – powiedział wreszcie i odwrócił się do Stefatona plecami.

– Poczekaj! Co w ogóle znaczy „ochrzcić kogoś”?

– Idź, bo inaczej każę cię związać i zakneblować! – zagroził Joram.

– Słyszałeś, jak naucza, zanim tetrarcha go uwięził, prawda? – nie ustępował Stefaton.

– A gdyby nawet tak było, to co?

– Co mówił?

Zmęczony Joram potarł czoło.

– Powiedział: „Nie grabcie, poprzestawajcie na swoim żołdzie i nikogo nie bijcie”, choć to ostatnie akurat teraz przychodzi mi z trudem – oświadczył.

– Słuchałem niedawno nauk pewnego rabbięgo. W Kafarnaum. Na-

żywa się Jezus. Słyszałeś o nim kiedyś? – chciał wiedzieć Stefaton.

– Z pewnością nie nauczał dla ciebie! Nie masz własnych bogów i proroków, Greku?

– Widziałem w tłumie rzymskiego setnika!

– Rzymianie są wszędzie, w Galilei też. Nie da się tego zmienić.

– Dlaczego przewozicie Chrzciciela do Jerozolimy? Czy tamtejsze więzienia są jeszcze straszniejsze? – zadał kolejne pytanie młodzieniec.

– On nie jedzie do Jerozolimy! – brzmiała odpowiedź.

Joram wrócił do swoich podwładnych. Dalsze ciągnięcie go za język było bezcelowe. Stefaton wszedł do namiotu, ale chociaż był wyczerpany, sen nie chciał nadejść. Młodzieniec myślał o swoich towarzyszach, o ich niepewnym losie; myślał o swoim ojcu i Agriopie, którym zawdzięczał ratunek, o ile tego określenia można było w ogóle użyć w odniesieniu do przewidzianej dla niego kary. Przede wszystkim jednak myślał o Sarze. Teraz jej ojciec tym bardziej zacznie na nią nalegać, żeby wyszła za mąż, oczywiście za Żyda, jak było przyjęte w ich narodzie. Co za nieznośne wyobrażenie!

Stefaton postanowił zrobić coś, co wcześniej nigdy nie przyszłoby mu do głowy. Zaczął szeptem odmawiać modlitwę do boga Żydów.

– Jeśli to prawda, Jahwe, że poza tobą nie ma boga, pomóż mi! Kocham Sarę, która w ciebie wierzy, a Sara kocha mnie... ja to wiem i ty też musisz to wiedzieć. Spraw, proszę, żebyśmy zostali połączeni, a złożę ci tysiąc darów ofiarnych: gołębie, kozy, byki... wszystko, czego tylko zapragniesz!

Nie miał na nic wpływu; o jego losie decydowali inni ludzie. Ale teraz miał przynajmniej poczucie, że nie pozostał bezczynny. Mimo to jednak nadal nie mógł zasnąć.

Cicho wyszedł z namiotu, żeby pospacerować na świeżym powietrzu. Wartownicy dostrzegli go, ale mu nie przeszkadzali. Czy Rzymianie będą go traktować z podobną pobłażliwością? Na razie nie musiał się tym martwić, znajdowali się dopiero w drodze do Jerozolimy i Stefaton mógł mieć nadzieję, że ta historia nie skończy się bardzo źle. Jeśli bóg Żydów usłyszał jego modlitwę, być może od tej chwili stał się jego sprzymierzeńcem. Oczywiście pod warunkiem, że nie był wytworem fantazji, tak jak Zeus, Ares i Apollo oraz ich rzymskie odpowiedniki, w które i tak nie chciał już wierzyć żaden myślący człowiek.

Coś ciągnęło go w stronę wozu Chrzciciela. Może Chrzciciel był surowym ascetą i upartym człowiekiem, ale któż mógł mieć do powiedzenia więcej o woli Jahwe jeśli nie właśnie on, w którym wielu Żydów widziało proroka?

Więzien też nie spał i spoglądał ze swojej klatki w stronę nocnego gościa, zupełnie tak, jak gdyby na niego czekał. Stefaton poczuł, że jego serce mocno bije. Pomyślał, że nie może męczyć błahostkami człowieka, który był tak blisko Boga. Chrzciciel spojrzał na niego wyczekująco; jego oczy promieniały łagodnością, której młodzieniec dotąd nie zauważał. To dało mu otuchy.

– Dzisiaj mówiłeś o wodzie, która sprawia, że człowiek nigdy nie zazna pragnienia. Co to za woda?

– To żywa woda – odparł Jan.

– Woda Jordanu, w której chrzciliś ludzi? – dociekał młody człowiek.

Zapytany ze znużeniem potrząsnął głową.

Świadek

– Dlaczego przemawiasz do mnie zagadkami, Chrzycielu? Dlaczego, że jestem Grekiem? – naciskał Stefanon.

Wyglądało na to, że więzień poważnie zastanawia się nad odpowiedzią.

– Bóg nawet z kamieni może dać synów Abrahamowi – oznajmił w końcu.

– A więc i ze mnie? – zapytał młodzieniec.

– Dobre drzewo rodzi dobre owoce niezależnie od tego, gdzie stoi – oświadczył Chrzyciel.

– Kocham pewną Żydówkę, na imię jej Sara. Zrobiłbym dla niej wszystko. – Jan skinął głową, jakby słyszał takie wyznania już tysiące razy. – Czy jesteś prorokiem? – zapytał teraz orwarcie Stefanon.

– Jestem tylko głosem.

– Czym głosem?

– Głosem Tego, który idzie za mną – wyjaśnił Chrzyciel.

– Kim jest Ten, kto idzie za tobą? Kogo poprzędasz? Czy może tego, którego Żydzi nazywają *Maszjach*?

Przez bujną brodę więźnia trudno było dostrzec wyraz jego twarzy, ale młodzieńcowi wydało się, że Jan lekko się uśmiechnął.

– O Grekach mówi się, że są mądrzy. Wydajesz się to potwierdzać, Stefanonie.

A więc zapamiętał jego imię.

– A Mesjasz? Powiedz mi, skąd przyjdzie? – drażył dalej młody człowiek.

– Stamtąd. – Chrzyciel wskazał dłonią na uśpioną wioskę na zboczach góry, u stóp której obozowali.

– Mówisz, że jestem mądry, a próbujesz robić ze mnie głupca – poskarżył się Stefanon.

– To była odpowiedź na twoje pytanie.

Młodzieniec wciąż wpatrywał się w osadę, ale nie podejmował już drażliwego tematu Mesjasza.

– Dokąd cię wiozą, Chrzycielu? – zapytał.

– Tam, gdzie Herod Antypas nie będzie już słyszał mojego głosu, a przynajmniej tak mu się wydaje – padła odpowiedź.

– A mnie zabierają do Jerozolimy. Przynajmniej nie zakuli mnie w kajdany.

– Nikt nie może zakuć cię w kajdany, jeśli na to nie pozwolisz. Nawet Antypas – oświadczył Jan.

– Gdyby to było takie proste, to nadal stałbyś nad swoją rzeką i chrzcił ludzi wodą – zauważył Stefanon.

– Czas chrztu wodą minął. Wkrótce ludzie będą chrzczeni Duchem Świętym – oznajmił zagadkowo więzień.

– A cóż to jest, ten Duch Święty? – Jan nie udzielił jednak młodemu człowiekowi odpowiedzi; być może był na to zbyt zmęczony. Stefanon westchnął. – Żałuję, że nie mogę niczego dla ciebie zrobić, Chrzycielu. Kilka dni temu słuchałem nauczania rabbiiego imieniem Jezus. Na pewno o nim słyszałeś.

– Nie jestem godzien rozwiązać Mu sandałów – szepnęła Jan, zaciskając mocno powieki.

– Jezus miałby pewnie inne zdanie na ten temat. Nie wyglądał mi na

kogoś, kto lubi, jak mu usługują – odparł młodzieniec. – To prawda, nie jestem Żydem, ale on zrobił na mnie duże wrażenie. Nie poprzestał na mglistych aluzjach. – „Tak jak ty”, brzmiał niewypowiedziany wyrzut. Ale Jan milczał. Próba naklonienia go do większej otwartości zakończyła się niepowodzeniem. – Tak czy owak, powinniśmy spróbować się zdrzemnąć. Jeśli chcesz, przyniosę ci koc – zaproponował Stefaton.

Ponieważ tamten wciąż nie odpowiadał, młodzieniec wzruszył ramionami i odwrócił się na pięcie.

– Zabierają cię do miasta Dawida? – Usłyszał nagle.

A jednak więzień odzyskał głos! Stefaton zatrzymał się.

– Tak, do Jerozolimy – odparł.

– Podejdź tutaj, spójrz na mnie! – zażądał Jan.

Młody człowiek zrobił mu tę przyjemność. Dłonie Chrzyciela, omijając pręty krat, opuściły więzienie i ujęły twarz Stefatona. Chrzyciel patrzył na niego niesamowitym wzrokiem, jak gdyby czytał w jego oczach niczym w zwojach księgi. Młodzieniec chciał uciec przed jego dotykiem, ale powstrzymywała go jakaś niewidzialna siła. Miał wrażenie, że Jan – czy był on prorokiem, czy nie? – wiedział o rzeczach, o których młody człowiek wolał nie mieć pojęcia. W końcu Chrzyciel cofnął ręce i osunął się na podłogę klatki. Oczy miał zamknięte i ciężko oddychał.

– Co widziałeś? – chciał wiedzieć Stefaton.

Własny głos zabrzmiał w jego uszach jak obcy.

– Widziałem Zbawiciela! – odrzekł tamten.

Młodzieniec postanowił nie zadawać więcej pytań, na które otrzymywałby tylko zagadkowe odpowiedzi. Jan jeszcze raz uniósł powieki.

– Widziałem tych, którzy Go przebodli, którzy obścąpili Go jak zgraja złoczyńców. – Mówiąc to, wskazywał drżącym palcem na Stefatona.

Co takiego mówił ten człowiek? Młodemu aktorowi zrobiło się niedobrze, całe jego ciało oblewał zimny pot. Gdyby miał choć pewność, że Chrzyciel popadł w obłąd! Stefaton musiał zebrać wszystkie siły, żeby się odwrócić; nie chciał już niczego słyszeć. Ale i tak do jego uszu dotarły słowa Jana:

– Jeżeli posłuchasz Go, Stefatonie, i nawrócisz się, możesz jeszcze zostać zbawiony!

Żyźne równiny Galilei zostały za nimi. W ciągu kolejnych dni młodzieniec unikał towarzystwa Jana. Ale Joram raz jeszcze kazał mu zaprowadzić Chrzyciela nad staw, aby tamten mógł się umyć. Stefaton w milczeniu czekał na więźnia na brzegu. Nagle na miejsce przybył jeden z żydowskich żołnierzy. Zdjął napierśnik i wszedł do wody aż do miejsca, w którym sięgała mu ona do bioder, i poprosił Jana o chrzest. Tamten trzykrotnie zanurzył mu głowę w wodzie, odmawiając modlitwę w języku hebrajskim. Młody człowiek zrozumiał tylko słowa „skrucha” i „nawrócenie”.

Odprawdzając Chrzyciela do wozu, Stefaton zmałał się ze sobą, czy nie powinien jeszcze raz zapytać więźnia o jego niepokojące przepowiednie. Ostatecznie zrezygnował z tego, bo bał się, że wrócą nieprzyjemne

12

Jerozolima już z oddali robiła imponujące wrażenie. Święte miasto Żydów, otoczone dolinami, wyrastało z jasných skał; górowała nad nim potężna, kilkusetletnia świątynia, którą król Herod, ojciec tetrarchy, przebudował i rozbudował przed kilkudziesięciu laty. Jeszcze zanim podróżni dojechali do Bramy Północnej, mogli się zorientować, że za murami panuje ożywiony ruch. Nad całym krajobrazem rozpościerało się on błękitne niebo Judei.

Od kilku dni Stefaton był coraz bardziej podenerwowany. Nie umknęło to uwadze Jorama, i dlatego teraz, kiedy prawie już dotarli do rzymskiej twierdzy Antonia, starał się dodać młodzieńcowi otuchy.

– Pamiętaj, oni nie są potworami! – zapewnił go.

Stefaton pomyślał o setniku w Kafarnaum.

– Czy czeka na ciebie jakaś dziewczyna? – dopytywał Joram.

Młody człowiek wolałby nie słyszeć tego pytania, bo na wspomnienie ukochanej poczuł bolesne ukłucie w sercu.

– Nazywa się Sara – powiedział cicho.

– Żydówka? – Żołnierz zagwizdał przez zęby. – Zaskakujesz mnie!

– Dlaczego? Żydzi też nie są potworami – zadrwił Stefaton.

– Są wręcz wybranym ludem Boga!

– Jaka to łaska z twojej strony, że mimo wszystko ze mną rozmawiasz! – odparował młodzieniec.

Joram wzruszył ramionami, obdarzając rozmówcę uśmiechem, co zdarzało mu się rzadko. Na ulicach roilo się od ludzi i zwierząt. Uwagę Stefatona przyciągnął chłopiec, który niósł w wysłużonym koszyku małe gliniane figurki.

– Hej, ty! Chodź tutaj! – zawołał młodzieniec.

Młody kupiec posłuchał polecenia, zwiertrzywszy interes.

– Chcesz kupić pamiątkę z podróży? Zobacz, tutaj jest Wieża Dawida! A może potrzebujesz czegoś dla dzieci? Może osła? Albo tę parę synogarlic? Możesz je złożyć w ofierze swoim bogom, oni ją przyjmą. Przynajmniej ci rzymscy, tak mnie zapewnił augur.

Stefaton sięgnął do koszyka.

– Dasz mi tę gazelę? – zapytał.

– Musisz mi za nią zapłacić dwa asy – oświadczył chłopak.

– On nie ma pieniędzy, dam ci asa – powiedział Joram.

Wyjął z zanadru miedzianą monetę i podał ją młodemu sprzedawcy, który gorliwie mu się uklonił.

– A ty, panie? Czego sobie życzysz? Gwiazdę Dawida? Jeżeli będziesz ją nosił na skórzanej tasemce na szyi, zawsze będzie cię chronić!

– Daj już spokój, chłopcze. Idź sobie i zostaw nas samych. Mój grecki przyjaciel chce się ze mną pożegnać – przegonił go Joram.

Przedsiębiorczy chłopak zniknął w tłumie. Joram z kpiącym uśmiechem

kiem podał swojemu podopiecznemu glinianą figurkę zwierzęcia.

– Wprawdzie nie mam pojęcia, po co ci ona, ale proszę – powiedział. – Może dasz ją na powitanie dowódcy twierdzy? Kohortus niezmiernie się ucieszy. Na pewno zbiera takie rzeczy!

– Zrobisz mi przysługę, Joramie? Po powrocie do Tyberiady przekaż figurkę mojej Sarze. Jej ojciec nazywa się Efraim, jest synem Eliu, ma plantację oliwek na południe od miasta – poprosił Stefaton.

– Czy ty poważnie prosisz mnie, żebym dał Żydówce podobiznę bożka? Nie wiesz, że mamy zakaz posiadania takich rzeczy? – zdumiał się oficer.

– To tylko zabawka, a nie podobizna bóstwa! To przecież od razu wiadać!

Joram z powątpiewaniem obejrzał figurkę ze wszystkich stron.

– Ile lat ma ta twoja przyjaciółka? – dociekał.

– Wystarczająco dużo, nie martw się. Ona będzie wiedziała, o co chodzi. Oczywiście wolałbym jej podarować złoty pierścionek lub naszyjnik, ale akurat w tej chwili to byłoby dość trudne.

– No dobrze, zrobię, jak chcesz. Przekażę jej twoją gazelę, obiecuję. – Joram schował przedmiot w faldach płaszcza. – A teraz chodź, przyjacielu, mijemy to już za sobą.

Twierdza Antonia była masywną budowlą z szarego kamienia. Wysokie czworoboczne wieże dodatkowo podkreślały jej potęgę; była niczym wariujący pies u stóp jeszcze bardziej rozległego kompleksu świątynnego. Bastion pogańskich okupantów obok świętego miejsca – dla Żydów musiał być jak bolesny cierni.

Za niewielkim pulpitem siedział centurion i mrużąc powieki, studiował trzymane w dłoniach pismo. Lektura widocznie stanowiła dla niego wyzwanie, bo raz po raz przecierał sobie oczy. Był mężczyzną po czterdziestce, wyglądał na wiarusa; miał przyprószone siwizną włosy oraz ogorzałą, osmaganą wiatrem twarz. Większości swojej służby nie spędził zapewne na czytaniu dokumentów. Z trudem odcyfrowywał słowo po słowie, a wokół panowała nieznośna cisza.

Stefaton żałował, że nie ma przy nim Jorama, ale ten po przekazaniu podopiecznego chciał jak najszybciej opuścić to miejsce. W końcu centurion opuścił papier na pulpit i zaczął bez pośpiechu lustrować młodzieńca wzrokiem. Mrużył przy tym oczy, jakby patrzył prosto pod słońce.

– A więc publicznie obraziłeś nie tylko Sejana, lecz do tego także Cezara – stwierdził po chwili.

Jego łacina zdradzała kogoś spoza Italii; głos był ochrypły i matowy. Setnik miał zapewne podrażnione gardło.

– To prawda, centurionie. Głęboko tego żałuję i jestem gotowy odbyć karę. – Twarz tamtego nawet nie drgnęła, a oczy nadal były wpatrzone w Stefatona. – To znaczy... będę się starał jak najlepiej służyć Rzymowi i odpokutować mój występek – oświadczył młodzieniec, któremu było bardzo nieswojo, bo nie wiedział, co się kryje za spojrzeniem żołnierza.

Ku jego zdumieniu setnik nagle wybuchnął śmiechem. Stefaton po swo-

ich słowach oczekiwał wszystkiego, ale nie tego, że go rozbawi.

– Zdradzisz mi może – zasała oficer – jak nazwałś prefekta Rzymu? Może osłem? Albo łachudrą?

Stefaton szybko potrząsnął głową, starając się wyglądać na skruszonego. Być może ten Rzymianin chciał go tylko wystawić na próbę.

– A cesarowi, boskiemu Tyberiuszowi, nie ubliżałeś, mam nadzieję, od starych rozpustników? – nie dawał za wygraną centurion.

– Panie, ja... – zaczął młodzieniec.

– Już dobrze, już dobrze. – Setnik, już z poważną miną, wykonał uspokajający ruch ręką i zagłębił się w lekturze pisma. – Nazywasz się... Stefaton? – zapytał.

– Tak, panie.

– Przybyłeś tu jak na zawołanie, bo kohortus wczoraj obiecał mi, że dostanę jeszcze jednego pomocnika. Będziesz służył mnie i wszystkim, którymi dowodzę, zrozumiano?

– Tak jest, panie!

– Mój sługa wszystko ci pokaże i wyjaśni – oznajmił oficer, po czym zawołał: – Sadoku!

Do izby wszedł niewysoki chłopak. Choć był jeszcze młody – wyglądał prawie na dziecko – to z jego twarzy, naznaczonej wydatną zajęczą wargą, wyzierała prostacka przebiegłość.

– Panie? – odezwał się przybyły.

– Do naszego oddziału od dziś dołączy ten oto grecki przyjaciel. Daj mu czystą tunikę i przedstaw obowiązki. Już jutro będzie musiał stanąć na wysokości zadania. Nazywa się Stefaton – oświadczył setnik.

– Tak jest, panie!

– Będziesz z nim dzielił izbę! Odmaszerować! – polecił oficer i wrócił do swoich papierów.

Sadok zrobił kwaśną minę.

– Czy chcesz mi jeszcze coś powiedzieć, Sadoku? – zapytał centurion, nie podnosząc głowy znad zwojów papirusu.

– Nie, panie! – odparł chłopak.

– W takim razie już was tu nie ma! – Dowódca wykonał niecierpliwym ruchem dłonią, każąc podkomendnym opuścić pomieszczenie.

– Na pewno nie jesteś tu z własnej woli! – powiedział Sadok, gdy znaleźli się na zewnątrz.

– A ty? – Stefaton nie zamierzał się tłumaczyć przed tym smarkaczem.

– Ja? – Tamten wyglądał na zaskoczonego pytaniem, tak jakby nikt nie zainteresował się dotąd historią jego życia. – Służę centurionowi już od kilku lat. Zrobił mnie swoim osobistym sługą, kiedy moi rodzice... – Przejechał palcem wskazującym po szyi.

Stefatona przeraziła obojętność, z jaką chłopak wykonał ten gest.

– Jesteś Żydem? – zapytał ostrożnie.

– Żydem czy nie, co cię to obchodzi?

– Myślałem, że dla Żydów to najważniejsza sprawa.

– Nie dla mnie – padła odpowiedź.

– A więc nie uważasz się za Żyda? – dociekał Stefaton.

– Lepiej trzymać z Rzymianami – odparł Sadok. – Jesteś Grekiem? W takim razie lepiej myśl tak jak ja. A teraz już dość tej gadaniny. Na początek pokażę ci twierdzę. Jeśli spotkamy oficera, uprzejmie go pozdrowisz, ro-

zumiesz? O, tak! – mówiąc to, energicznie wyciągnął przed siebie prawą dłoń.

Podczas gdy Sadok oprowadzał go po warowni, Stefaton zadawał sobie pytanie, ile czasu minie, zanim się tutaj odnajdzie. W pierwszych chwilach pobytu czuł dezorientację, oszołomienie, a nawet lęk. Jak mówił Sadok, w Antonii stacjonowała cała kohorta, w związku z czym stała załoga liczyła co najmniej pięćuset żołnierzy.

– Podczas świąt żydowskich jest ich nawet więcej – oznajmił, gdy przechodzili przez dziedziniec wewnętrzny, którego większa część znajdowała się w cieniu wysokich wież i murów. – Wtedy przybywają posiłki namiestnika z Cezarei. A są one potrzebne, możesz mi wierzyć!

Wciąż musieli schodzić komuś z drogi. Wokół niczym mrówki uwijali się legionieści, pachołkowie, a nawet cywile, raz po raz rozbrzmiewały dźwięki rogu i wydawane ostrym głosem rozkazy. Stefaton najchętniej zaszyłby się w jakimś kącie i zatkał sobie uszy. Sadok natomiast – na co wszystko wskazywało – nic sobie nie robił z tej nerwowej krzątaniny.

– A namiestnik? – zapytał nowo przybyły. – Jak często przyjeżdża do Jeruzolimy?

– Przecież ci powiedziałem, że zawsze na wielkie święta. Zazwyczaj jednak nie zatrzymuje się w Antonii, lecz w starym pałacu królewskim. Niedawno, na święto Paschy, bawił jeszcze w mieście. Tym razem było zdziwiająco spokojnie – opowiadał przewodnik.

– A wcześniej często zdarzały się zamieszki? – chciał wiedzieć Stefaton.

– Wśród pielgrzymów zawsze znajdzie się paru szaleńców. Niektórzy są niegroźni, ale inni sieją niepokój i dlatego trzeba ich stale obserwować – tłumaczył Sadok.

– Co to za ludzie?

– Nauczyciele, samozwańczy prorocy i mesjasze... po prostu wariaci. Prawdziwym problemem są jednak ci, którzy stosują przemoc, fałszywi patrioci, tacy jak ci zeloci czy inni bandyci. Ukrywają się, dlatego trudno zrobić z nimi porządek. Ale ostatnio chyba zrozumieli, że z namiestnikiem nie ma żartów.

Stefaton znał historię o akwedukcie – mówiono, że na jego budowę Piłat zabrał pieniądze ze skarbca świątynnego. Kiedy wieść o tym się rozniosła, przed pretorium w Jeruzolimie doszło do protestów, które namiestnik stłumił siłą. Było wielu zabitych i rannych.

– Być może te osły pewnego dnia zrozumieją, że z Rzymem nie mają szans – stwierdził Sadok.

Choć z urodzenia był Żydem, to kilka lat w służbie okupanta najwyraźniej zrobiło z niego Rzymianina. Stefatonowi nie podobał się sposób, w jaki Sadok mówił o swoich rodakach.

– Twój pan, setnik, dobrze cię traktuje? – zapytał.

Po twarzy tamtego przemknął cień. Stefaton mógłby przysiąc, że błysk w oczach chłopaka był błyskiem zazdrości.

– Czy wyglądam na kogoś, kogo bije własny pan? – odpowiedział pytaniem Sadok. – A to tutaj – dotknął palcem dużej szczeliny szpecącej jego górną wargę – to nie rana, po prostu się z tym urodziłem, jasne?

– Wybacz mi – zaczął Stefaton – nie chciałem sugerować...

– Nie myśl, że możesz odebrać mi robotę – ostrzegł go przewodnik. – Może masz o parę lat więcej ode mnie, ale to ja jestem jego pierwszym

osobistym sługą. Wie, ile mi zawdzięcza.

To była zadróż! Stefaton starał się, żeby jego głos zabrzmiał jak najspokojniej.

– Nie martw się, nie zamierzam podkopywać twojej pozycji – oznajmił.
– Za dwa lata pozbędziesz się mnie, Sadoku, bo wrócę wtedy do Galiei. Jest tam dziewczyna, którą kocham, rozumiesz? Wcale mi nie zależy na awansach.

Rozmówca spojrział na niego z powątpiewaniem.

– No dobrze. – Skinął w końcu głową. – Przez dwa lata chyba z sobą wytrzymamy. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że twoja ukochana nie pocieszy się wcześniej kimś innym.

Za tę uwagę w zasadzie należałoby wymierzyć tamtemu policzek, ale Stefaton zebrał się w sobie.

– Pozostanie mi wierna, możesz na to postawić dużą sumę – odparł.

– Skoro tak uważasz. – Sadok wzruszył ramionami. – Chodź za mną, pokazę ci arsenał.

Oprócz zbrojowni obejrzeni jeszcze kwatery żołnierzy, mense oficerską i stajnie; w obrębie murów znajdowały się także łaźnie oraz mała świątynia.

– Dobrze sobie wszystko zapamiętaj – poradził Stefatonowi przewodnik; miał ku temu dobry powód. – W przyszłości będziesz za mnie posłańcem, rozumiesz? Ja tego nie cierpię. – Najwyraźniej uważał się za stworzonego do ważniejszych rzeczy.

Na koniec Sadok zaprowadził nowicjusza do ich wspólnego mieszkania w zachodnim skrzydle twierdzy. Ponieważ byli osobistymi sługami oficera, mieli do dyspozycji własną, choć malutką izdebkę, położoną bezpośrednio obok kwatery ich pana. Sadok wskazał na kawałek podłogi – ostatnią wolną przestrzeń w pomieszczeniu.

– Tutaj będziesz spał – powiedział. – Pokażę ci, gdzie możesz zdobyć trochę słomy. Co się tak gapisz, chyba nie chcesz zabrać mi pryczy?

– Oczywiście, że nie – zapewnił Stefaton.

– I wcale bym ci tego nie radził – ostrzegł tamten.

Stefaton uświadomił sobie, że nie zna jeszcze imienia setnika.

– Opowiedz mi, proszę, coś o twoim... naszym panu. Jak się nazywa?

– Kasjusz Longin.

– I co jeszcze?

– Jak to: co jeszcze? – zdziwił się Sadok.

– Na pewno możesz opowiedzieć o nim coś jeszcze – nalegał przybyły. – Chcesz mnie trzymać w nieświadomości?

– Służył w słynnym dziesiątym legionie jako *primus pilus*. Był najlepszym centurionem, jaki kiedykolwiek walczył w szeregach tej jednostki.

– Mogę to sobie wyobrazić.

– Nie sądzę, byś mógł, zniewieściały Greku.

Stefaton głęboko zaczerpnął powietrza. Na dłuższą metę z tym smarkaczem trudno będzie wytrzymać. Zapytał jednak spokojnie:

– A dlaczego teraz nie służy już jako *primus pilus*?

– Głupcze, nie zauważyłeś, że ma chore oczy? Jego wzrok stale się pogarsza. Jak mógłby prowadzić żołnierzy do walki?

To tłumaczyło, dlaczego czytanie przez niego pisma z Tyberiady ciągnęło się w nieskończoność.

Świadek

- Czy on całkowicie oślepnie? – dopytywał Stefaton.
- Tutejszy lekarz twierdzi, że to tylko kwestia czasu.
- W takim razie rzeczywiście zasłużył na spokojne stanowisko.
- Spokojne? Ty naprawdę nic nie wiesz, Greku! – zawołał Sadok.
- W takim razie bądź tak dobry i mnie oświeć.
- Nasz pan nic ci nie powiedział?
- O czym?
- O naszym głównym zadaniu.

Nowo przybyły potrząsnął głową.

- Przykro mi, pozostawił to sobie.

- Centurion dowodzi oddziałem specjalnym – tłumaczył Sadok. – My dwaj jesteśmy pomocnikami żołnierzy. Rozumiesz, dbamy o sprzęt. Może myślisz, że to coś łatwego, ale zobaczysz, że trzeba pamiętać o tysiącu rzeczy, jeśli wszystko ma się odbywać sprawnie. A biada, jeśli coś pójdzie nie tak!

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, o czym mówisz – przyznał się Stefaton.

- O oddziale egzekucyjnym, ty idioto!

- Pomagamy przy egzekucjach?

- A co, jesteś na to zbyt delikatny? – zadrwił Sadok.

Przybysz milczał. Najpóźniej w tej chwili stracił wszelką ochotę do rozmowy.

- Naszą specjalnością są ukrzyżowania – ciągnął Sadok z lubością, a Stefatonowi zrobiło się niedobrze. – Już jutro wybierzemy się na małą wycieczkę na Golgotę. – Chłopak dał nowemu wesołego kuksańca. – No, nie zwieszaj nosa na kwintę, Greku, będę przecież przy tobie. Może ci się nawet spodoba!

13

Mężczyzna, którego nazajutrz po ubiczowaniu prowadzili na miejsce straceń na Golgocie, nazywał się Jehohanan i był synek Hagkola. Kilka dni wcześniej w trakcie bójki chłopów na owczym targu zabił rzymskiego legionistę, który chciał rozdzielić walczących. Wyrok wobec sprawcy zapadł szybko i był taki jak zwykle – śmierć przez ukrzyżowanie.

Kiedy oddział egzekucyjny wraz ze skazańcem wyruszył w drogę, poranny chłód wciąż jeszcze zmagał się z ciepłem promieni słońca wspinającego się po niebie. Wzdłuż szlaku prowadzącego na Golgotę, w wąskich uliczkach miasta, stali liczni gapię. Jehohanan niósł na ramionach poprzeczną belkę krzyża, na którym miał umrzeć. Skazaniec był mężczyzną w sile wieku, żyłastym i silnym, ale ból, strach i ciężar brzemienia osłabiły go tak bardzo, że raz po raz upadał i legionieści musieli siłą stawiać go na nogi.

Za więźniem jechał na swoim spokojnym czarnym ogierze Kasjusz Longin. Centurion miał na głowie hełm z pióropuszem z końskiego włosa, na plecach czerwony płaszcz; na jego uzbrojenie oprócz miecza składało się *pilum*. Za nim podążali obaj słudzy, Sadok i Stefaton, wspólnie ciągnący dwukołowy wózek wyposażony narzędziami do egzekucji, powozami i innymi akcesoriami. W tłumie gapiów rzucano obelgi, ale w stronę Rzymian, a nie Jehohanana, który wślawił się odwagą podczas zabijania znieprawdzonych okupantów. Longin i jego żołnierze byli doskonale znani w mieście; jerozolimscy Żydzi pogardzali nimi prawie tak samo jak namiestnikiem.

Stefaton wyczuwał ich wściekłość; widział w ich oczach nienawiść i bezsilność – i zaczął się tych ludzi bać. Co będzie, jeśli ich tłumiony gniew nagle przerodzi się w przemoc? Takich obaw nie podzielali jednak najwiśdziej ani setnik, ani żaden z jego legionistów; na ich twarzach była wypisana bezwzględna obojętność doświadczonych żołnierzy. Centurion nawet nie zadawał sobie trudu, żeby wylapywać w ludzkiej ciżbie szczególnie zuchwałych prowodyrów albo przynajmniej rzucać im ostrzegawcze spojrzenia. Kto jednak zanadto zbliżył się do oddziału, był brutalnie spychany na bok.

Jehohanan syn Hagkola był tylko prostym chłopem, a nie zelotą, buntownikiem, podżegaczem. Żołnierze traktowali jego egzekucję jak drobnośćkę, codzienność, rutynę; akcję, po której nie można było się spodziewać większych trudności, zwłaszcza że mieli do czynienia tylko z jednym skazańcem.

– Coś w sam raz dla takiego żółtodzioba jak ty – z wyższością zapewnił kolegę Sadok, jakby sam nie był chłopakiem, który ma jeszcze mleko pod nosem. – Dzisiaj wystarczy, że będziesz po prostu patrzył i nie plątał się pod nogami.

Golgota, czyli Miejsce Czaszki, była skalistym płaskowyżem położonym

tuż za bramami miasta; wcześniej znajdowały się tam kamieniołomy. Wzniesienie otrzymało swoją nazwę nie bez powodu, gdyż uważny obserwator mógł istotnie dostrzec jego podobieństwo do gigantycznej ludzkiej czaszki. Szczyt był najeżony pionowo umocowanymi w ziemi palami, na kształt rusztowania połączonymi ze sobą u góry poprzecznymi elementami. Czterej kolejni legionieści czekali tu już na przybycie oddziału.

Skazaniec był u kresu sił. Dwóch spośród oczekujących podeszło do niego, złapało z obu stron za niesioną przez niego belkę i powlekło przez kilka ostatnich kroków na miejsce straceń. Koń centuriona dzielnie pokonał całą drogę, jak gdyby wspinał się już tędy tysiące razy. Jak wyjaśnił trajkoczący wciąż Sadok, zwierzę wabiło się Polluks i było ozdoba stajni w jerozolimskiej twierdzy – każdy zazdrościł Longinowi szlachetnego rumaka, który nigdy się nie płoszył. Swojemu na wpeł ślepemu jeźdźcowi ogier w zasadzie zastępował oczy.

Więzień, ciężko oddychając, padł na kolana. Jeden z żołnierzy zerwał mu z ciała tunikę, tak że Jehohanana okrywała teraz tylko przepaska na biodrach. Inny wymierzył mu potężnego kopniaka w pierś, po którym nieszczęśnik osunął się na ziemię. Nadeszli Sadok i Stefaton ze swoim wozem; ten ostatni postanowił, że nie spojrzy skazańcowi w oczy.

Legionista odpowiedzialny za przybicie skazańca do krzyża nazywał się Fulwiusz; po Longinie był on najwyższym rangą członkiem oddziału. Miał kościstą, pooraną bruzdami twarz, z której wyzierały złośliwe oczy. Z jękiem usadowił się za głową ofiary. Wyciągnął ręce, a Sadok podał mu gwoździe i młotek.

– Hej, ty! – zawołał, wskazując młotkiem na Stefatona. – Co tak stoisz i się gapisz? Pomóż mi go przytrzymać, kiedy będę wbił gwoździe!

Jehohanana zebrał się ostatkiem sił i zaczął więc się jak piskorz, ale na próżno – powrozy nie ustępowały, a na jego nogach klęczeli Stefaton i Sadok. Fulwiusz wziął duży zamach i wbił gwoździe w przegub dłoni skazańca. Wystarczyły trzy, cztery uderzenia, a potem kolejne dwa, żeby zagiąć gwoździe. Stefaton jeszcze nigdy nie słyszał tak krzyczącego człowieka; już po chwili straszliwy ryk przeszedł w rżenie i sapanie. Prosto w twarz było go mima trysnęła fontanna krwi.

– To twój chrzest, Greku! – zawołał z uciechą Sadok.

– Dalej, próżniaki! – warknął z końskiego grzbietu Longin.

Stojący za nim legionieści zagradzali gapiom drogę na szczyt wzgórza.

Sadok podał Fulwiuszowi drugi gwoździe i cała procedura powtórzyła się. Stefaton, który dotąd dzielnie znosił widok egzekucji, teraz dałby wszystko, żeby móc uciec z tego straszliwego miejsca. Sądził, że zna męki ukrzyżowanego! Jakimż był głupcem! Tortury, którym na scenie poddano Laureolusa, w porównaniu z tym, co zgotowano Jehohananowi, były tylko głupim dziecięcym żartem. A przecież nieszczęśnik jeszcze nawet nie wiślał, jego oprawcy dopiero przymocowywali do belki sznury, za pomocą których mieli go podnieść.

Swoją pierwszą egzekucję Stefaton miał później pamiętać jak przez mgłę. Przybijanie skazańca, jego krzyki, zapach krwi i moczu – to wszystko sprawiło, że jego żołądek się zbuntował. Ku uciesze Sadoka i innych młodzieniec pędem pobiegł na skraj płaskowyżu, żeby tam zwymiotować. Jak sparaliżowany przyglądał się z daleka, jak żołnierze wspólnymi siłami podnoszą Jehohanana i dźwigają do góry; belka poprzeczna z gwałtow-

nym szarpnięciem połączyła się z pionowym palem. Dwóch żołnierzy przytrzymało zgięte nogi ukrzyżowanego, aby Fulwiusz mógł mu przebić kostki długim na łokieć gwoździem. Czy można sobie było wyobrazić bardziej żałosny rodzaj śmierci? Fulwiusz głośno kłął – wolałby przybić każdą ze stóp oddzielnie, ale pozostał mu tylko ten jeden gwoździec. Sadok umył ręce, twierdząc, że dokładnie wyjaśnił nowemu, jakie gwoździe ma załadować. Otrzymał od Rzymianina policzek był najmniejszą przykrością, jaka spotkała Stefatona tego strasznego dnia.

Wieczorem, kiedy po skończonej robocie obaj leżeli w swojej izdebce, Sadok zachowywał się już mniej wyniośle.

– Przyznaję, że po pierwszej egzekucji ja też rzygałem jak dziwka w ciąży. Ale uwierz mi, szybko się do tego przyzwyczaisz – zapewniał towarzysza.

Stefaton kuczał na swoim słomianym pościu i ponuro patrzył w ciemność. Wciąż czuł się koszmarnie, ale wiedział, że ten przeklęty chłopak miał rację – jeżeli chce przetrwać dwa lata w tym oddziale morderców, musi zapomnieć o wrażliwości.

– Można mu było pozwolić umrzeć szybciej – wymamrotał mimo to.

Sadok zaśmiał się głucho.

– Kpisz sobie? – oburzył się. – Posłał do Hadesu rzymskiego żołnierza! A gdyby centurion nie zarządził *crurifragium*, wisiałby tam jeszcze parę dni. Sam widzisz, że ten śmierdzący wieśniak dostał większej łaski, niż zasłużył!

– Mówisz o kimś, kto należy do twojego narodu, Sadoku! – odparł wstrząśnięty Stefaton.

– Czy nie mówiłem ci już, że ten naród mnie nie obchodzi? – parsknął tamten. – Nigdy więcej nie nazywaj mnie Żydem, rozumiesz?

Świat, o którym mówił rabbi Jezus, był od nich tak daleko jak księżyc i gwiazdy. Pewnego dnia i Sara zapewne sama to zrozumie.

Mniej więcej po upływie tygodnia Sara wybrała się w drogę do Kafarnaum. Wyruszyła jeszcze przed świtem, zostawiając za sobą rodzinny dom. Każdy krok budził w niej smutek, bo przecież jeszcze niedawno tą samą drogą nad jeziorem szła u boku ukochanego. W chłodzie poranka wydawało się jej, że wciąż jeszcze trzyma jego dłoń w swojej dłoni.

Poprzedniej nocy obudziła się, bo wydawało się jej, że słyszy jakiś głos wołający ją po imieniu. Odkąd usłyszała słowa Jezusa, wypełniała ją głęboka tęsknota – tęsknota za światem, w którym ludzie byłiby solą ziemi. W sercu jej najdroższego Stefatona także zagości kiedyś taka tęsknota – Sara była o tym przekonana. Agriope powiedziała jej, że młody człowiek powróci dopiero za dwa lata. Dziewczyna uznała to za znak dla siebie: musi pójść za Jezusem!

Około godziny dziewiątej dotarła do Kafarnaum i zapytała o rabbiego. Wskazano jej dom rybaka Szymona, gdzie – jak ją zapewniono – często można zastać Jezusa. Przybywszy na miejsce, zobaczyła siedzące przed drzwiami trzy kobiety, zajęte naprawianiem wielkiej sieci rybackiej.

Dziewczyna pozdrowiła je i poprosiła o spotkanie z Jezusem.

Kobieta siedząca pośrodku – Sara pamiętała, że widziała ją na wzgórzu, gdzie nauczał rabbi – przerwała pracę.

– Nie ma go tutaj – wyjaśniła uprzejmie. – Wczoraj popłynął z kilkoma uczniami na drugi brzeg jeziora.

– Kiedy wróci? – chciała wiedzieć Sara.

– Dziś, jutro, pojutrze... nie wiemy. – Tamta uśmiechnęła się. – To zależy od gleby, na jaką padnie ziarno jego słowa.

– Jesteś jego uczennicą, prawda? – zapytała Sara.

– Uczennicą? Tak, pewnie można mnie tak określić. Jestem Maria z Magdali, a one – wskazała na swoje sąsiadki – to matka i żona Szymona Piotra, pierwszego ucznia mistrza.

– A ty kim jesteś, moje dziecko? – zapytała najstarsza z kobiet.

Sara przedstawiła się.

– Cieszymy się, że do nas przyszedłeś – oznajmiła żona Piotra. Jej słowa brzmiały szczerze.

– I ja chciałabym zostać jego uczennicą – wyznała niemal ze wstydem Sara, bo nagle poczuła się jak dziecko, które domaga się rzeczy niemożliwej do zrobienia. – Słyszałam, jak przemawia, tam na wzgórzu – dodała szybko, jak gdyby kobiety zażądały od niej wyjaśnień. – Jego słowa... jego słowa mnie przemieniły.

Maria wstała i podeszła do dziewczyny. Zmarszczki w kącikach oczu zdradzały, że musiała być starsza, niż się wydawała w pierwszej chwili, ale na jej twarzy można było jeszcze odnaleźć liczne ślady piękna. Z jej skóry biła cudowna woń olejku balsamicznego.

– Przejdiesz się ze mną, Saro? – zapytała. – Chciałabym trochę rozprostować nogi.

Jezioro było tuż obok; już po chwili obie kobiety stały nad brzegiem, wpatrując się w lśniącą taflę wody.

– Masz męża? A może narzeczonego? – odezwała się Maria.

Pytanie zaskoczyło dziewczynę, ale nie było powodu, żeby odmówić na nie odpowiedzi.

– Nie – powiedziała.

Chwila krótkiego wahania nie umknęła uwadze pytającej.

– Ukochanego, który cię opuścił?

Tym razem odpowiedź nie chciała przejść dziewczynie przez gardło.

– Saro! – Maria delikatnie ujęła jej dłoń. – Jezus daje nam wszystkim zbawienie, mocno w to wierzę. Przesłanie, które głosi, to dobra nowina. Ale zarazem poważna sprawa, coś więcej niż tylko pocieszenie dla nieszczęśliwie zakochanych dziewczyn.

Te słowa nie zostały wypowiedziane jako przygana, ale mimo to zabolęły Sarę.

– Nie jest tak, jak myślisz. Podjęłam mocne postanowienie pójścia za Jezusem – oświadczyła.

– Ale jak możesz być pewna tego, że to droga dla ciebie? – zapytała Maria. – Mistrz sam sobie wybiera uczniów.

– Wezwał mnie we śnie! – zawołała dziewczyna. Nic nie mogła poradzić na dziecięcą przekorę, którą dało się słyszeć w jej głosie, ani na dużą, spływającą po policzku łzę.

Maria objęła ją ramieniem.

– A twoi rodzice? – wyszeptala. – Czy też wiedzą, że chcesz zostać jego uczennicą?

– Mój ojciec nigdy by się na to nie zgodził. Wymknęłam się więc w domu – przyznała Sara i zapytała lekliwie: – Czy mistrz odeśle mnie z powrotem?

– Jeśli kto chce iść za Mną, niech wyrzeknie się siebie i codziennie bierze swoje jarzmo, i Mnie naśladuje! Kto ogląda się za siebie, nie nadaje się do królestwa Bożego! A każdy, kto dla mojego imienia opuści ojca albo matkę, otrzyma stokroć więcej!

Zdezorientowana dziewczyna spojrzała na Marię.

– To jego słowa – wyjaśniła tamta z uśmiechem.

Sara z determinacją uniosła głowę.

– Jestem gotowa! Poniosę każdą ofiarę! – oświadczyła.

– Zobaczymy. Możesz zostać z nami do chwili, kiedy wrócą – usłyszała w odpowiedzi.

– Dziękuję! – Sara miała wielką ochotę ucałować kobietę i dobrze wyczuwała, że Maria także ją lubi. Dlatego odważyła się też zadać pytanie, które właśnie przyszło jej do głowy.

– Czy jesteś jego żoną?

Maria wytrzeszczyła oczy, a potem roześmiała się.

– Jezus nie ma żony, Saro – wyjaśniła. – Nie może sobie na nią pozwolić. Gdyby ją miał, jak mógłby dokonywać swoich dzieł?

Dziewczyna zrozumiała, że palnęła głupstwo, ale ciekawość nie dawała jej spokoju.

– Od kiedy za nim chodzisz? – zapytała z kolei.

Jej rozmówczyni wpatrywała się w jezioro.

– Odkąd mnie uzdrowił – odparła cicho.

– Byłaś chora?

– Na ciele i duszy.

Sara milczała. Gdyby kobieta chciała jej zdradzić coś więcej, pewnie by to uczyniła. I rzeczywiście, po chwili Maria znów się odezwała.

– Wypędził dręczące mnie demony, jednego po drugim.

– Demony? – Sara starała się, żeby w jej głosie nie było słyhać przerażenia.

– Wiesz, Saro, wszyscy łatwo dajemy się opętać demonom – tłumaczyła jej rozmówczyni. – Nasze żądze, nasze popędy, nasza chciwość... wszystko to oddziela nas od królestwa Bożego. Zło nęka nas na każdym kroku, czyha wszędzie. Jedni nie pozwalają demonom się opanować, inni z całych sił bronią się przed nimi, jeszcze inni wręcz je zapraszają, żeby zamieszkały w ich duszy. – Stuknęła się palcem w pierś. – Jeszcze niedawno zaliczałam się do tych ostatnich! Ale mistrz mnie uwolnił, sprawił, że stałam się nowym człowiekiem. Pójście za nim było jedyną decyzją, jaką mogłam podjąć. Kocham go, Saro – oznajmiła Maria. – Jakże mogłabym nie kochać mojego wybawcy? Kto go nie kocha, nie jest go godzien. Kto nie kocha swojego wybawcy, nie powinien się dziwić, że demony do niego wracają.

Tajemnicze słowa kobiety, choć pozostawiły wiele spraw bez wyjaśnienia, umocniły Sarę w przekonaniu, że postąpiła właściwie.

– Mario! – powiedziała błagalnie. – Tak bardzo pragnę tego wszystkiego. Czy wstawisz się za mną u Jezusa?

– To nie będzie potrzebne, Saro. On umie głęboko zaglądać w duszę

Świadek

człowieka. – Wskazała na jezioro, na którym w oddali widać było kołyszącą się łódkę. – Wygląda na to, że już wracają.

Sara poczuła, że jej serce mocno bije. Opuszkami palców wyszukała małą figurkę, którą ukryła w fałdach płaszcza. Poprzedniego dnia jakiś żołnierz Antypasa przekazał jej glinianą gazelę.

Stefatonie, najdroższy, będę się za nas modlić!

Nagle zupełnie niedorzeczna wydała jej się myśl, że Jezus mógłby ją odesłać. Po co w takim razie wzywałby ją we śnie?

Stefaton

On odpowiedział: „Widzicie to wszystko? Zaprawdę powiadam wam: Nie zostanie tu kamień na kamieniu – ani jeden nie zostanie na swoim miejscu”.

Mt 24,2

14

Dwa lata później

Gajusz Mellus, komendant twierdzy Antonia w Jerozolimie, był potężnym, siwowłosym mężczyzną. Twierdzono, że swoje stanowisko dostał za karę. To samo mówiono jednak i o wielu innych rzymskich oficerach, którzy pełnili służbę w Judei. Sam Mellus milczał na temat swojej przeszłości. O ile na co dzień traktował podkomendnych łagodnie, o tyle podczas wizytacji wysoko postawionych gości można było u niego wyczuć napięcie.

Jeszcze sześć dni pozostało do święta Paschy, podczas którego Żydzi wspominali swoje oswobodzenie z niewoli w Egipcie. W każdej chwili spodziewano się przybycia namiestnika i dodatkowej kohorty żołnierzy. Choć w ostatnich latach świąteczne dni upływały w spokojnej atmosferze, tym razem wcale nie musiało tak być. Czyż Rzymian nie nazywano nowymi Egipcjanami? Nawet niewielki podmuch mógł zmienić płomień religijnego uniesienia w gwałtowny pożar. Już choćby z tego powodu niezbędna była obecność namiestnika wspieranego przez wojsko; Żydzi doskonale wiedzieli, że Piłat bez wahania sięgnie po drastyczne środki, jeżeli uzna, że pokój czy raczej autorytet Rzymu jest zagrożony.

Ku przerażeniu Gajusza Mellusa, ukrywanemu jednak za fasadą obo-

jętności doświadczonego żołnierza, jeszcze przed przybyciem namiestnika zapowiedziano mu wizytę dwóch dodatkowych gości z Rzymu. Mellus przyjął ich z wszelkimi honorami na wewnętrznym dziedzińcu. Pierwszego z nich, senatora Sekstusa Salwiusza, bliskiego zaufanego cesarza, już znał; nie po raz pierwszy Salwiusz bawił w Jerozolimie, aby patrzeć na ręce Mellusowi i namiestnikowi. Był bardzo otyły, o wiele większy niż ostatnio; po ciężkiej podróży z trudem łąpał oddech, choć przez ostatnią część drogi niesiono go w lektyce. Drugi przybysz okazał się młodym trybunem w błyszczącej zbroi. Rysy miał jeszcze dość chłopięce, choć bila od niego arogancja. Głowę i brwi wciąż unosił, jak gdyby z niewiadomego powodu żądał wyjaśnień.

– Cieszę się, że dobrze znieśliście długą podróż – powitał gości Mellus.

– U wybrzeży Cypru rozszalała się tak straszliwa burza, że nasz statek o mało nie zatonął – opowiadał senator, a jego podwójny podbródek trząsał się, jakby wciąż jeszcze był smagany huraganowym wiatrem. – Nie postawiłbym ani denara na to, że przeżyjemy.

– Na szczęście niektórzy bogowie dają się łatwo przebłagać, jeżeli obieca im się cenny dar – dodał trybun, a ton jego głosu zdradzał, że mówi zupełnie poważnie.

Mellus znał ten typ: młodzi ludzie z bogatych patrycjuszowskich rodzin, którzy uważają się za silniejszych nawet od bogów. Zapewne ten rozpieszczony chłopak nigdy jeszcze nie widział pola bitwy. Salwiusz przedstawił go komendantowi jako Lucjusza Sejusza Tuberona, siostrzeńca prefekta Sejana, który miał go bardzo wysoko cenić.

Nowy protegowany szlachetnego Sejana i w dodatku jego bratanek! Mellus wszystko zrozumiał. Nie potrafił co prawda powiedzieć, co dokładnie działało się za kulisami wielkiej polityki – był w końcu tylko dowódcą twierdzy – ale nie ulegało wątpliwości, że nikt już nikomu nie ufał. Czy przebywający na Capri stary cesarz Tyberiusz miał jeszcze zaufanie do swojego zastępcy? Czy Sejan ufał namiestnikowi Judei, którego sam niegdyś wyniósł na to stanowisko? A Herodowi Antypasowi, którego przybycia na święto Paschy również oczekiwano? Tuberona, choć wyglądał na głupiego pyszałka, nie wolno było lekceważyć. Kohortus nie mógł natomiast odgadnąć, czy Salwiusz cieszył się z jego towarzystwa. To, że senator został zaufanym Tyberiusza, nie oznaczało wcale, iż cieszył się również względami Sejana. Ten ostatni z kolei – jak słyszał Mellus – miał w Rzymie coraz więcej przeciwników. Wielu uznawało jego rządy za zbyt aroganckie – doszło nawet do tego, że prefekt zaczął bić monety ze swoim wizerunkiem.

Kohortus zaproponował gościom, żeby na początek wzięli kąpiel i odświeżyli się po podróży. Potem miała ich czekać biesiada powitalna.

– Nie tak szybko, komendancie – powiedział przeziągle Tubero. – Nie złożysz nam najpierw raportu o sytuacji w mieście?

Mellus ze wszystkich sił starał się nie okazywać irytacji.

– Tak jest, trybunie – powiedział spokojnie. – Choć do miasta co dzień przybywają nowi pielgrzymi, to jest tu stosunkowo spokojnie i bezpiecznie. Nie dochodzi do zamieszek i kłótni, które byłyby warte wzmianki. Zdarzają się tylko te codzienne, ma się rozumieć.

– A cóż to są te codzienne kłótnie, komendancie? – drażył Tubero.

– Spory o miejsca noclegowe. Jakość zwierząt ofiarnych. Drożyzna –

wyjaśnił Mellus.

– A więc w mieście nie ma buntowników?

– Nie, trybunie.

– Jesteś tego całkowiec pewien?

– Z całym szacunkiem, trybunie: pewnym nie można być nigdy. Moi informatorzy będą mi niezwłocznie donosić o wszystkich podejrzanych – zapewnił kohortus.

– Informatorzy? Są Żydami, jak przypuszczam?

– Tak, trybunie.

– I ty im ufasz?

– Nigdy mnie nie zawiedli. Nie wszyscy Żydzi chcą nas posłać do Hadesu. Nasza współpraca z Sanhedrynem układa się doskonale. Jego członkowie doceniają zalety naszego porządku. Szanują nas, a my szanujemy ich.

– Ach tak?

Ten chłopczyk nie wiedział nic, a Salwiusz nawet nie zadał sobie trudu zapoznania go z realiami. Czyżby z wyrachowania?

– Czy słyszałeś o rabbim, który przybył dzisiaj do miasta? – pytał dalej Tubero.

– Jak już powiedziałem, każdej godziny przybywają tu setki pielgrzymów.

– A czy to normalne, że ktoś wjeżdża do Jerozolimy na osle i odbiera hołdy od motłochu? W każdym razie byliśmy wraz ze szlachetnym senatorem świadkami takiej dziwacznej procesji. Ludzie wiwatowali, jak gdyby ten rabbi był cezarem. Ślali przed nim swoje płaszcze, a inni rzucali na drogę gałęzie! – oznajmił trybun.

– Wołali: „Hosanna!” i nazywali go królem Izraela – uzupełnił Salwiusz, który nie chciał całkowiec oddawać pola młodszemu towarzyszowi.

– Kró-lem Iz-ra-e-la! – powtórzył Tubero, akcentując każdą sylabę.

Mellus rozłożył ręce.

– Cóż, zawsze znajdują się szaleńcy, ale większość z nich jest zupełnie niegroźna – odparł.

– Niegroźna? – skrzywił się trybun. – Uważasz, że to niegroźne, że żydowski motłoch oddaje komuś cześć jako królowi? Na koniec ten człowiek ogłosi się jeszcze... – Spojrzał pytająco na Salwiusza.

– Mesjaszem – pomógł tamten.

– ...właśnie, mesjaszem – podchwycił młody przybysz. – Na niego ci ludzie przecież czekają, prawda? Na swojego wyzwoliciela, który wypędzi okupanta z kraju.

– Nawet ich uczeni w piśmie nie są zgodni co do tego, kim właściwie jest ten mesjasz, trybunie – bronił się kohortus. – A gdyby ktoś się za niego miał podawać, nie sądzę, żeby wjeżdżał do Jerozolimy na osle.

– Kiedy cię zapytałem, czy wydarzyło się coś szczególnego, nic o tym rabbim nie wiedziałeś. Czyżby twoi żydowscy informatorzy przemilczeli przed tobą fakt jego przybycia? – indagował trybun.

Mellus z trudem zachowywał spokój. Nie było rady, ten zarozumiały typ miał więcej atutów.

– Gdyby ta sprawa była naprawdę ważna, z pewnością by mnie poinformowano – zapewnił komendant.

Tuberona te tłumaczenia nie przekonywały.

– Pochodzi z Nazaretu, to wieś w Galilei. Do niedawna żył tam jako cie-

śla, a potem został wędrownym nauczycielem. Podobno dokonuje prawdziwych cudów, na przykład wskrzesza umarłych. Jak widzisz, Mellusie, zasięgnęliśmy języka. A ty? Czy i ty wykonałeś swoje obowiązki? Czy kiedykolwiek słyszałeś imię Jezua syn Josefa?

Mellus zastanawiał się przez chwilę, a przynajmniej starał się sprawiać takie wrażenie. Co chwila mówiono przecież o wędrownych kaznodziejach, a wszyscy oni podobno dokonywali cudów. I dopóki nie nawoływali do buntu, nie było powodu, by się z nimi rozprawiać.

– To możliwe, ale... – zaczął.

– Po raz pierwszy usłyszałem o tym człowieku dwa lata temu – przebrał mu niecierpliwie Salwiusz. Zapewne był głodny i chciał jak najszybciej zakończyć rozmowę. – Wtedy nauczał nad Jeziorem Galilejskim, zgromadziwszy wokół siebie garstkę uczniów. Teraz, kiedy grono jego zwolenników stało się liczniejsze, postanowił wybrać się z pielgrzymką do Jerozolimy. Będziesz go dobrze pilnował, Mellusie – powiedział w naciskiem. – Żydowskich cudotwórców nie wolno lekceważyć. Nigdy nie wiadomo, czy w swoich mowach nie podburzają ludu. Oceny tego, czy jakiś rabbi jest niegroźny, czy nie, nie możesz pozostawiać swojej intuicji.

– Tak jest, senatorze.

– Nie! – wtrącił się Tubero. – Sam zajmę się pilnowaniem tego nazarejczyka!

– Proszę bardzo, wedle twojego życzenia – powiedział łagodnie Salwiusz.

– Nasz kohortus ma chyba za dużo spraw na głowie. Odciążę go trochę.

Mellus nie wiedział, czy wołałby wyśmiać tego smarkacza, czy sprać go na kwaśne jabłko. Później ten głupiec być może będzie się jeszcze chwalił, że dzięki swojej przezorności ocalił spokój podczas święta Paschy, bo postrzymał niegroźnego kaznodzieję.

– Kiedy będę potrzebował ludzi, oddasz mi ich do dyspozycji, kometandancie – oznajmił tamten tonem nieznośnym sprzeciwu.

– Ilu tylko będziesz potrzebował, trybunie.

Wyczerpany Salwiusz zaklaskał w dłonie.

– W takim razie chyba wszystko jasne. Co z kąpielą i jedzeniem?

Po godzinie trzech mężczyźni leżeli przy stole. Mellus chętnie zostawiłby ich samych, ale młody trybun nalegał na jego obecność przy wieczerzy i zadawał mu jedno pytanie za drugim: o liczebność oddziałów, o godziny służby, o rytm zmiany wartości i o siłę oddziałów pomocniczych. Kometandant odpowiadał mu z kamienną twarzą; nie mógł już znieść tego chłopaka. Kiedy Tubero poskarżył się na wino, które jego zdaniem miało smak octu, kohortus odparł drwiąco:

– Cóż, na prowincji nie żyje się w takich luksusach, jak w Rzymie.

– Masz całkowitą rację! – zawołał Salwiusz. Najwyraźniej on także miał dość aroganckich wywodów młodego trybuna. – W Cezarei jest przynajmniej porządnny cyrk i teatr.

– W garnizonie mamy mima, który sam potrafi świetnie zabawiać in-

nych. Jeżeli chcesz się rozerwać po długiej podróży, senatorze, każę go wezwać – zaproponował Mellus.

Salwiusz skinął głową.

– Dlaczego nie? Niech nam coś pokaże, kiedy będziemy jeść. – Liczył zapewne, że w ten sposób wreszcie uciszy Tuberona.

– Mima? – zapytał tamten z nagłym ożywieniem.

– Spodoba ci się, jest naprawdę zdolny – zapewniał kohortus.

– Mam nadzieję, że bardziej zdolny niż ten grubianin, który masował mnie w łaźni!

Komendant ruchem dłoni przywołał jednego z niewolników.

– Idź i przyprowadź Stefatona. Ale szybko! – zarządził.

Po chwili do komnaty wszedł młodzieniec. Teraz nosił starannie przycięte wąsy i brodę, ale Salwiusz i tak, zaledwie spojrzawszy w jego stronę, zamarł w połowie kęsa.

– Patrzcie no! – zawołał z pełnymi ustami, wskazując na Stefatona trzymanym w dłoni kurzym udkiem. – Czy to nie ten Grek, który na scenie przez publiczność wyszydził prefekta i boskiego Tyberiusza? Na Jupitera, to on! To było w Tyberiadzie, a Antypas ze wstydu chciał się schować w mysiej dziurze!

Na wspomnienie tamtego wydarzenia senator wybuchnął takim śmiechem, że aż się zakrztusił i zaczął gwałtownie kaszleć. Mellus pomyślał, że posłanie po Stefatona nie było jednak dobrym pomysłem.

– On... cóż, mimo wszystko jest znakomitym aktorem. Powinniście zobaczyć, jak sam jeden odgrywa na zmianę wszystkie role i rozśmiesza cały garnizon. Szkoda, że nie widzieliście go w roli *Poganiacza wielbłądów z Jerycha* – opowiadał.

– Skazaliśmy go na dwa lata służby wojskowej! – oświadczył wciąż jeszcze rozbawiony Salwiusz.

– Hm, to dość łagodna kara za obrazę majestatu, jak sądzę – stwierdził kwaśno Tubero.

– Cóż, jak ci to powiedzieć, trybunie? Były ważne powody, żeby okazać mu tę łaskę – odparł Salwiusz.

– Stefatonie, dlaczego nie pokażesz nam *Wróżącego z wnętrzości*? – powiedział Mellus do przybyłego i odwrócił się do gości. – To bardzo zabawna sztuka!

– Dwa lata! – powtórzył senator, zwracając się teraz do Stefatona. – A więc jeszcze nie odbyłeś całej kary, Greku?

– Mój pobyt tutaj kończy się za trzy tygodnie – wyjaśnił cicho młody człowiek.

– Naprawdę? I co, czy służba pod skrzydłami orła nauczyła cię rozumu? – Salwiusz zachichotał i podał niewolnikowi puchar, aby ten go napenił.

Mellus nie poddawał się.

– *Wróżący z wnętrzości* to komedia Terencjusza. Znacie ją?

– Twój mim, komendancie, wcale nie sprawia wrażenia kogoś, kto odbywa karę. Cóż takiego pożytecznego uczynił poza rozbawianiem twoich żołnierzy wygłupami? – zapytał surowo trybun.

– Służy centurionowi Kasjuszowi Longinowi, jednemu z moich najlepszych oficerów – odparł kohortus. – Stefatonie, możesz odejść. Szlachetni goście nie mają dziś ochoty na oglądanie występu – dodał.

Świadek

Młody mężczyzna uklonił się i zniknął. Tubero spoglądał za nim, kręcąc głową.

– Oto ktoś, kto publicznie obraził naszego cesarza. Zamiast zostać przykładnie ukarany, dostępuje zaszczytu służenia Rzymowi. Zastanawiam się, czy spodobałoby się to prefektowi.

– Dlaczego nie spróbujesz znakomitego kurzego udka, trybunie? – westchnął Salwusz. – A jeśli chodzi o tego mima, to nie martw się. Będziesz miał jeszcze wiele okazji, żeby się nim zająć.

Tubero upił łyk ze swojego kielicha.

– Możesz być tego pewien, senatorze – oświadczył.

15

Wieczorem zatrzymali się na nocleg w wiosce o nazwie Betania, oddalonej o nie więcej niż piętnaście stadiów od Antonii i jerozolimskiej świątyni. Żył tam kilkoro przyjaciół i dobroczyńców Jezusa, którzy z radością przyjęli w gościnę jego i jego towarzyszy. Jeden z gospodarzy miał na imię Łazarz. Wraz z dwoma siostrami mieszkał w domu położonym przy drodze do Jerozolimy. Betania było jedną z wielu miejscowości, w których Sara stała się świadkiem niezwykłych wydarzeń. Kiedy jednak w ów przepełniony smutkiem wieczór siedziała przy ogniu wraz z czterema innymi uczennicami mistrza – sam Jezus z gospodarzem i uczniami modlili się w odosobnieniu – dni tamtych cudów wydawały jej się historią zbyt piękną, aby mogła być ona prawdziwa.

Powodem melancholii kobiet były ponure przepowiednie, które nauczyciel powtarzał ostatnimi czasy raz po raz; oznajmił, że w Jerozolimie zostanie wydany swoim przeciwnikom, uwięziony i stracony. Co prawda, mówił to tylko do swoich dwunastu najbliższych uczniów, ale Marii udało się wydobyć od przerażonego Szymona Piotra więcej informacji.

Marta, starsza z sióstr Łazarza, wypowiedziała na głos myśl, która nurtowała w tej chwili wszystkie zebrane:

– Skoro uważa, że w Jerozolimie grozi mu niebezpieczeństwo, to po co w ogóle tam idzie?

Milczenie, jakie otrzymała w odpowiedzi, wyrażało bezradność kobiet. Po dłuższej chwili odezwała się Zuzanna, młoda wdowa, która przyłączyła się do nich zaledwie kilka tygodni temu.

– A gdzie indziej pobożny człowiek może obchodzić Paschę? – próbowała sobie odpowiedzieć na dręczące pytanie.

– Może Piotr znów źle go zrozumiał – powiedziała nieśmiało Marta. Było to wprawdzie logiczne wyjaśnienie, ale tak naprawdę nikomu nie trafiało do przekonania, zwłaszcza Marii.

– Piotr często coś mówi, zanim się dobrze zastanowi, to prawda, ale nie jest głupcem. – Zmęczona kobieta potarła sobie skronie. – Poza tym Jakub i Jan potwierdzili, że to prawda. Mistrz jest najwyraźniej przekonany, że w Jerozolimie grozi mu niebezpieczeństwo. Podobno kiedy Piotr próbował go przekonać, że nie ma racji, Jezus kazał mu się wynosić.

Wszystkie towarzyszki spojrzały na nią.

– Mario! – zawołała siostra Marty; i ona miała na imię Maria. – Znasz go lepiej niż my wszystkie. Mistrz cię kocha i ceni tak jak swoich najbliższych uczniów. Dlaczego sama go o to nie zapytałaś?

– Masz rację – odpowiedziała tamta. – Milczałam chyba ze strachu. Nie zniosłabym, gdyby mówił mi o swojej śmierci. – Maria zacisnęła usta. – Ach, gdyby tak była z nami jego matka, na pewno potrafiłaby nas pocieszyć.

– Ale jej tu nie ma – stwierdziła przemądrzale młodsza Maria. – No do-

brze, a dlaczego ja sama nie mogłabym go o to zapytać?

– To byłaby beczelność – zganiła ją siostra.

– Beczelność? Dlaczego tak myślisz?

– Nie sądzisz, że powiedziałaby nam to, gdyby była taka potrzeba? – zapytała Marta.

– Marto, nasz brat umarł, a mistrz go wskrzesił – przypomniała młodsza Maria. – On jest kimś więcej niż prorokiem, wiemy to nie od dziś. Jeżeli uważa, że grozi mu niebezpieczeństwo, to mamy prawo o tym wiedzieć. Jesteśmy mu coś winne, przede wszystkim zaufanie. Nie pamiętasz, jak mnie pochwalił, kiedy zadawałam mu najróżniejsze pytania?

– Tak, kiedy ja sama mu usługiwałam.

– Nadal masz mi to za złe? Jeśli tak, to nic nie rozumiałas!

– Przestańcie się kłócić! – zawołała z przyganą starsza Maria.

Zawstydzone siostry spuściły głowy; liczyły się z jej zdaniem.

– Może te słowa o śmierci były tylko jedną z jego przypowieści – zastanawiała się Zuzanna. – Pomyślcie, wędruje po całym Izraelu, odwiedza nawet Sydon i Samarię, i mówi ludziom o królestwie Bożym. Czy miałoby jakiś sens, gdyby miał ślepo iść na zatracenie? Powiedzcie mi, co by to dało? Wszystko byłoby stracone, wszystko, co uczynił, poszłoby na marne. On wie o tym równie dobrze jak my, przecież nie jest głupcem!

– Nie tylko w dawnych czasach zabijano proroków – szepnęła Marta i nagle zadrżała. – Nie pamiętacie już historii Chrzciciela?

Znów zapadła ponura cisza. Przed rokiem tetrarcha Herod Antypas kazał stracić Jana, którego wcześniej przez długi czas trzymał w więzieniu. Jezus opłakiwał Jana, kiedy się o tym dowiedział. Czy jemu samemu mógł grozić podobny los?

Zuzanna nie mogła znieść milczenia.

– Ale czy mistrz nie mówił też o tym, że zmartwychwstanie? – przypomniała.

Na ustach Marii z Magdali pojawił się smutny, pobłażliwy uśmiech.

– Kiedyś wszyscy zmartwychwstaniemy, Zuzanno – powiedziała. – Sądceusze temu zaprzeczają, ale mistrz stanowczo dowiódł im, że się mylą. Słyszałyście to na własne uszy. Oczywiście i on zmartwychwstanie. Ujrzy chwałę Bożą jeszcze przed nami, które tu siedzimy, i przed naszymi przodkami.

– Dlaczego w ogóle miałby umrzeć, skoro jest Mesjaszem? – zapytała znów młodsza Maria z niecierpliwą przekorą.

Na to pytanie jej towarzyszka z Magdali nie potrafiła odpowiedzieć.

– Saro – zwróciła się zamiast tego do jedynej kobiety, która dotąd zachowywała milczenie. – Znasz go od dwóch lat i widziałaś jego cuda. I ty nie wątpisz w to, że posłał go Pan. Jak myślisz, dlaczego zasiewa w nas taki niepokój?

Zapytana spojrzała na nią tak, jakby przebudziła się ze złego snu. Czulią się całkowicie przytłoczona ponurymi myślami, które tego wieczoru przelatywały jej przez głowę.

– Nie wiem tego tak samo jak wy – odezwała się z wahaniem. – Muszę wam jednak wyznać, że dziś w ogóle go nie poznawałam.

Zwróciły się ku niej cztery pytające spojrzenia. Sara pożałowała, że nie trzymała języka za zębami, bo teraz towarzyszki będą żądały od niej wyjaśnień.

– Do dziś nigdy nie robił wokół siebie szumu, przeciwnie, zwykle nakażywał ludziom, których uzdrowił, żeby nic o tym nie mówili. Jego pokora imponowała mi tak samo, jak jego słowa i czyny. Dziś jednak, kiedy zbliżyliśmy się do miasta... same zresztą przy tym byliście... wysłał dwóch uczniów, żeby przyprowadzili osła, na którym później wjechał do Jerozolimy.

– Pośród wiwatów tłumu – wtrąciła młodsza Maria, jak gdyby jej słowa wszystko wyjaśniały.

– Tak, pośród wiwatów – ciągnęła Sara. – Jak gdyby kiedykolwiek o to dbał. Czy on sam nie powiedział, że ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi? Czy nie mówił dotąd zawsze, że najważniejsze jest królestwo Boże? Dziś jednak wydawało mi się, że delektuje się składanymi mu hołdami.

– A nawet jeśli, to co? – zaoponowała siostra Marty. – Czy nie zasługuje na hołdy? Czy to coś złego?

– Nie – odpowiedziała spokojnie Sara, nie reagując na jej zaczepny ton. – Ale mimo wszystko to było dla mnie dość dziwne. Ze swoimi przeciwnikami spierał się dotąd tylko na słowa i nikt nie mógł się z nim mierzyć. Dlaczego prowokuje ich teraz, zachowując się jak władca? Przecież na pewno wiedział, że triumfalny wjazd do Jerozolimy nie spodoba się przełożonym świątyni. Nie mogę odpędzić myśli, że wręcz szuka niebezpieczeństwa.

Jej słowa wywołały ożywioną dyskusję. Maria z Magdali szepnęła do Sary:

– Ta myśl dręczy nie tylko ciebie!

Miała całkowitą rację. Im bliżej byli Jerozolimy, tym większe napięcie odczuwała Sara. W mieście wciąż jeszcze musiał przebywać Stefan. Wyobrażenie, że może go spotkać, było dla Sary wspaniałe i okrutne zarazem. Czy jej ukochany zrozumie powody, dla których poszła za Jezusem? Czy zdoła pojąć, że nie będą już mogli żyć tak, jak kiedyś wspólnie planowali?

Dzisiaj jednak jeszcze go nie spotkała, co zresztą przy takiej liczbie ludzi wcale nie mogło dziwić. Mistrz wybrał się, żeby obejrzeć świątynię. Sądząc po poważnej czy wręcz ponurej minie, nie spodobało mu się to, co tam zobaczył. Z jego ust ulotnił się uśmiech, którym Jezus obdarzał wszystkich jeszcze godzinę wcześniej, kiedy siedział na grzbiecie osiołka.

– Mario, dlaczego jest mi tak ciężko na sercu? – szepnęła Sara, nie mogąc już dłużej ukrywać smutku.

Tamta delikatnie ujęła jej dłoń.

– Wielu rzeczy nie rozumiemy, Sary, jakże zresztą moglibyśmy rozumieć? Jesteśmy tylko zwykłymi ludźmi. Ale zaklinam cię na Boga naszych ojców, nigdy nie trać zaufania do mistrza!

Sara mężnie skinęła głową.

– Do dziś przychodziło mi to bez trudu, ale obiecuję ci, że i dalej będę się starać.

W tym samym czasie Stefaton i Sadok leżeli już w swojej izdebce. Wytworzyło się między nimi coś w rodzaju niezobowiązującej przyjaźni. Stefaton szybko zrozumiał, że lepiej będzie podporządkować się młodszemu Sadokowi; przysłał mu to bez większego trudu, bo myśli, że jego służba w Antonii nie będzie trwała wiecznie, sprawiała, że wszystko – nawet dziwactwa towarzysza – stawało się znośniejsze.

Sadok wyrósł na silnego, młodego mężczyznę i przerastał teraz Stefatona o głowę – był to dodatkowy powód, dla którego nie należało z nim zadzierać. Nie dało się również zaprzeczyć, że Sadok stał się też dla byłego mima pożytecznym przewodnikiem. To właśnie dzięki niemu już niemal nie robiło na Stefatonie wrażenia w okrutnym świecie, który go otaczał – a zwłaszcza w tym nieopisanym okrucieństwie egzekucji przeprowadzanych co najmniej raz w tygodniu. Ponieważ Stefaton był niemal nieprzerwanie skazany na towarzystwo Sadoka, na wiele rzeczy zaczął się w końcu zapatrywać podobnie do kolegi. Poza tym cieszył się w garnizonie dużą popularnością ze względu na swoje zdolności aktorskie, a to dodatkowo ułatwiało mu życie. Kohortus Mellus regularnie zezwalał na przedstawienia. Aby móc występować na scenie w pojedynkę, młody człowiek wymyślił wiele nowych sztuk, które znajdowały upodobanie u legionistów, lubujących się w wulgarnych dowcipach i głupawych farsach. Wystrzegął się jednak obrażania podczas występów jakichkolwiek prawdziwych osób – zarówno Greków, jak i Żydów oraz Rzymian. Z konieczności musiał zapomnieć o swoim postanowieniu, że nigdy już nie wyjdzie na scenę; bliski był jednak dzień, w którym wszystko miało się zmienić.

– Po co wezwał cię komendant? – zapytał Sadok. Obaj leżeli na swoich posłaniach i wpatrywali się w ciemność izby. Wiązkę słomy już dawno pozwolono wymieniać Stefatonowi na pryczę. Młodzieniec spodziewał się, że towarzysz zada mu w końcu to pytanie, bo czego Sadok nie znosił najbardziej, to tego, że coś przed nim ukrywano. Stefaton nie chciał go trzymać w niewiedzy, zwłaszcza że pragnął jak najszybciej zasnąć.

– Och, dziś przecież przyjechali ci dwaj Rzymianie i kohortus chciał, żebym przed nimi wystąpił.

– Czego ty nie powiesz! – odparł Sadok. – Mellus pewnie chce zrobić na nich jak najlepsze wrażenie, żeby nie mówili o nim źle przed Piliatem.

– Jeżeli taki był plan, to całkiem spalił na panewce. Trybun nie miał najmniejszej ochoty na oglądanie sztuk teatralnych. Kiedy usłyszał, dlaczego jestem w Antonii, zareagował tak, jak gdyby chciał skrócić mnie o głowę.

– Mellus mu to zdradził? – zdziwił się Sadok.

– Nie, senator! Wtedy, dwa lata temu, był dla mnie kimś w rodzaju sędziego.

– Zawdzięczasz swój pobyt tutaj temu tłusćochowi?

– Według niego to było wręcz ulaskawienie – odparł Stefaton.

– Nie podoba mi się, i to bardzo, że ten trybun teraz wie o tobie – powiedział jego sąsiad z zatroskaniem głosem, pocierając w zamyśleniu podbródek. – W tym zniewieściałym chłopczyku jest coś podejrzanego. Gdybym tylko wiedział co.

– Nawet jeśli jest, co on mi może zrobić?

– Więcej niż myślisz. To bratanek Sejana, ty ośle!

– No i co z tego? Mój pobyt tutaj wkrótce się skończy. Wrócę do Tybe-

riady, nauczę się zawodu architekta i ożenię z moją dziewczyną.

– Następny błąd: Jak możesz na serio myśleć, że ojciec twojej Żydóweczki da ci ją za żonę? – ciągnął Sadok. – Nie baby będą o tym decydować. Żyd prędzej zrzuci swoją córkę ze skały, niż odda ją Grekowi czy Rzymianinowi. Prawdopodobnie już wyszła za kogoś z kuzynów. Dla nich jest bardzo ważne, żeby posag grzecznie został w rodzinie. Mówią o tym nawet ich święte księgi.

– Zawsze zdarzają się wyjątki, a ty jesteś tego chodzącym przykładem, Sadoku – stwierdził Stefaton. – A teraz daj mi spać. Jutro, kiedy przyjedzie namiestnik, nieźle dadzą nam do wiwatu.

Choć młody człowiek nie zamierzał się do tego przyznawać, wątpliwości, o których mówił tamten, już wiele razy chodziły mu po głowie. Mniej więcej przed rokiem otrzymał list od Agriope. Z miłością pisała w nim ona o domu i o tym, że ojciec – jak z przekonaniem twierdziła – na pewno mu wszystko wybaczy. Ani słowem nie wspomniała jednak o Sarze, choć musiała wiedzieć, jak bardzo za nią tęsknił.

Czy Joram dotrzymał słowa i przekazał dziewczynie glinianą figurkę? Stefatoną dręczyła również myśl o niepewnym losie dawnych towarzyszy. Czy odbyli już swoją karę, czy nadal gniją w lochu? A może Antypas oddał ich w ręce kata?

To była straszna wizja, ale niestety możliwa, bo przecież tetrarcha kazał również zabić Chrzciciela uwięzionego w dalekim Macheroncie. Twierdzono, że nalegała na to jego żona Herodiada; niektórzy utrzymywali nawet, że znają powód nagłej ustepliwości władcy: oto podczas uczty uwodzicielska Salome miała oszołomić ojczyma zmysłowym tańcem do tego stopnia, że wobec wszystkich gości pozwolił jej wypowiedzieć dowolne życzenie; naradziwszy się z matką, dziewczyna zażądała, aby w srebrnej misie podano jej głowę Jana Chrzciciela.

Żołnierzy w Antonii ta historia wręcz rozbawiła; Stefaton żałował go jednak, tego dziwnego i niepokojącego człowieka, który nigdy nie dbał o swój los. Jan, przekonany o rychłym nadejściu Mesjasza, żył zgodnie z tym, w co wierzył; aby ratować dusze swoich rodaków, mówił im wprost, co o nich myśli.

– Pozwól, że dam ci jeszcze jedną dobrą radę – powiedział Sadok, ziewając. – Uważaj, żebyś nie znalazł się z tym trybunem sam na sam. Nie podoba mi się to, że zna twoją historię.

– Tak, już to mówiłeś. A teraz dobrej nocy, męczycydaszu – odparł Stefaton.

– Dobrej nocy, mój pechowcu!

16

O godzinie ósmej do Antonii przybył namiestnik Poncjusz Piłat z dwoma kohortami. Na czele pochodu powiewał sztandar z cesarskim orłem. W jednej chwili w twierdzy zaczął się ruch jak w mrowisku. Stefaton i Sadok wraz ze stajennymi zajęli się końmi przybyłych oficerów. Dzięki temu tym razem były mim miał okazję zobaczyć Piłata naprawdę z bliska. Namiestnik nie był zbyt wysoki. Spod zdobionego pióropuszem hełmu wizerowała blada, koścista twarz. Oczy rzuciły surowe spojrzenie; nos był lekko garbaty, przez co przybyły przypominał Stefatonowi drapieżnego ptaka.

Choć Piłat liczył sobie co najmniej pięćdziesiąt lat, z zadziwiającą lekkością zeskoczył z konia, szorstko odpychając chłopca, który pospieszył mu z pomocą. Potem w towarzystwie dwóch członków swojego sztabu zniknął w korytarzach twierdzy. Gajusza Mellusa, który wyszedł, aby go powitać, powstrzymał niecierpliwym gestem dłoni.

– Narada! Zwołaj swoich oficerów, komendancie! – zawołał ostro.

Sadok gwizdnął przez zęby.

– Coś go rozgniewało. Nie mówię, że często widywałem u niego uśmiech, ale dziś jest chyba naprawdę zły jak osa – powiedział. – Szkoda, że nie możemy podsłuchać narady. – Potem wskazał na grupę legionistów, popychających przez sobą trzech zaniedbanych, związanych mężczyzn. – Hej, zobacz, przyprowadzili więźniów! Wygląda na to, że będziemy mieli robotę!

Stefatonowi był obojętny humor namiestnika i więźniów. Mężczyzna myślał już tylko o końcu swojej służby i o tym, jak potem ułoży się jego życie.

– Co za partactwo! – Piłat zdjął hełm; miał zupełnie łysą głowę. Jeden z niewolników pomógł mu odpiąć napierśnik. – Nieprawdopodobne partactwo! – Jego rozgniewany głos odbijał się echem po sali.

Wyraz twarzy jakichś dwudziestu zebranych przed nim mężczyzn zdradzał najróżniejsze uczucia – od obojętności poprzez dezorientację aż po pełen uległości lęk. Mellus zaliczał się do tych, którzy nie mieli najmniejszego pojęcia, co tak oburza namiestnika. Zaraz miał się jednak tego dowiedzieć.

– Komendancie Mellusie! – zawołał Piłat.

Wywołany stanął na baczność.

– Prokuratorze?

– Czy to prawda, że za miasto Lydda odpowiedzialny jest twój garnizon?

– Tak, prokuratorze.

– W takim razie bardzo mnie dziwi, że w tamtej okolicy grasuje banda zupełnie nie niepokojonych rabusiów!

– Prokuratorze, w tej chwili potrzebuję tutaj każdego żołnierza. Kiedy tylko skończy się święto Paschy, zajmę się tymi bandytami – zapewnił Mellus.

– To nie będzie konieczne, bo już sam załatwiłem tę sprawę – odparł opryskliwie Piłat. – Taki jest też zresztą powód mojego spóźnienia, a jak wiesz, nie cierpię się spóźniać!

Kohortus pomyślał, że nie mógł przeżyć większego upokorzenia na oczach zgromadzonej załogi, a głos Piłata zdradzał, iż on też był tego zdania.

– Można było myśleć, Mellusie, że nauczyłeś się czegoś z dawnych błędów, ale, jak widzę, jest wręcz przeciwnie – warknął prokurator.

Nie pytając o pozwolenie, głos zabrał obecny w sali trybun Tubero.

– Mnie i senatora Salwiusza komendant zapewniał, że sytuacja w mieście jest spokojna, co bynajmniej nie odpowiadało naszemu wrażeniu – oznajmił.

Ostre spojrzenie namiestnika spoczęło na przybyszu, który ośmielił się odezwać, choć nikt go o to nie prosił. Obeszło się jednak bez skarcenia zuchwalca; ponieważ ten arogancki młodzieniec był bratankiem prefekta, namiestnik Judei wolał nie ryzykować.

– Słucham, trybunie – odezwał się zamiast tego.

– Widzieliśmy pewnego rabiego z Galilei, wjechał do miasta i odbierał hołdy od swoich zwolenników, którzy tytułowali go królem. Czy i ty nie uważasz, że to pachnie buntem?

Piłat oczekiwał zapewne raczej raportu o zamieszkach na ulicach Dolnego Miasta.

– Cóż, stare marzenie Żydów o królu. Czy ci ludzie byli uzbrojeni? – zapytał.

– Nie, ale czy to coś znaczy?

– Hm. – Namiestnik wzruszył ramionami.

– To jeszcze nie wszystko – ciągnął niezrażony Tubero. – Dziś rano ten Galilejczyk wywołał rozruchy w świątyni!

Ta informacja bardziej zainteresowała Piłata.

– Co takiego się stało?

– Świadkowie zgodnie donoszą, że rozwścieczony poprzewracał stoły wymieniających pieniądze i stragany sprzedawców gołębi – wyjaśnił Tubero.

– Zrobił coś takiego? Ale dlaczego?

– Bo uważa, że świątynia jest domem ich boga, a nie jaskinią zbójców. Wielu ludzi go przy tym oklaskiwało.

Stojący obok mieli wrażenie, że kąciki ust namiestnika wykrzywiły się w uśmiechu.

– Pod tym względem rabbi bardzo się myli. Świątynia Żydów jest jaskinią zbójców!

Sztabowi oficerowie Piłata wybuchnęli śmiechem.

– Dla mnie nie jest to zbyt zabawne – powiedział kwaśno trybun. – Kilku kapłanów skarżyło się na niego. Boją się o porządek w tej przeklętej świątyni.

Prokurator spojrział pytająco na Mellusa. To był znak, że choć gniewał się na niego, mimo wszystko nadal przywiązywał wagę do jego opinii.

– Od czego mają strażę świątynne, od czego Wysoką Radę? – zapytał tamten, wzruszając ramionami. – Moim zdaniem to niegroźne zajście.

Tubero wydał z siebie pomruk niezadowolenia.

– Jego zdaniem zagrożenia nie stanowili również bandyci z Lyddy – oświadczył. – A tymczasem kapłani ze świątyni twierdzą, że ten nazarejczyk może zagrażać nawet Rzymowi!

Piłat machnął z lekceważeniem ręką.

– Jest przede wszystkim zagrożeniem dla nich samych. Ci kapłani uwielbiają kłótnie, tak jak psy odpadki z masarni. Nie ufają nikomu, kto im się nie podlizuje. Każdy wie, że bez wahania interweniuję, gdy tylko jest tak potrzeba. Ten spór to jednak wyłącznie sprawa Żydów, nie będziemy się do niej mieszać, trybunie.

– Mam na ten temat inne zdanie, prokuratorze – nie dawał za wygraną trybun. – Jeśli straż świątynna boi się poskromić fanatycznego rabiego, bo stoi za nim duża grupa zwolenników, to w powietrzu wisi coś więcej niż tylko niewinna kłótnia. To święto Paschy może się okazać bardzo niepokojne!

Setnik Kasjusz Longin miał już dość słuchania tego próżnego gogusia. W przeciwieństwie do Mellusa oraz niezbyt delikatnego zwykle namiestnika nie bał się Sejana, który przebywał w dalekim Rzymie, ani też nie dbał o swoje stanowisko. Był stary, na wpół ślepy i wiedział, że tak czy owak nie posłuży już zbyt długo w armii.

– Ile razy byłeś już w Jerozolimie, trybunie? – zawołał głośno.

– Czy ty coś właśnie do mnie powiedziałaś, centurionie? – zapytał Tubero po chwili zupełnej ciszy.

– Sam słyszałeś, trybunie – odparł Longin. – Zapewne jesteś tutaj po raz pierwszy, prawda? Jeszcze nigdy nie byłeś w Palestynie. Ile masz lat? Dziewiętnaście? Dwadzieścia? Czy ty w ogóle wiesz, co świętują Żydzi, kiedy obchodzą Paschę? Czy kiedykolwiek interesowałeś się tym narodem? Czy wiesz, jakie pragnienia nim kierują?

Rozległy się pełne aprobaty szepty tych spośród obecnych, którzy znajdowali się w pobliżu setnika. Uśmiech przebiegł nawet po twarzy Salwiusza, który wolał stać z dala od tych nieokrzesanych żołdaków. Trybun szeroko otworzył usta i najwyraźniej szukając wsparcia, odwrócił się w stronę namiestnika. Ten jednak tylko wpatrywał się w niego z uniesionymi brwiami, jak gdyby chciał usłyszeć odpowiedzi na wszystkie te pytania.

– Czy w tym kraju to normalne, że zwykły centurion zadaje trybunowi bezzcelne pytania? – odezwał się wreszcie Tubero.

– Starzy wojenni wyjadacze cenią sobie jasne słowa, wszędzie tak jest – odparł niewzruszony prokurator.

– A więc ten Galilejczyk nie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności za swoje wicherzycielskie czyny? – skonstatował trybun niczym sędzia mający przed sobą niepoprawnego delikwenta.

Cierpliwość Płata była na wyczerpaniu. Czy Sejan naprawdę nie miał już bardziej rozgarniętych ludzi? Jeżeli tak, to musiało z nim być naprawdę źle. Ten trybun nie wyglądał nawet na prawdziwego mężczyznę. Mimo to namiestnik nie mógł mu się zbyt narazić. Trudno przewidzieć, jak się sprawy potoczą. Prokurator głęboko wciągnął powietrze i zebrał się w

sobie. Potem podszedł do Tuberona i położył mu dłoń na ramieniu.

– Jak się nazywa ten rabbi z Nazaretu, przyjacielu? – zapytał łagodnie.

– Nazywają go Jezusem – odparł tamten.

– Chciałbym cię prosić, żebyś czujnie go obserwował. Nie może dojść do rozruchów.

– Już jest pod obserwacją, prokuratorze.

– Ach, cóż za zapobiegliwość! – pochwalił go Piłat.

– Kohortus uznał, że to przekracza jego możliwości – oznajmił młodzieńiec.

– Jak dobrze, że są jeszcze tacy odważni ludzie jak on! – syknął drwiąco Mellus.

– Masz wszelkie powody, żeby milczeć, komendancie! – wrzasnęła na niego namiestnik. – Dwóch moich ludzi odniosło rany w walce z tymi rozbojnikami, których ty już dawno powinienesz być unieszkodliwić!

Mellus spuścił głowę, powstrzymując się od uwagi, że takie bandy grasują także w okolicy Cezarei, gdzie sięją strach na starej drodze z północy na południe, napadając nie tylko na pielgrzymów, lecz także na rzymskich poborców podatkowych. Jakby można było oczekiwać, że hołotę – czy to bandytów, czy to zbuntowanych zelotów – da się kiedykolwiek wyplenić!

Piłat potarł nasadę nosa – teraz wyglądał na zmęczonego.

– Wytropienie ich zajęło nam cały dzień. Powybijaliśmy ich, z wyjątkiem tamtych trzech. Kto w tym chlewie odpowiada za egzekucje? – zapytał.

Longin wystąpił z szeregu.

– Wciąż jeszcze ja, prokuratorze – powiedział.

– Ha! – zawołał Tubero. – Ten mądry centurion, który tak świetnie zna się na Żydach, a najchętniej przybija ich do krzyża.

Piłat nie zareagował na te docinki.

– Chcę zobaczyć tych łajdaków na krzyżu jeszcze przed świętem, centurionie – oświadczył. – To poskromi Żydów. I bez jakichkolwiek drobnych aktów łaski! Wiesz, co mam na myśli.

– Zrozumiano, prokuratorze – odparł setnik.

– W tym niespokojnym czasie twoim ludziom może się przydać dodatkowa para silnych rąk – ciągnął namiestnik, odwracając się ku Mellusowi. – Kohortus nie powinien się brzydzić takich zadań. Zawsze trzeba dawać dobry przykład, prawda? A może masz na ten temat inne zdanie, komendancie?

– Nie, prokuratorze – zapewnił tamten.

– Degradujesz go? – dociekał Tubero z nieukrywaną satysfakcją.

– Daję mu okazję, żeby się wykazał. – Piłat był znany z wymierzania niecodziennych kar. Dla oskarżonych, którzy stawali przed nim jako sędzią, oznaczało to zwykle okrutne męki, zadawane w interesie Rzymu, jak mawiał prokurator. Podwładni, którzy według namiestnika zawiedli, musieli znosić publiczne szyderstwa i upokorzenia. Mellus nie był więc zbyt zaskoczony złośliwym pomysłem Piłata, zwłaszcza że ten jako jeden z nielicznych wiedział o jego przeszłości.

– Moją siedzibą będzie znów stary pałac królewski – poinformował zgromadzonych prokurator. – Moja żona jutro przybędzie do Jerozolimy ze swoją switą. Senatorze Salwiuszu, trybunie Tuberonie, oczywiście je-

steście moimi gośćmi.

– Z przyjemnością – ucieszył się Salwiusz. W pałacu Heroda Wielkiego czekały na niego większe wygody niż w ponurej twierdzy.

– Z serca dziękuję za wspaniałomyślne zaproszenie – odparł natomiast Tubero – ale jeżeli nie masz nic przeciwko temu, zostaną w Antonii, żeby móc sumiennie wypełniać moje obowiązki.

– Jak uważasz, trybunie. – Piłat z powagą skinął głową, ale ten, kto go znał, mógł dostrzec w jego oczach ulgę. Mellus, Longin i inni oficerowie będą musieli pogodzić się z tym, że bratanek Sejana jeszcze przez jakiś czas będzie im działał na nerwy.

Tego wieczoru w domu Łazarza zapanowało wielkie ożywienie. W Betanii nieoczekiwanie pojawiła się matka Jezusa, która chciała spędzić święto Paschy w Jerozolimie i przyłączyła się do grupy pielgrzymów z Nazaretu. Po raz pierwszy od wielu dni Sara zauważyła uśmiech na twarzy mistrza.

Wieczorem kobiety znów spędzały czas w swoim gronie, ze złością patrząc na matkę nauczyciela, jakby była ona pramatką Izraela. W pewnej chwili odezwała się Maria z Magdali:

– Jeszcze wczoraj mówiliśmy o tobie, Maryjo. Prosiłyśmy o to, żebyś znalazła się między nami, i zostałyśmy wysłuchane.

Sara uważała, że wpatrywanie się w matkę Jezusa jest czymś niestosownym, ale nic nie mogła poradzić na to, że sama nie mogła oderwać od niej oczu. Maryja była zupełnie zwyczajną kobietą, niewiele starszą od ich przyjaciółki z Magdali. Jej delikatną twarz o spokojnych niebieskich oczach otaczała chusta. Dziwne, ale choć Maryja robiła wszystko, żeby nie zwracać na siebie uwagi, efekt był zupełnie przeciwny. Być może fascynowała ludzi po prostu dlatego, że widzieli oni, iż była matką niezwykłego człowieka.

Pewnego razu, niedługo po wybraniu jej przez Jezusa na uczennicę, Sara była świadkiem niezwykłego zdarzenia. Wędrowali właśnie przez wioski Galilei i wówczas dziewczyna po raz pierwszy spotkała matkę mistrza. Nauczającego rabbię otaczał jak zwykle gęsty tłum, który uniemożliwiał jego matce i dwóm jego krewnym dostanie się do niego. Ktoś powiedział Jezusowi, że matka i krewni chcą się z nim widzieć, a on odparł: „Któż jest moją matką czy moim bratem? Ten, kto czyni wolę mojego ojca w niebie, jest moim bratem i siostrą, i matką!”. Oczywiście później spotkał się z krewnymi, ale Sara jeszcze bardziej utwierdziła się w przekonaniu, że jej decyzja o opuszczeniu rodziców i pójścia za nim była słuszna.

O ile wtedy wyglądało na to, że Maryja miała jeszcze wątpliwości dotyczące drogi syna, to teraz najwyraźniej zniknęły one bez śladu. Czysta, szczerza serdeczność, z jaką powitali się matka i syn, głęboko poruszyła Sarę. Tak, dziewczyna cieszyła się, że ta kobieta jest z nimi.

Siostra Łazarza, Maria, nie potrafiła dłużej powstrzymać się od pytań, które tak bardzo dręczyło wszystkie obecne.

– Zastanawiamy się, dlaczego twój syn ostatnio tak spochmurniał – po-

wiedziała z pasją, ignorując zmarszczone z niezadowoleniem czoło swojej siostry Marty.

– Tak, jego przepowiednie czasem nas niepokoją – potwierdziła Maria z Magdali.

Matka Jezusa spojrzała po kolei na kobiety.

– Cóż takiego powiedział? – Sarze wydało się, że w jej łagodnym głosie słyszy niepokojącą nutę.

Większość kobiet spuściła głowy. Która matka chciałaby usłyszeć, że jej syn przeczuwa swoją śmierć? Maria z Magdali przyjęła więc inną taktykę.

– Sama wiesz, że słów twojego syna nie wszędzie słucha się z radością – powiedziała. – Niektórzy faryzeusze i saduceusze bardzo chcieliby go uciszyć. Nie raz przepędzano nas z różnych miejsc i chociaż w Jerozolimie mistrz ma wielu zwolenników, to liczba jego wrogów jest tam znaczna. Dziś wzrosła jeszcze bardziej. Byliśmy z nim w świątyni; to, co tam zobaczył, nie spodobało mu się, bo miejsce przypominało bazar. Mistrz wpadł w gniew, zaczął obrzucać obelgami handlarzy i przewracać stoły wymieniających pieniądze. Nigdy nie widzieliśmy go w takim uniesieniu. Martwimy się, bo rozgniewał przełożonych świątyni, choć jego słowa są po tysiąckroć prawdziwe.

Matka Jezusa zamyśliła się, ale i ona najwyraźniej nie znalazła wytłumaczenia dla zachowania Jezusa, a w każdym razie nie zdradziła go rozmówcy.

Uwagę Sary zwrócił fakt, że Jezus zachowywał się osobiście już podczas porannej drogi do miasta. Przechodzili obok figowca, z którego rabbi chciał zerwać owoce, ale znalazł na nim tylko liście. Wtedy powiedział: „Niech już nikt nigdy nie je twojego owocu!”. Czego się spodziewał? Przecież o tej porze roku nie było fig – Jezus wiedział o tym równie dobrze, co inni.

– Saro, dlaczego nie opowiesz, co cię tak zdziwiło wczoraj? – powiedziała Zuzanna. Jej towarzyszka miała na pewno dobre intencje. I ona chciała usłyszeć coś pocieszającego, ale Sara wolałaby, żeby zachowała milczenie.

– No cóż, kiedy dotarliśmy do Jerozolimy, mistrz zapragnął wjechać do miasta na osiołku – zaczęła nieśmiało. – Wzdłuż ulic stali ludzie wiwatujący na jego cześć. To był pierwszy raz, kiedy zrobił taki spektakl ze swojego przybycia do miasta.

Dziewczyna już zaczęła żałować tego, co powiedziała, bo Maryja na dłuższą chwilę utkwiała w niej wzrok. Nagle jednak twarz matki Jezusa rozjaśnił uśmiech.

– „Powiedzcie córce syjońskiej: Oto twój król przychodzi do ciebie, łagodny, siedząc na osle” – spokojnym głosem zacytowała słowa Pisma. A potem, już ciszej, jak gdyby wyjawiała obecnym długo skrywaną tajemnicę, dodała: – Wierne siostry, nie martwcie się! On przyszedł, żeby wszystko uczynić nowe!

Wczesnym rankiem Jezus wraz z uczniami znów wyruszył z Betanii w stronę Jerozolimy. Sara nabrała otuchy. Wszystko, co mówił lub robił jej mistrz, musiało mieć głębszy sens, nawet jeśli nie zawsze można było to od razu dostrzec. Był przecież Mesjaszem! Kto z tych, którzy mu towarzyszyli, mógł jeszcze w to wątpić? Jego matka Maryja wiedziała o tym zapewne już przed jego narodzinami. Jezus był Mesjaszem, którego zapowiadali dawni prorocy. Jak zatem mogło go dotknąć jakieś nieszczęście? Sara widziała, jak uzdrawiał trędowatych i przywracał władzę w nogach sparaliżowanym, a wzrok niewidomym; była przy wskrzeszeniu Łazarza, choć ten już od czterech dni leżał w grobie. W jaki sposób można komuś takiemu zaszkodzić?

Maria z Magdali, która szła obok Sary, była w równie radosnym nastroju. Kobiety ze śmiechem wspominały wydarzenia ostatnich miesięcy, liczne skonsternowane twarze przełożonych synagog i uczonych w Piśmie, którzy zarzucali Jezusowi rażąco błędy, a potem przekonywali się, że ganiiony przez nich nauczyciel o wiele lepiej niż oni znał święte księgi.

Grupka uczniów przystanęła na skraju drogi i prowadziła – jak można było sądzić – ożywioną dyskusję. Jezus, jego matka i kilku innych wysforowało się do przodu.

- Co, Mateuszu, już cię bolą nogi? – zapytała Maria jednego z mężczyzn. Zagadnięty bezradnie drapał się po głowie.
- Co się stało? – dociekała kobieta z nerwową ciekawością.
- Uchło, aż od korzeni! – odparł uczeń zachrypniętym głosem.
- O czym ty mówisz?

Inny towarzysz Jezusa, Judasz Iskariota, wskazał na rosnący zaledwie kilka kroków od drogi figowiec.

- Nie pamiętacie? Mistrz go wczoraj przeklął! – przypomniał.

Zamiast zielonego drzewa Maria i Sara spostrzegły tylko spróchniały pień i zwiędłe liście.

Centurion Kasjusz Longin miał w zwyczaju osobiście przyglądać się wszystkim skazańcom. Tego ranka zatem wraz z obu swoimi pomocnikami Sadokiem i Stefanem odwiedził trzech schwytych przez Piłata bandytów, którzy w przeciwieństwie do swoich kompanów nie mieli szczęścia zginąć stosunkowo szybko od miecza Rzymian.

Dozorca więzienny Pizon – nazywany Aleatorem, ponieważ był mistrzem gry w kości – oświecał przybyłym drogę utrzymaną w dłoni pochodnią. Zaprowadził ich do ciasnego lochu, gdzie trzymano nieszczęśników przykutych do muru; ich ręce były boleśnie wyciągnięte do tyłu, a górne

części ciała zwisały do przodu niczym liście palmy daktylowej. Za każdym razem, gdy Stefaton wchodził do tej ciemnicy, powracały wspomnienia strasznych dni w więzieniu Antypasa. Ale młody człowiek z czasem nauczył się uciszać w sobie współczucie dla skazańców.

Longin zażądał pochodni i kolejno oświetlił nią twarze więźniów. Byli to młodzi mężczyźni, niespecjalnie mocno zbudowani – zapewne przez całe życie cierpieli niedostatek.

– Czy jest wśród was jakiś wódz? – zapytał setnik, wzdychając.

– A jeśli tak, to co? – zajączał ten, który, sądząc po wyglądzie, był najstarszym z całej trójki. – Dostanie wyjątkowo piękny krzyż?

Longin niewzruszonym wzrokiem wpatrywał się w jego brodatą, wychudzoną twarz.

– Ach tak, rozumiem. To ty jesteś hersztem tej żalostnej bandy. Jak się nazywałeś? – zapytał.

Zagadnięty milczał. Sadok wymierzył mu siarczysty policzek.

– Centurion cię o coś pyta! – krzyknął.

– Po co mam podawać imię? – chciał wiedzieć tamten.

Sadok pochylił się tak, że ich twarze prawie się stykały.

– Czasem namiestnik uznaje za stosowne umieścić na krzyżach tabliczki z imionami skazańców. Chyba musimy wiedzieć, co mamy na nich napisać, czyż nie?

– Skoro tak, to nazywam się... Bar Abbas! – odpowiedział więzień.

Longin cmoknął z dezaprobatą.

– Nie jesteśmy tak głupi, jak myślisz. Bar Abbas, „syn ojca”. To nie jest imię! Wie to nawet Rzymianin.

– Ale mnie się ono podoba – upierał się skazaniec.

– Jak chcesz, w takim razie będziesz się nazywał Bar Abbas. – Longin przeszedł do następnego delikwenta i złapał go za podbródek. – Teraz ty! Twoje imię!

W odpowiedzi usłyszał tylko niezrozumiałe rzęzenie.

– Nie słyszymy! – wrzasnął Sadok.

– Nazywa się Dyzma – oznajmił Bar Abbas.

– A ten drugi?

– Gestas.

– Bar Abbasie, Dyzmo i Gestasie, wasze matki mogą być z was naprawdę dumne. – Sadok wyraźnie czuł się w swojej roli jak ryba w wodzie.

– Czego nie można powiedzieć o twojej – warknął Bar Abbas. – Żyd jako sługus rzymskich katów! Powinni cię ukrzyżować razem z nami!

Nawet w skąpych świetle lochu Stefaton zauważył, że jego kolega poczerwieniał z gniewu. Czy się to Sadokowi podobało, czy nie, Żyd zawsze rozpoznawał swojego rodaka. Sługa setnika już podniósł rękę, żeby znów uderzyć więźnia, ale Longin powstrzymał go gwałtownym ruchem dłoni.

– Dość, Sadoku! – zawołał i zwrócił się do strażnika. – Ręce mają już prawie powyrywane ze stawów! – stwierdził z wyrzutem.

Pizon Aleator bezradnie rozłożył ręce.

– Przykułem ich tak na rozkaz trybuna – oświadczył.

– Ten Tubero doprowadzi mnie do szaleństwa! – jęknął Longin.

– Udam, że tego nie słyszałem, centurionie – zażartował strażnik.

– Założysz im kajdany w zwykły sposób, zrozumiałeś?

– A jeśli trybun będzie miał coś przeciwko temu?

– Rozkaz prokuratora: żadnych aktów łaski dla skazańców! Jeśli zawiśną na krzyżu z tak poskręcanyimi rękami, będzie się to właściwie równało *crurifragium* – wyjaśnił setnik.

– Racja, to brzmi logicznie – skinął głową Pizon.

– Słuchajcie uważnie! – Longin znów zwrócił się do więźniów. – Bandytów takich jak wy namiestnik zwykł karać z najwyższą surowością. Nie możecie liczyć na miłosierdzie. Jeśli jednak na drodze na miejsce egzekucji nie będziecie sprawiać kłopotów, nikomu ubliżać, nikogo obrażać ani przeklinać, jeśli dzielnie będziecie nieść *patibulum* i nie będziecie wić się jak węgorki, kiedy was będą przybijać do krzyża, słowem, jeśli przyjmiecie swoją karę jak mężczyźni, to obiecuję wam, że nie każemy wam cierpieć ani o chwilę dłużej niż to konieczne. Widziałem już wielu ludzi umierających na krzyżu i nie możecie mi niczym uprzykrzyć życia. Jest jednak sporo sposobów, dzięki którym moglibyście żyć na palu trochę dłużej, a wiercie mi, że tego nie chcecie. Ja też tego nie chcę, ale tak naprawdę to zależy wyłącznie od was!

– Co za kusząca propozycja! – zadrwił Bar Abbas.

– Teraz możesz zgrywać bohatera, synu ojca, ale kiedy przyjdzie co do czego, pójdź lepiej po rozum do głowy i przypomnij sobie, co ci przed chwilą powiedziałem. – Centurion skinął na swoje sługi. – Bądźcie tak dobrzy i pomóżcie naszemu przyjacielowi Aleatorowi zmienić pozycje więźniów.

– Z przyjemnością – mruknął Sadok.

– Ale włos ma im z głowy nie spaść, zrozumiano? – powiedział z naciśkiem setnik.

– Tak, panie!

Longin oddalił się. Strażnik patrzył na nim, wydymając wargi.

– Czy on w ogóle jeszcze widzi, dokąd idzie? – zapytał cicho.

– Nie martw się, zna Antonię lepiej niż niemowlę własną kołyskę – zapewnił go Stefaton.

– A Golgota to jego drugi dom – dodał Sadok. – Wozi go tam wciąż jeszcze dobry Polluks.

Młodzieniec kucnął przed Bar Abbasem, którego wybrał sobie na największego wroga.

– Niech spojrzę na twoje stawy, ty chwaliپیето, żebym wiedział, jakie wybrać dla ciebie gwoździe. O tu, właśnie tu, wbijemy ci je w ciało. Myślę, że weźmiemy wyjątkowo duże. W końcu nie chcemy, żebyś zszedł z krzyża, co?

– Byłbyś wtedy pierwszym, którego bym zabił, ty synu dziwki! – odparł tamten.

– Zostaw go! – krzyknął Stefaton, widząc, że Sadok znów zaciska pięści.

– To, co go czeka, będzie wystarczającą karą za wszystkie podłości, których się w życiu dopuścił.

– To, co mnie czeka – zarządził Bar Abbas – zależy nie od was, lecz od Boga!

Pizon roześmiał się.

– O, co ja słyszę! – zawołał. – Takich pobożnych rabusiów jak ty nie krzyżujemy tu zbyt często!

Sadok splunął.

– Już wkrótce będziesz krzyczał na krzyżu jak rodząca kobieta, Bar Ab-

basie, a twój Bóg będzie całkowiec bezsilny! – warknął.

– Dość tego gadania. – Pizon potrząsnął pięciem kluczy. – Słyszeliście, co powiedział centurion!

Kiedy chwilę później Stefaton i Sadok przechodzili przez dziedziniec Antonii, podszedł do nich zdecydowanym krokiem jakiś legionista.

– Trybun Tubero chce cię widzieć! – powiedział do mima.

– Mnie? Po co? – zdziwił się Stefaton.

– Tego nie powiedział. Może chce, żebyś przed nim wystąpił? – Żołnierz uśmiechnął się szeroko i mrugnął do młodego człowieka.

– Nie sądzę – stwierdził ponuro tamten.

Sadok zmarszczył czoło.

– A nie mówiłem, żebyś go omijał szerokim łukiem?

– To właśnie robiłem – odparł Stefaton. – Czego on może ode mnie chcieć?

– Zaraz się dowiesz. Bądź uległy i nie pyskuj. Nie daj mu powodu, żeby cię ukarał – poradził mu Sadok.

– Że też słyszę takie rady akurat z twoich ust, Sadoku. Myślałby kto, że to niemożliwe – zadrwił były mim.

– Na twoim miejscu nie kazałbym mu czekać zbyt długo – poradził posłaniec.

Stefaton ruszył we wskazanym kierunku. Trybun kazał urządzić sobie gabinet niedaleko mensy oficerskiej. Wpuszczony przez strażnika Stefaton wszedł do środka; Tubero siedział rozparty niczym monarcha za pulpitem i z wysuniętą szczęką wpatrywał się we wchodzącego.

– Wydaje mi się – zaczął niebezpiecznie ściszym głosem – że nie spieszy ci się zbytnio, żeby przyjść tu na moje wezwanie.

– Przybyłem tak szybko, jak mogłem – zapewnił go spokojnie Stefaton.

Tubero odchylił się na krześle i skrzyżował ręce na piersi. Przegubry dłoni zdobiły mu złote bransolety. Trybun obrzucił Stefatona wzrokiem od stóp do głów, jak gdyby szukał na targu niewolników nowego służącego.

– Twój pobyt w Antonii wkrótce dobiegnie końca – odezwał się wreszcie.

Stefaton lekko skinął głową.

– Nie słyszę cię, Greku! – powiedział z naciskiem Tubero.

– Tak, trybunie. Moja służba niedługo się skończy.

– Służba! – To słowo najwyraźniej nie podobało się trybunowi. – Mam nadzieję, że przynajmniej się poprawiłeś. Obraza cezara to nie błahostka. Możesz mówić o szczęściu, że miałeś wpływowych orędowników. Z moim wujem, prefektem, pewnie nie poszłoby ci tak łatwo. – Pochylił się do przodu i ściszył głos. – Ale na szczęście on nic nie wie o całej sprawie, prawda?

To bez wątpienia była groźba. Stefaton milczał.

– Tak czy owak postanowiłem, że ostatni raz wypróbuję twoją lojalność. W najbliższych dniach będziesz na moje usługi, rozumiano? – po-

wiedział Tubero.

– Służę centurionowi Longinowi, trybunie – zaproponował Stefanon.

– Od teraz będziesz służył mnie. Namiestnik upoważnił mnie do dobie-
rania sobie ludzi wedle uznania.

– Skoro tak, to oczywiście jestem do twojej dyspozycji, trybunie. – Sa-
dok miał rację ze swoją podejrzliwością. Cokolwiek knuł ten człowiek,
Stefanon nie miał zamiaru go prowokować.

– Znasz ten straszny język Żydów? – odezwał się tamten.

– Tak, trybunie.

– Stworzyłem mały oddział, którego zadaniem będzie rozpoznanie sy-
tuacji w mieście, zwłaszcza w okolicy świątyni. Będziesz mi towarzyszył
jako osobisty sługa. W cywilnym, greckim ubraniu, bez broni! Zgolisz bro-
dę, żeby cię od razu nie rozpoznano. Stawisz się tutaj za godzinę. Odma-
szerować!

Ścisłe rzecz biorąc, „oddział” Tuberona składał się z niego samego i świe-
żo ogolonego Stefanona. Trybun zamienił swój wojskowy uniform na pro-
stą niebieską tunikę; pozbył się również bransolet. Jego podkomendnego
zdziwiło, że Tubero zdecydował się wystąpić tak bezpretensjonalnie i w
dodatku bez broni. Widocznie nie chciał zwracać na siebie uwagi, a w
stroju trybuna byłoby to raczej niemożliwe.

Opuścili Antonię bez eskorty i w milczeniu ruszyli wzdłuż zachodniej
ściany świątyni. Dzień był gorący i duszny, ale potężne mury rzucały
orzeźwiający cień. Mężczyźni raz po raz musieli sobie torować drogę
przez ludzką cizbę.

– Hej, ty! Czy ty nie jesteś jednym z tych rzymskich katów? – zapytał
Stefanon stary sprzedawca wody, zaledwie zdążyli przejść przez bramę
w starym murze, graniczącym od zachodu z kompleksem świątynnym.

– Nie! – syknął zagadnięty. – A jeżeli chcesz zachować choć kilka ostat-
nich zębów, lepiej się zamknij!

– Co powiedział ten stary? – dociekał Tubero, nie zatrzymując się.

– Poprosił mnie o jałmużnę.

Trybun z westchnieniem pokręcił głową.

– Jałmużna! Cały świat chce tylko jałmużny!

Dotarli do położonych po południowej stronie świątyni schodów, pro-
wadzących na dziedziniec przybytku. Tubero przystanął i chwycił prze-
wodnika za ramię.

– Posłuchaj mnie – powiedział. – Wczoraj pewien galilejski rabbi imie-
niem Jezus wywołał w świątyni gwałtowną awanturę. Rycząc jak zwierzę
ofiarnie, przewracał stragany handlarzy. Chcę wiedzieć, czy jest tam rów-
nież dziś. Towarzyszy mu grono zwolenników, ale my nie chcemy zwraca-
ć na siebie uwagi i będziemy go tylko obserwować. Do jakiej części
świątyni możemy wejść?

– Ponieważ nie jesteśmy Żydami, jedynie na Dziedziniec Pogan – odparł
Stefanon. – Powiedziałeś, że ten Jezus pochodzi z Galilei?

– Znasz go może?

Stefaton zawahał się.

– Nie, nie sędzę – odpowiedział w końcu.

– A więc naprzód! – zakomenderował trybun.

Dziedziniec Pogan, na który weszli przez wysoką podwójną bramę, był rozległym placem, otoczonym wspaniałymi kolumnadami. Przelewały się przez niego takie tłumy, że Stefatonowi trudno było sobie wyobrazić sytuację, w której pojedynczy człowiek mógłby tu wywołać jeszcze większe poruszenie.

Tubero rozejrzał się dookoła. Budowla swoim rozmiarami najwyraźniej zrobiła na nim wrażenie – takich świątyń nie było nawet w Rzymie. Stefaton zapytał jednego z wymieniających pieniądze o rabiego Jezusa. Żyd, zamiast odpowiedzieć, skrzywił się tylko i skinieniem głowy wskazał grupę ludzi, którzy zgromadzili się pod kolumnadą na skraju dziedzińca.

– Tam jest – poinformował Tuberona przewodnik.

– Idziemy! – rozkazał trybun.

Tłum opuściło właśnie z kamiennymi minami dwóch biało brodych mężczyzn, których szaty wskazywały, że są to kapłani świątynni. Za nimi podążał trzeci, żywo gestykulując.

– Zrobiliście głupstwo, pytając go wobec tych wszystkich ludzi o Chrzciciela! Mielście tylko zapytać, kto mu dał prawo do nauczania! – wołał.

– To nie my zapytaliśmy go o Chrzciciela, tylko on nas! – odparł ponuro jeden ze zganionych. Niezależnie od tego, co słyszeli i powiedzieli o Chrzcicielu, nie skończyło się to dla nich przyjemnie. Stefaton i Tubero szybko wykorzystali okazję, żeby wcisnąć się w lukę, która powstała w tłumie, na tyle daleko, że po chwili zobaczyli samego rabiego. Słudze Rzymianina na moment zamarło serce – bez wątplenia był to ten sam Jezus, którego nauczanie Stefaton słyszał przed prawie dwoma laty na zielonym wzgórzu pod Kafarnaum; ten sam Jezus, który zrobił na nim większe wrażenie, niż – jak przypuszczał – mógł zrobić jakikolwiek żydowski kaznodzieja, ba!, jakikolwiek człowiek. Od tamtego nadal biła ożywcza siła, choć rysy jego twarzy stały się poważniejsze, surowsze i bardziej zatroskane, a oczy wydawały się głębiej osadzone w oczodołach. Teraz, po odejściu kapłanów, otoczyło go kilku faryzeuszy. Jeden z nich uniósł dłoń, aby przywrócić spokój. Chciał, wszyscy usłyszeli słowa, jakie kierował do Jezusa.

– Jeszuo, synu Josefa, jesteś człowiekiem mądrym i roztropnym, nikt nie może temu zaprzeczyć – zaczął z namaszczeniem. – Jesteś zawsze wierny słowu Bożemu i nie zwracasz uwagi na okoliczności, bo prawda jest dla ciebie ważniejsza. Chcielibyśmy więc zadać ci pytanie, które nas nurtuje, bo zdania są podzielone. Mamy nadzieję, że twoja odpowiedź położy kres temu zamętowi.

– Mów! – polecił Jezus.

Mężczyzna i jego towarzysze wymienili szybkie spojrzenia. „Trzeba być ślepym albo głupim – pomyślał Stefaton – żeby się nie domyślić, iż mają złe zamiary”.

– Powiedz nam, rabbi – faryzeusz znów niespiesznie wypowiedział pierwsze słowa, by zaraz znieacka zadać pytanie: – Czy wolno nam płacić podatki cesarzowi, czy nie?

Wśród zgromadzonych rozległy się szepty. Podchwytliwy charakter pytania okazał się oczywisty nawet dla Stefatona, który nie był Żydem. Jeżeli nauczyciel odpowie twierdząco, zrazi do siebie wielu swych zwoln-

ników; jeśli zaprzeczy, może zostać posądzony o wezwanie do buntu.

– O co zapytał ten faryzeusz? – szepnął Tubero.

– O to, czy Żydom wolno płacić podatki cesarzowi – wyjaśnił mu Stefaton.

Jeżeli słowa pytającego wprawiły Jezusa w zakłopotanie, to nie dał on tego po sobie poznać.

– Pokażcie mi denara – powiedział zupełnie spokojnie.

– Co mówi? – chciał wiedzieć trybun.

– Chce zobaczyć denara!

– Czy ktoś z was ma przy sobie denara? – zawołał rozmówca Jezusa.

Tubero podał Stefatonowi monetę.

– To denar, zanieś mu! Jestem bardzo ciekaw jego odpowiedzi! – oświadczył.

Stefaton zaczął się wzbraniać, w nadziei, że ktoś go uprzedzi. Wyglądało jednak na to, że nikt nie ma przy sobie pieniędzy.

– No już, idź! – ponaglał trybun.

Ludzie zauważyli, że Stefaton zamierza podać Jezusowi monetę, i zaczęli mu się usuwać z drogi. Biorąc denara, Jezus spojrział mężczyźnie głęboko w oczy. Stefatonowi robiło się na przemian gorąco i zimno. Rabbi już raz spojrział na niego w ten sposób. Czyżby go poznał?

Wy jesteście solą ziemi!

Młody człowiek już dawno nie myślał o tych słowach, teraz jednak nagle na nowo zabrzmiały mu one w uszach. W tej samej chwili Jezus zwrócił się do niego z pytaniem:

– Czy możesz mi powiedzieć, czyj wizerunek i napis wybito na tej monecie? – Sam nawet uważnie na nią nie spojrział.

Stefaton chrząknął.

– Cesarza – odparł krótko.

– Dziękuję. – Rabbi z uśmiechem zwrócił pieniążek. – Na denarze jest napis cesarza! – oznajmił mężczyźnie, który zadał pytanie, jak gdyby tamten był uczniem. A zwracając się do wszystkich, zawołał głośno: – Oddajcie więc to, co cesarskie, cesarzowi, a co boskie, Bogu!

Miny faryzeuszy przypominały wyraz twarzy kapłanów, którzy wcześniej pospiesznie opuścili to miejsce. Część słuchaczy wybuchnęła śmiechem, inni z zachwytem klaskali, jeszcze inni krzywili się z dezaprobatą, bo odpowiedź im się nie podobała. Większość obecnych zastygła jednak w pozie pełnej podziwu; wpatrywali się w Jezusa tak, jak gdyby stał przed nimi jeden z dawnych proroków. I Stefaton tęsknił do ciszy, ale nieznośny Tubero już na niego czekał. Były mim wrócił do niego jak odurzony, nawet nie podejrzewając, że ktoś z grona uczniów rabiego nie może od niego oderwać wzroku.

– I co? – Niecierpliwy szepł trybuna był równie dręczący dla uszu jak brzęk roju owadów. – Wezwał do tego, żeby nie płacić podatków?

– Wręcz przeciwnie – burknął Stefaton.

– Wręcz przeciwnie? Co to znaczy?

– Kazał ludziom uczciwie płacić podatki i nie zapominać o modlitwie.

– O modlitwie? Jak to o modlitwie? – zdziwił się Tubero.

– To Żydzi. Co chciałeś usłyszeć? Jesteś rozczarowany, że nie udało ci się zdemaskować buntowników?

– Nie zapominaj, z kim rozmawiasz, Greku! – warknął trybun.

Świadek

Stefaton zagryzł wargi – przecież podjął mocne postanowienie, że nie będzie prowokował tego próżnego człowieka! Nagle ktoś położył dłoń na jego ramieniu. Była delikatna, ciepła, łagodna i znajoma. Młody człowiek gwałtownie odwrócił głowę i pomyślał, że chyba zemdleje.

– Tabita – powiedział niemal bezgłośnie.

18

Wyprowadziła go z tłumu. Jej serce mocno waliło z ekscytacji i szczęścia – ile już razy widziała w marzeniach ich ponowne spotkanie? I oto doszło do niego właśnie w jerozolimskiej świątyni. Skierowali się ku placykowi za kolumnami, gdzie mogli w miarę spokojnie rozmawiać. Kiedy tak stali naprzeciwko siebie, Sara dałaby wszystko, aby Stefaton wziął ją w objęcia. On jednak był wyraźnie zdezorientowany, jak gdyby sądził, że to wszystko jest tylko snem. Zresztą przybytek nie nadawał się na miejsce do namiętych powitań; strażnikom świątynnym na pewno nie spodobałoby się, gdyby młodzi padli sobie w ramiona.

– Tabita – szepnął znów Stefaton.

– Nie jestem duchem! – powiedziała z uśmiechem Sara.

– Ale... ale co ty robisz w Jerozolimie? – wyjąkał młody człowiek.

– Święto Paschy – odpowiedziała krótko jego ukochana.

Stefaton rozejrzał się dookoła.

– A gdzie twoi rodzice? – zapytał.

Sara ujęła go za dłonie.

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

– Co ty mówisz? To dla mnie najpiękniejsza chwila od dawna. – Młody człowiek wreszcie odważył się delikatnie pocałować ją w policzek. Dziewczyna zamknęła oczy i poczuła, jak bardzo pragnęła przełamać twardyznące mu zmieszanie i rezerwę.

– Stefatonie, najdroższy! Ależ wychudłeś! – powiedziała tylko.

– Nawet gdyby mnie tuczyli i obsypywali złotem, rozłąka z tobą byłaby dla mnie nie do zniesienia! – Odnaleziony w tłumie spoglądał na nią natarczywie. – Tabito! Już niedługo wrócę do Tyberiady.

Odwróciła głowę. Jej twarz, do której widoku tak tęsknił, otaczała srebrnoszara chusta. Stefaton poczuł na plecach zimny dreszcz. Nie wiedział, że w świątyni wszystkie kobiety muszą zasłaniać włosy.

– Czy oni... czy oni wydali cię za męża? – zapytał.

– Nie, Stefatonie. Nie jestem niczyją żoną. – Ton, jakim wypowiedziała te słowa, nie uspokoił go.

– Co się z tobą dzieje, Saro? Czy już nie jesteś pewna swojej miłości? Powiedz mi jasno i otwarcie. Doskonale to rozumiem.

„Choć chyba nie będę mógł tego znieść” – dodał w myślach.

– Myślisz, że nosiłabym to przy sobie przez dwa lata, gdybyś stał mi się obojętny? – Wyjęła z zanadru glinianą gazelę. Teraz jej ukochany poczuł wreszcie lekką ulgę.

– A więc Joram dotrzymał słowa. Niekiedy w snach widywałem cię już razem z nim w naszym miejscu nad jeziorem. Jest przystojnym mężczyzną, prawda? I w dodatku Żydem – zauważył Stefaton.

– Mógłbyś mieć do mnie trochę więcej zaufania – odparła zakłopotana Sara.

Świadek

– Wybacz mi! Odtąd nigdy już nie będę podejrzliwy. – Młody człowiek znów się rozejrzył. – Kto z tobą jest? Nigdzie nie widzę twojego ojca.

Sara westchnęła w duchu. Ile już razy zastanawiała się nad tym, jak mu to oznajmi.

– Stefatonie, jestem uczennicą Jezusa – oznajmiła w końcu.

Jej ukochany otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa.

– Widziałem, jak robił rzeczy, których nigdy nie dokonał żaden człowiek – dodała Sara.

Stefaton odzyskał mowę, ale jego odpowiedź była chłodna i pełna dystansu.

– Ach, Jezus, ten wielki mag.

– On nie jest żadnym magiem! Jest Mesjaszem, Stefatonie! – zaprotestowała dziewczyna. – Jest tym, którego zapowiadają nasze święte księgi!

– Skoro tak, to cieszę się ze szczęścia twojego i wszystkich Żydów!

– Jestem głęboko przekonana, że jest Mesjaszem wszystkich ludzi! – odparła Sara.

– Ach tak? Nawet Rzymian? A od kogo ich uwolni, od samych siebie? – zadrwił młody człowiek.

– Nie chodzi o ziemskie królestwa! On się brzydzi przemocą.

Stefatona coś zabolalo, zupełnie jakby ktoś wymierzył mu cios pięścią w żołądek. Najwyraźniej Sara nie czekała na niego przez dwa lata z tęsknotą w sercu.

– Brzydzi się przemocą? Wczoraj musiał o tym zapomnieć, kiedy wywołał tu awanturę – zauważył.

Sara dotknęła policzka ukochanego, ale ten odwrócił głowę.

– Czy przed chwilą nie powiedziałeś, że nie będziesz już wobec mnie podejrzliwy? – Gdybyż w końcu porzucił swój upór!

– Tak, kiedy jeszcze nie wiedziałem, że chodzisz za tym rabbim.

– On nie jest moim kochankiem. Jak w ogóle możesz tak o mnie myśleć?

– Skąd mam wiedzieć, co mam myśleć? – zapytał z goryczą Stefaton. – Wiem tylko, że przez dwa lata nie było ani chwili, w której o tobie nie myślałem. Znosiłem rzeczy, które były nie do zniesienia, bo marzyłem o powrocie do Tyberiady. Nie potrafiłem sobie wyobrazić przyszłości bez ciebie. Dlaczego nie przekazałaś mi żadnej wiadomości? Wtedy przynajmniej miałbym czas, żeby się z tym pogodzić.

Po jej policzku spłynęła łza.

– Opowiadając się za nim, nie opowiedziałam się przeciwko tobie – wyszeptala.

– Dobrze – oświadczył Stefaton. – Po święcie Paschy wróc do Tyberiady, a ja już niedługo do ciebie dołączę. Potem udam się do twojego ojca i poproszę o twoją rękę. Stanę się dobrym żydem, wierz mi, i zrobię wszystko, żebyś mogła zostać moją żoną. Nie będziesz zresztą pierwszą Żydówką, która poślubi Greka.

– Jestem jego uczennicą, Stefatonie – przerwała mu Sara. – Nie mogę tak po prostu od niego odejść. Kto za nim idzie, podejmuje decyzję na całe życie!

Młody człowiek gwałtownie przełknął ślinę.

– A więc opowiedziałaś się przeciwko mnie! – stwierdził. Zamierzał się

już odwrócić, bo czułem, jak w jego wnętrzu rozpętuje się prawdziwa burza. Dziewczyna powstrzymała go jednak.

– Nie! I ty możesz za nim pójść, Stefatonie! – zawołała. Jej oczy lśniły teraz nie tylko od łez.

– Mam za nim pójść, żeby cię nie stracić? – zapytał jej ukochany, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Sam słyszałeś go wtedy, na wzgórzu pod Kafarnaum! Pamiętasz ten cudowny dzień?

– Tak. Najbardziej też pamiętam, że czułem się niewypowiedzianie szczęśliwy, bo ty siedziałas przy mnie.

– To było coś więcej niż szczęście we dwoje, Stefatonie. – Sara nie dawała za wygraną. – Nie zaprzeczaj, że i na tobie zrobiły wrażenie jego słowa!

– Czy z tego powodu muszę związywać się z nim na całe życie? Rabbi na pewno jest niezwykłym człowiekiem, mądrym i błyskotliwym, ale nie ma prawa odbierać mi ciebie.

– On nikomu niczego nie odbiera! – zaoponowała dziewczyna. – Wręcz przeciwnie, temu, kto dla niego zaryzykuje, daje wszystko. Porozmawiam z nim, a on cię nie odeśle. Potrafi zajrzeć w głąb ludzkiej duszy, a twoja dusza jest dobra i czysta, wiem to na pewno!

– Niczego nie wiesz, Saro – odparł ze ściśniętym gardłem Stefaton. – Odkąd znalazłem się w tym przeklętym mieście, robię rzeczy, na widok których wcześniej ścinała mi się krew w żyłach. Twój Jezus pewnie by mnie przeklął.

– To nieprawda! „Sprawiedliwi nie potrzebują lekarza!”, to jego słowa. On wysłuchuje nawet poborców podatkowych i nierządnic.

– Teraz mnie uspokoiłś. Skoro zadaje się z takimi ludźmi, to czuję się naprawdę przekonany – skwitował z ironią Stefaton i znów wykonał gest, jak gdyby miał odejść.

Sara nie rezygnowała.

– Gdybyś naprawdę mnie kochał, podjąłbyś to ryzyko! – zawołała.

– Miałbym z kobietą, którą kocham, przemierzać kraj u boku wędrownego kaznodziici? Jak to sobie wyobrażasz, Saro? Co z naszą przyszłością? Czy nie chcieliśmy stworzyć domu i mieć wiele dzieci? Świat Jezusa może jest wspaniały, ale to nie mój świat. Musisz wybrać między nim a mną. Choć właściwie już to zrobiłaś.

– Stefatonie, najdroższy... – zaczęła znów Sara.

– A tak w ogóle – młody człowiek zniżył głos – są ludzie, zarówno Żydzi, jak i Rzymianie, którzy nie życzą dobrze twojemu rabbiemu. Kiedy tylko znajdą powód, żeby go aresztować, jego uczniowie też będą w niebezpieczeństwie.

– Mesjasza chroni Bóg – powiedziała z przekonaniem dziewczyna. – On nie czyni nic złego, Stefatonie, lecz samo dobro. Nie nawołuje do buntu, sam to zresztą przed chwilą słyszałeś. Kiedy podawałeś mu monetę, poczułam wielką radość. Nie tylko dlatego, że wreszcie cię zobaczyłam... Pomyślałam również, że to niemożliwe, aby boski ogień, który w nim jest, nie zapłonął i w tobie.

– Sprytna odpowiedź nie czyni jeszcze z człowieka półboga, Saro.

– Kim ona jest? – zapytał nagle podejrzliwy głos.

A więc Tubero go odnalazł.

– Kimś z mojego dawnego życia – odparł Stefaton.

– Czego ty nie powiesz! Czy pozwoliłem ci odejść? – zapytał z przyganą trybun.

Stefaton bez pożegnania odwrócił się plecami do Sary i podążył za Rzymianinem.

– Ta Żydóweczka nie wyglądała na specjalnie szczęśliwą – zauważył Tubero.

– Czy już skończyliśmy, trybunie? – Stefaton nie zamierzał się przed nim tłumaczyć.

– Nie nadużywaj mojej cierpliwości, Greku – ostrzegł go tamten. – Rabbi dużo jeszcze mówił, niestety ja nie mogłem zrozumieć, o co chodziło, bo ty wolałeś umilać sobie czas z tą panną. Idziemy, rabbi jeszcze nie odszedł, ludzie dosłownie go oblegają.

Stefaton usiłował się skoncentrować na słowach Jezusa. Faryzeusze, którzy chcieli zastawić na niego pułapkę, już dawno sobie poszli. Kiedy rabbi skończył i wraz z uczniami zaczął się zbierać do opuszczenia świątyni, Tubero również postanowił wrócić do Antonii. Po drodze kazał podkomendnemu streścić sobie mowę nauczyciela.

Przez resztę dnia rozdarte serce Stefatona dręczyły wyrzuty sumienia. Dobrze, że przynajmniej trybun chwilowo zostawił go w spokoju. Ponieważ również centurion nie miał dla niego specjalnego zajęcia, młody człowiek udał się do magazynu z narzędziami; był pewien, że tam nikt nie będzie mu przeszkadzać. Podczas sprawdzania zapasów – przecież znowu czekały ich egzekucje – nieustannie zadawał sobie pytanie, co takiego go opętało, że na pobożne rojenia Sary odpowiadał zjadliwymi drwinami. Jednego był bowiem pewien – nadal ją kochał.

„Ktoś z mojego dawnego życia!” Miał ochotę krzyżeć, policzkować się, niszczyć wszystko dookoła, by ukarać się za to, że powiedział coś takiego. Sara była jego życiem – jakiś Jezus niczego tutaj nie zmieniał. Być może dziewczyna opamięta się, kiedy to całe zamieszanie z jej mistrzem dobiegnie końca. Ci wszyscy faryzeusze, saduceusze, kapłani świątynni, członkowie Wysokiej Rady i uczeni w Piśmie musieli mieć przecież powody, dla których oburzali się na Jezusa; być może nawet Tuberonem kierowało coś więcej niż czysta żądza poklasku. On, Stefaton, zupełnie nie znał się na tych sprawach – nie był ani Żydem, ani człowiekiem religijnym. Wiedział jednak na pewno tyle, że zdarzają się wilki w owczych skórach. Jak mógł być pewien, że ten Jezus nie zalicza się właśnie do nich?

Później, kiedy z innymi sługami jadł kolację w kantynie, starał się nie okazywać swojego złego humoru. Zauważył jednak, że siedzący obok niego Sadok, skubiąc kawałek koziego sera, obserwuje go kątem oka, by w pewnej chwili dać upust swojej ciekawości:

– Jak tam twój patrol ze szlachetnym trybunem?

Stefaton wykonał niedbały gest dłonią.

– Uwziął się na tego Jezusa. Można by pomyśleć, że rabbi odbił mu żonę.

– To mało prawdopodobne – oświadczył tajemniczo Sadok. Ponieważ jego rozmówca nie zareagował, sam pospieszył z wyjaśnieniem: – Trybun nie ma żony, a gdyby miał, to pewnie byłoby mu zupełnie wszystko jedno, czy ktoś mu ją odbije.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zainteresował się tym razem jego towarzysz.

Sadok trzepnął w głowę swojego sąsiada, służącego w kuchni młodego niewolnika, który ciekawie nadstawił uszu.

– Co cię tak ciekawi? Już, zmykaj stąd, mały, bo jeszcze spotka cię coś przykrego! – krzyknął.

Tamten wziął nogi za pas, a Sadok na nowo podjął temat.

– Zasięgnąłem języka u legionistów Piłata – szepnął, zasłaniając usta dłonią. – Przez cały czas zastanawiałem się, co jest nie tak z tym trybunem, a teraz pytam się, jak to możliwe, że sam na to nie wpadłem.

– Ale na co? – niecierpliwił się Stefaton.

– Jemu nie podobają się kobiety. Ma ochotę na mężczyzn, przynajmniej takich, którzy są dobrze zbudowani i przystojni.

– No i co z tego? Nie jest jedyny.

– Idioto! On upatrzył sobie ciebie. Fakt, że obraziłeś jego wuja i boskiego Tyberiusza, raczej go rozbawił, niż rozgniewał. Chce doprowadzić do tego, żebyś stał się mu uległy, jeśli będzie trzeba, to i groźbami. Stanowisz dla niego apetyczny kąsek w Jerozolimie, tu katamitów jest znacznie mniej niż w Rzymie. Cóż, mój przyjacielu, takim atletycznym Grekiem jak ty można się w wielu miejscach pochwalić!

Brzmiało to logicznie i wyjaśniało niektóre rzeczy, ale Stefaton nie miał zamiaru przyjmować tych spostrzeżeń do wiadomości.

– Chyba za długo byłeś dzisiaj na słońcu, Sadoku! – próbował ironizować.

– Chyba nie – odparł tamten. – I wiesz, że mam rację. – Z szerokim uśmiechem dał koledze kuksańca. – Lepiej mu się nie stawiaj, a wtedy nie będzie ci robił problemów. Przeżyjesz to, a twojej Żydóweczce nic nie musisz opowiadać. O ile w ogóle jeszcze na ciebie czeka, ale o tym już rozmawialiśmy.

Dzień, który się kończył, był dla Stefatona jeszcze bardziej przygnębiający niż ten sprzed dwóch lat, kiedy to przybili do krzyża mordercę Jehohanana syna Hagkola.

Horyzont pożarł już kulę słońca, a na zachodzie nad pobliską Jerozolimą zapadł fioletowy zmierzch. Sara wyszła z domu Łazarza, żeby pobyć sam na sam ze swoim smutkiem. Upał, który towarzyszył im w ciągu poprzednich godzin, zniknął bez śladu, ale dziewczyna nie czuła chłodu. Pola za wioską obiecywały jej samotność. W ciągu dnia dużo płakała, ale teraz jej lzy wyschły, wchłonęła je wielka pustka. Po chwili dziewczyna zauważyła zbliżającą się postać i od razu domyśliła się, że jest to Maria z Magdali. Starsza towarzyszka była jedną z niewielu osób na świecie, które mogły ją w takiej chwili pocieszyć.

Maria miała ze sobą wełnianą pelerynę, którą troskliwie narzuciła Sarze na ramiona, po czym usiadła obok niej. Obie w milczeniu wsłuchiwały się w dźwięki wieczoru – odgłosy szakala błakającego się po okolicy w poszukiwaniu pożywienia, wyśpiewującego subtelną melodię kosa, szczełającego w wiosce psa. W powietrzu unosił się zapach kwitnących krzewów.

– Byłam głupia, myśląc, że pójdzie z nami – odezwała się w końcu beznamytnie Sara z oczyma wpatrzonymi w dal.

– To była nadzieja, nie głupota – zaoponowała jej towarzyska. W jej głosie był spokój szemrzącego strumienia. – I to dobrze, że miałaś nadzieję. Kochacie się, a jeśli Bóg zechce, jeszcze wszystko będzie dobrze.

– Ale Stefaton już mnie nie kocha. Widziałam to w jego oczach!

– Wciąż cię kocha, uwierz mi. Z oczu człowieka, który przeżył zawód, nie przemawia jego dusza – oznajmiła z przekonaniem Maria i odchyliła głowę do tyłu, głęboko wdychając wieczorne powietrze.

– A ty, Mario? – Sara zebrała całą swoją odwagę. – Czy kiedykolwiek kochałaś mężczyznę... to znaczy tak, jak kobieta kocha wybranka swojego serca? – Pomyślała, że jej pytanie było zbyt niedyskretne, bo zapytana w ogóle nie zareagowała. – Wybacz mi, Mario, nie chciałam cię...

– Miałam męża, Saro – odezwała się tamta.

Teraz to Maria wpatrywała się zamyślonym wzrokiem w ciemność, choć wokół prawie nic nie było widać.

– Jako młodziutką dziewczynę wydano mnie za dużo starszego mężczyznę, urzędnika w służbie tetrarchy – zaczęła opowieść. – Mąż źle mnie traktował, wciąż mi wymyślał i bił mnie, kiedy tylko miał na to ochotę. Nigdy nie mogłam mu dogodzić. Być może wszystko ułożyłoby się lepiej, gdybym dała mu wytekniętego syna, ale miały lata, a ja nie zachodziłam w ciążę. Potem zakochałam się w pewnym mężczyźnie. Spotykaliśmy się potajemnie, ilekroć to było możliwe, a pewnego dnia... domyślasz się, co teraz powiem? Okazało się, że noszę pod sercem jego dziecko. Oczywiście mój mąż był pewien, że to jego potomek, i stał się dla mnie bardziej wyrozumiały. Ale kiedy małeństwo przyszło na świat – ku jego rozpaczy była to i tak dziewczynka – zmarło już po kilku dniach. Wiesz, że mężczyźni łatwo jest oddalić żonę, kiedy chce się jej pozbyć. Tak właśnie było ze mną. Lecz i mój kochanek nie chciał o mnie słyszeć. Zdążył już się ożenić i zamknął przede mną drzwi swojego domu. W ten sposób z dnia na dzień zostałam pozbawiona dachu nad głową i środków do życia.

Sara była wstrząśnięta,

– A potem spotkałaś mistrza – powiedziała.

– Był to czas, kiedy nad Jeziorem Galilejskim Jezus powołał swoich pierwszych uczniów – potwierdziła Maria. – Zobaczył mnie, siedzącą w rozpacz na skraju drogi, i zapytał, czy nie chciałabym mu towarzyszyć. Wyznałam od razu, że jest pobożnym człowiekiem, zresztą nie muszę ci mówić, jakie wrażenie robi na innych. Odpowiedziałam, że nie jestem godna, żeby za nim pójść. Poza tym byli z nim wyłącznie mężczyźni. Czy możesz sobie wyobrazić, jaką minę miał Piotr?

– Bez trudu. – Sara uśmiechnęła się.

– Pomyślałam sobie: „Gdyby był prorokiem, to wiedziałby, że jestem grzesznicą!”. Uważałam, że narzekanie na mój los byłoby obłudą, bo w końcu byłam cudzołożnicą, z własnej woli zламаłam przykazanie Mojż-

sza. Skoro zaś Bóg ukarał mnie śmiercią dziecka, to popełnionego grzechu nie da się już wymazać. Tak, gdyby ten rabbi był prorokiem, przejrzałby mnie na wylot. Tymczasem on podszedł do mnie i podał mi rękę, żebym mogła wstać. Schwyciłam ją, a kiedy stanęliśmy twarzą w twarz, szepnął mi coś do ucha.

– Co ci powiedział?

– Że mnie nie potępia, żebym odtąd już nie grzeszyła i poszła za nim. W tej samej chwili poczułam, że opuszczają mnie wszystkie demony, które uosabiały moje grzechy. Wydawało mi się nawet, że słyszę ich okrzyki wściekłości, bo przecież wypędzający je człowiek miał swoją moc od Boga. Byłam nowym człowiekiem, wolnym od wszelkiego lęku i trosk. Poszłam za nim, bo to bez wątplenia o nim mówił chrzciciel Jan jako o moim wybawcy. – Na wargach zamysłonej Marii błąkał się uśmiech. – Po trzech dniach nawet Piotr przestał się boczyć z powodu mojej obecności.

Kos wciąż wyśpiewywał swoją pieśń.

– Dziękuję, że opowiedziałaś mi tę historię – powiedziała cicho Sara.

– Zachowałam ją dla ciebie do dzisiaj – wyjaśniła tamta – bo przeczuwałam, że pewnego dnia twoje serce przysporzy ci cierpień. Moja historia da ci siłę, żebyś znalazła własne powołanie, tak jak ja znalazłam swoje. Moim powołaniem nie jest małżeństwo, wiem to od dawna, ale twoim być może tak? Jeśli tak, to wszystko się ułoży. Myślę, że byłabyś wspianiałą żoną, Saro.

Słowa przyjaciółki były dla Sary czymś więcej niż zwykłe pocieszenie – zabrzmiały jak przepowiednia. Były jednak jeszcze inne słowa, te, które dzisiaj wypowiedział Jezus i które dziewczyna z niepokojem sobie teraz przypomniała.

– Dlaczego mówił o końcu świata, Mario? – zapytała. – Dlaczego mówił o nadchodzących wojnach, głodzie, o zniszczeniu świątyni i całej Jerozolimy? Jego słowa były takie straszne!

– Nie przeczuwasz tego? – Jej starsza towarzyszka podniosła głowę i zamknęła oczy, jak gdyby w ten sposób mogła spojrzeć w przyszłość. – Świat będzie zupełnie inny. Koniec świata takiego, jaki znamy, nie jest już odległy. Nie musisz się tego bać, Saro. Już nigdy nie będziesz musiała się bać. Jego matka, Maryja, wiedziała to już na długo przed nami: On przyszedł, żeby wszystko uczynić nowe!

Tak, Jezus czynił wszystko nowe, a ją, Sarę, wybrał, żeby widziała to z bliska. Co takiego uczyniła, żeby wyrazić mu swoją głęboką wdzięczność?

– Ach, Mario! Jak mogłabym oddać mu cześć? Wiem, że nie domaga się od ludzi niczego poza miłością Boga i bliźniego. – Jej smutek ustąpił miejsca uroczystemu uniesieniu. – Ale ja tak chciałabym dać przykład. Dać przykład wszystkim, którzy są rozdarci tak jak ja! Wszystkim, którzy będą żyć po mnie!

Maria z Magdali długo rozważała jej słowa.

– Dobrze cię rozumiem, Saro – powiedziała wreszcie i chwyciła ją za rękę. – I może będę mogła ci pomóc.

19

Nazajutrz rano Stefaton postanowił, że opuści Antonię bez pozwolenia, żeby wybrać się na poszukiwania Sary; dręczyła go przemożna tęsknota. Nie miał pojęcia, co powie ukochanej, gdy ją odnajdzie – wiedział tylko, że musi ją zobaczyć. Miał nadzieję, że zrozumiała, iż życie takie, jakie wyobrażała sobie u boku mistrza, to mrzonka. Popelniła błąd, tak samo jak on. Nadszedł czas, by w końcu powróciło do nich szczęście.

W Dolnym Mieście wyraźnie wzrosła liczba rzymskich patroli, podobnie jak liczba pielgrzymów, z których wielu obozowało w namiotach pod miastem. Jerozolima pękała w szwach. Stefaton z trudem dotarł do schodów po południowej stronie świątyni.

Ku swojemu rozczarowaniu na Dziedzińcu Pogan nie zastał ani Jezusa, ani żadnego z jego uczniów, nie wspominając już o Sarze. Nikt też nie potrafił mu powiedzieć, gdzie może przebywać rabbi. Jeden z zapytanych twierdził, że mistrz zamieszkał gdzieś na przedmieściach, co bynajmniej nie ułatwiał poszukiwań.

Stefaton zdecydował, że pokręci się po uliczkach eleganckiego Górnego Miasta i po zaułkach ubogiej dolnej części Jerozolimy. Miał nadzieję, że tam trafi na ślad nauczyciela. Tak też się rzeczywiście stało, choć inaczej niż oczekiwał – przed jedną z bram hipodromu, wzniesionego niegdyś przez Heroda Wielkiego ku przerażeniu żydowskich ortodoksów, dwóch młodych mimów, których otaczał tłum gapiów, prowadziło głośną potyczkę na słowa. Byli Rzymianami, obdarzonymi – co od razu stwierdził Stefaton – umiarkowanym talentem, bo ani ich mimika, ani gesty nie mogły się równać z tym, co zaprezentowałyby zdolny Grek. Mimo to jakoś potrafili rozśmieszyć ludzi.

– Biada ci, obłudniku! – wołał jeden z nich, unosząc palec; był ubrany na biało, tak jak Jezus. – Dbasz o czystość zewnętrznej strony kubka i misy, a w środku są one pełne zdzierstwa i chciwości!

Drugi mim, w starym płaszczu z frędzlami, który miał przywozić na myśl faryzejską szatę, odparł jakby urażony:

– To moja żona zmywa naczynia, kieruj więc łaskawie swój żal do niej!

– Biada ci, obłudniku! – ciągnął pierwszy, kiedy ucichły śmiechy widzów. – Jesteś jak grób: na zewnątrz pobielany, a wewnątrz pełen zgnilizny!

– Co mogę poradzić na wzdęcia? Poza tym to ty nie myjesz sobie rąk przed jedzeniem!

– Biada ci, obłudniku!...

– Hola, rabbi! – zawołał rzekomy faryzeusz. – Dlaczego mi ubliżasz i kto dał ci prawo, żeby to robić?

Odgrywający rolę Jezusa skrzyżował ręce na piersi.

– Nie powiem ci! – odpowiedział z przekorą, pokazując adwersarzowi język.

Stefaton ruszył dalej. Można było myśleć o Jezusie wiele rzeczy, ale na pewno udało mu się dokonać tego, że mówili o nim nie tylko Żydzi. Gelon powiedział kiedyś, że człowiek staje się sławny dopiero wtedy, gdy zaczynają się nim interesować mimowie i uliczni komedianci. Niewątpliwie było w tym wiele prawdy.

Jezus być może świadomie unikał miasta, bo uznał, że posunął się za daleko. W każdym razie poszukiwania Stefatona skończyły się fiaskiem. Kiedy młodzieniec wrócił do Antonii, ku jego zdziwieniu nie czekała go kara. Z wyjątkiem Sadoka nikt chyba w ogóle nie zauważył jego nieobecności.

– Na biust Minerwy, gdzie ty byłeś, Greku? – zawołał jego kolega.

– Nic cię to nie obchodzi – odparł zapytany.

– Nie słyszałem odpowiedzi!

– Czy ty musisz wszystko wiedzieć? – westchnął Stefaton.

– Znów szpiegowałeś na polecenie swojego przyjaciela, prawda?

– Trybun nie jest moim przyjacielem. Pytał o mnie?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Opuścił twierdzę o świcie i dotąd nie wrócił. – Sadok przekrzywił głowę i otaksował wzrokiem towarzysza, uśmiechając się szeroko. – Przypuszczam, że spotkaliście się w jakimś ustronnym miejscu, co? Dlaczego się nie przyznasz?

– A myśl sobie, co chcesz – burknął Stefaton.

– Pamiętaj o mojej radzie – powiedział Sadok. – Nie stawiaj mu się, bo w przeciwnym razie spędzisz tu jeszcze kolejne lata. Albo jeszcze gorzej: wysła cię do jakiejś kopalni i już nigdy nie zobaczysz światła dziennego.

Po raz pierwszy od dawna Stefaton zastanawiał się, czy nie poprosić o pomoc boga Żydów. Ponieważ jednak Jahwe już raz go nie wysłuchał, mężczyzna porzucił w końcu tę myśl.

Kiedy Sara weszła do sali, mężczyźni przerwali rozmowy, kierując ku niej zdziwione spojrzenia. Dziewczyna trzymała w rękach wypełnione olejkami nardowym alabastrowe naczynie, które dała jej Maria. Serce waliło jej jak oszalałe.

Pewien faryzeusz imieniem Szymon zaprosił mistrza i jego dwunastu najbliższych uczniów na ucztę. Niedawno Jezus uzdrowił tego człowieka z wysypki. Posiłek już dawno się skończył, ale biesiadujący wciąż jeszcze leżeli przy stole, a czas niespiesznie upływał im na rozmowach.

Sara najchętniej by uciekła, bo czuła się zażenowana faktem, że skupia się na niej uwaga obecnych, tym bardziej, że na czole gospodarza zaznaczyła się zmarszczka niezadowolenia. Uczniowie mistrza też nie wyglądali na zachwyconych jej obecnością. Ale nie było już odwrotu! Sarę wypełniało przemożne poczucie, że musi wypełnić swoje postanowienie, a Maria dodatkowo ją w nim utwierdzała. Sara ze spuszczonej oczami podszła od tyłu do Jezusa i ostrożnie zaczęła wylewać olejek na jego głowę.

– Co ty robisz? – odezwał się przerażony Szymon Piotr.

– Przecież widzisz – pospieszył z wyjaśnieniem Jan, najmłodszy uczeń.

– Namaszcza mu głowę olejkami.

Świadek

Judasz Iskariota potrząsnął z niedowierzaniem głową.

– Olejkiem nardowym! – zawołał. – Jeden jego funt kosztuje trzysta denarów! Mogliśmy go sprzedać, a dochód rozdać ubogim!

Inni mu zawtórowali.

– Cóż za rozrzutność! – zagrzemiał Jakub, starszy brat Jana.

Szymon Piotr postanowił łagodnie przemówić jej do rozsądku.

– Saro, dziewczyno, dlaczego to zrobiłaś?

– Dlaczego, dlaczego? – odpowiedział za dziewczynę Judasz. – Czy takie jak ona w ogóle zadają sobie to pytanie?

– Dajcie jej spokój! – Stanowczy głos Jezusa sprawił, że tamci umilkli. – Dlaczego ją raniecie? Ubogich macie między sobą zawsze, a mnie nie zawsze. Zrobiła dla mnie dobry uczynek. Wylewając na mnie olejek, namaściła moje ciało na pogrzeb – oznajmił mistrz.

– Pogrzeb? – zapytał z wymuszonym uśmiechem gospodarz. Makabryczne żarty z ust nauczyciela były dla niego czymś nowym. Nikt mu jednak nie odpowiedział, wszyscy z zakłopotaniem spuścili głowy. Sara też nie podnosiła oczu.

– Wszędzie na świecie – ciągnął Jezus – będą ją wspominać, opowiadając o tym, co uczyniła.

Po policzkach dziewczyny płynęły łzy; niektóre z nich spadły na stopy mistrza.

20

Piłat, który zamienił wojskowy strój na białą togę z purpurowymi pasami, właśnie zamierzał udać się z żoną do jadalni na lekkie śniadanie, kiedy jeden z jego adiutantów zameldował mu przybycie Lucjusza Sejusza Tuberoną; oznajmił, że trybun pragnie złożyć namiestnikowi raport. Prokurator przeżuł w ustach przekleństwo.

– Zaprowadźcie go do sali audiencyjnej, zaraz go przyjmę! – zawołał.

Oficer zaszalutował i oddalił się.

– Tubero? Kto to taki? – Żona Piłata, Klaudia, uznała, że przekładanie śniadania z powodu audiencji jest czymś niecodziennym.

– Bratanek Sejana. Rozpieszczony chłopczyk, jeszcze zupełnie zielony, ale już przekonany, że wie wszystko najlepiej, i ambitny jak jego stryj. Ku wściekłości załogi narobił już w Antonii niezłego zamieszania. Lepiej zrobię, jeśli nie każę mu czekać.

Klaudia patrzyła na niego w zamyśleniu. Była kobietą po czterdzieście, często pogrążoną w melancholijnym nastroju. Od lat nikt nie widział na jej twarzy uśmiechu.

– Nie pozwól, aby ten trybun wchodził ci na głowę! – odezwała się głosem zdradzającym zatroskanie.

Namiestnik, który skierował się już w stronę drzwi, zatrzymał się nagle.

– Czy kiedykolwiek ktoś wchodził mi na głowę? – zapytał, unosząc brwi.

– Może on jest bratankiem Sejana, ale ty jesteś prokuratorem Judei... – zaczęła kobieta.

– ...i zamierzam nim pozostać, Klaudio. Co się z tobą dzieje? Czy znów miałaś złe sny?

Jego żona odpowiedziała milczeniem, co oznaczało potwierdzenie. Piłat ruszył do sali audiencyjnej. Na miejscu zastał Tuberoną uważnie przyglądającą się popiersiu Heroda Wielkiego.

– To jemu zawdzięczamy ten wspaniały pałac – oznajmił gospodarz. – Nie byłoby więc stosowne, gdybym usunął to popiersie. Witaj, trybunie. – Namiestnik zmusił się do uśmiechu.

– Nie musisz się usprawiedliwiać, prokuratorze. Stary Herod był wiernym sługą Rzymu. Był postacią znacznie większego formatu niż jego syn Antypas, który, jak słyszałem, również przybył do Jerozolimy. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem ci przy śniadaniu.

Piłat gotował się ze złości. Usprawiedliwianie się przed tym smarkaczem było ostatnią rzeczą, która przysłababy mu do głowy.

– Jestem już po śniadaniu, trybunie – odparł. – To pracowite dni, człowiek nie ma wiele czasu na jedzenie. Co cię do mnie sprowadza?

Tubero w końcu przyjął postawę zdradzającą jako taki szacunek.

– Prokuratorze, uznałem, że powinienem złożyć ci raport! – oświadczył.

czył.

– Z pewnością masz ku temu dobre powody – powiedział namiestnik. – Chodzi o oficerów w Antonii? Stwierdziłeś dalsze zaniedbania?

– Tym razem nie. Pamiętasz tego rabbięgo z Galilei, o którym ci mówiłem?

– Jezusa, nieprawdaż?

– Tak, prokuratorze – potwierdził gość. – Tego, któremu oddają cześć jako królowi. Tego, który wywołał niepokoje w świątyni i na którego oburza się wielu żydowskich przełożonych.

– Czy wiesz coś nowego na jego temat?

– Zdążył już rozgniewać nawet arcykapłana Kajfasza – brzmiała odpowiedź.

– Ani to dla mnie nowość, ani mnie to nie dziwi. Poczciwy Kajfasz i jego teść Annasz, który był zresztą jego poprzednikiem, przyszedli do mnie niedawno, aby porozmawiać o tym rabbinie.

– W takim razie wiesz też, że arcykapłan uważa go za bluźniercę – zauważył Tubero.

– Niestety nic nie mogę dla niego zrobić. – Piłat rozłożył bezradnie ręce. – Między nami mówiąc, bawi mnie, że Żydzi potrafią bluźnić własnemu bogu. To ich sprawa, nie nasza. A więc byłeś u Kajfasza?

– Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe – odparł trybun. – To ty mnie w końcu poprosiłeś, żebym dalej badał sprawę Jezusa. Pozwolisz zatem, że się z tobą nie zgodzę. To nie jest wyłącznie sprawa Żydów. Rabbi Jezus zapowiedział, że zburzy świątynię. Jest na to dwudziestu, trzydziestu świadków. Jego zwolennicy wierzą mu, wierzą w każde słowo, które wypowiedzi. A dla mnie jego słowa brzmią jak wezwanie do buntu.

– Ileż to katapult ze sobą przyprowadził? – zapytał drwiąco namiestnik.

– To kwestia poglądów, a nie katapult, prokuratorze – nie dawał za wygraną tamten.

Piłat otarł wierzchem dłoni spocone czoło. Czy naprawdę musiał dalej z wyrozumiałością traktować bratanka Sejana, który zabierał mu tylko czas i zachowywał się tak, jakby sam był prefektem Rzymu? Być może Sejan właśnie w tej sekundzie stracił względy cesarza. Plotki na ten temat krążyły przecież od dawna. Jeżeli prefekt popadł w niełaszkę, to i dla jego bratanka skończyły się dobre dni. Po co więc ta powściągliwość, dlaczego Piłat nie miałby zbesztać Tuberoną tak samo jak każdego, kto zachowuje się wobec niego bezczelnie? Z drugiej strony jednak nie można było wykluczyć, że Sejanowi uda się zachować pozycję, ba! że pewnego dnia sam sięgnie po tytuł cesarza. Poza tym wciąż jeszcze miał on za sobą gwardię pretoriańską. Tłumiąc wściekłość, Piłat postanowił w dalszym ciągu zachowywać się powściągliwie.

– Trybunie – powiedział, wzięwszy głęboki oddech. – Przyznaję, że nie można bagatelizować faktu, że taki chwalipięta jak rabbi z Galilei zapowiada, iż zburzy świątynię. Nie widzę jednak podstaw do tego, żeby pociągnąć go za te słowa do odpowiedzialności. Pamiętaj, że ma wielu zwolenników i ostatecznie to jego aresztowanie mogłoby doprowadzić do rozruchów. Czy masz dla mnie jakąś propozycję?

Do tego właśnie zmierzał trybun.

– Wczoraj wieczorem Sanhedryn w całkowitej tajemnicy postanowił aresztować Jezusa – oznajmił.

– W całkowitej tajemnicy, tak? – powtórzył z kpiną Piłat. – W takim razie dziwię się temu, jak dobrze jesteś poinformowany!

– Niektórzy słudzy Kajfasza całkiem dobrze mówią po łacinie – odparł gość. – Cenią sobie zresztą także rzymskie pieniądze.

– Skoro chcą go aresztować, niech to zrobią. Ale jest to i pozostanie jednak wyłącznie sprawą Żydów. Jeśli chodzi o mnie, mogą sądzić tego bluźniercę, aż brody urosną im do podłogi!

– Prokuratorze, proszą cię, żebyś wzmocnił straż świątynną, która ma go aresztować, oddziałem rzymskich żołnierzy – powiedział Tubero.

– Kto o to prosił?

– Teść arcykapłana.

– Ten stary nie może skończyć ze swoimi intrygami – skrzywił się namiestnik. – Dlaczego tak bardzo mu na tym zależy?

– Uważa, że widok Rzymian powstrzyma zwolenników Jezusa od tego, żeby pospieszyć mu z pomocą.

– Ach tak! W zupełności w to wierzę! – Piłat z trudem powstrzymywał wściekłość. Jakby nie było dość, że panoszył się tu ten młokos, to Annasz, Kajfasz i cały ten przekłety Sanhedryn chcieli go bezzwłocznie wykorzystać. Te zmije doskonale wiedziały, że nie mógł sobie pozwolić na zerwanie współpracy, która dotąd układała się dobrze. Gdyby chociaż sami poprosili go o pomoc! A oni przysyłają tego zżeranego ambicją trybuna, którego żądza poklasku doskonale wpasowywała się w ich plany. – Kiedy zamierzają aresztować rabbiego? – zapytał.

– Po zachodzie słońca, kiedy będą z nim tylko najbliżsi uczniowie – wyjaśnił Tubero. – Na szczęście jeden z nich jest skłonny zdradzić miejsce jego pobytu. Kasa świątynna stała się lżejsza o kilka srebrników, ale chyba to przeboleją. Dzięki temu jego zatrzymanie nie wzbudzi sensacji.

– Cóż, zanosi się na bohaterski czyn!

– Ot, Żydzi. – Trybun rozłożył ręce, uśmiechając się krzywo.

– Nienawidzisz ich, prawda? – zapytał Piłat.

– Z pozwoleniem: ty też raczej nie jesteś znany z miłości do nich. – Znow wypowiedziana prosto w twarz bezzwłoczność.

– Czy pasterz kocha swoje owce? – Namiestnik wzruszył ramionami. – Ilu naszych żołnierzy potrzebują?

– Dwudziestu.

– Dostaną dziesięć – oświadczył Piłat. – Ty będziesz dowodził, trybunie! Weź sobie ludzi z Antonii!

– Wedle rozkazu, prokuratorze!

– Potem będą czekał na twój raport. Aha, jeszcze jedno: tamci trzej bandyci muszą zostać ukrzyżowani jutro, bo inaczej przeszkodzi nam święto Paschy. Dowództwo nad tym oddziałem także chciałbym powierzyć tobie. – Tubero wyglądał na zaskoczonego, ale tylko skiniął głową. – Sam słusznie stwierdziłeś, że oficerowie z Antonii nie radzą sobie z zadaniami. Nie miej im tego za złe, ten nieobliczalny kraj wyniszcza każdego, kto dłużej pełni tu służbę. Ty jesteś młody i świeży, dasz im godny naśladowania przykład!

– Dziękuję ci za zaufanie – odparł trybun. – Nie zawiodę go, prokuratorze!

Piłat starał się ukryć satysfakcję. Ten smarkacz nawet nie zauważył, że właśnie padł ofiarą jego osobistej zemsty. Egzekucja tuż przed świętem

Świadek

Paschy – tamten bardzo się zdziwi, gdy pojmie, co to znaczy!

– Wybacz mi teraz, trybunie! Mam jeszcze dużo pracy – oznajmił.

– Jeszcze jedno słowo, prokuratorze! – zawołał gość.

To było naprawdę nie do uwierzenia. Czym ten natręt chciał go jeszcze zamęczać? Dzisiaj chyba będzie musiał się obyć bez śniadania.

– Tak, trybunie?

– Jest jeszcze coś, o co chciałbym cię poprosić.

Poprosić! Te słowa bądź co bądź nie zapowiadały kolejnego aroganckiego żądania.

– Mów! – zażądał Piłat.

– W Antonii przebywa młody sługa, Grek, który był wcześniej mimem na scenie teatralnej. Przed dwoma laty został skazany i odtąd podlega centurionowi Longinowi.

– Cóż przeszkrobał, że tak nieludzko go ukarano?

– Poważny przypadek obrazy majestatu. Publicznie, przed setkami widzów, na scenie w Tyberiadzie, wyszydził boskiego Tyberiusza i mojego stryja – wyjaśnił trybun.

– Oho, w takim razie potraktowano go całkiem łagodnie – stwierdził namiestnik.

– Jestem tego samego zdania. Jego karna służba niedługo dobiegnie końca, ale w mojej osobistej opinii ten człowiek wcale się nie poprawił. Jest zuchwały i nieposłuszny, odnosi się bez szacunku do przełożonych, a nikt nie gani go za jego zachowanie. Wręcz przeciwnie, panowie oficerowie każą mu się zabawiać.

– Co mogę dla ciebie zrobić, trybunie?

– Ten Grek musi się dowiedzieć, że obrażanie władz Imperium nie pozostaje bez konsekwencji. W Antonii nie miał takiej okazji. Wkrótce wróci do rodzinnego miasta i będzie śmiał się w kulkę, że rzymscy przełożeni tak mu nadskakiwali. Pozwól mi zabrać go ze sobą do Rzymu, żeby spędził tam kolejne dwa lata w mojej służbie. Już ja go nauczę odpowiedniego zachowania.

Piłat musiał się upewnić, czy dobrze zrozumiał.

– Chcesz zabrać tego Greka ze sobą do Rzymu? – zapytał.

– Władza sądownicza jest w twoich rękach. Nikt nie może się sprzeciwić decyzji namiestnika.

Wtedy prokurator pomyślał: Tubero chciał tego młodzieńca dla siebie. Ten smarkacz zawsze dostawał to, na co miał ochotę, a najwyraźniej nie miał ochoty na piękną niewolnicę. Przez moment Piłat bardzo chciał wybuchnąć głośnym śmiechem. Zaraz jednak zaświtała w nim nadzieja, że trybun, jeśli jego życzenie zostanie spełnione, zostawi go odtąd w spokoju. Grecki mim! Czyżby tak wyglądało rozwiązanie? Nic nie przemawiało przeciw temu, żeby jeszcze raz ukarać tamtego młodziana za nieposłuszeństwo. A Tubero byłby wtedy dłużnikiem Piłata.

– Zgoda, trybunie – odezwał się namiestnik. – Przygotuję zawczasu pismo, w którym potwierdzę twoje prawa do niego.

– Dziękuję, prokuratorze. – Tubero spojrział z zadowoleniem za odchodzącym Piłatem.

W Betanii kobiety czekały na powrót Jezusa i jego towarzyszy.

Już wczesnym rankiem rabbi wysłał do miasta dwóch uczniów, aby znaleźli salę i przygotowali wieczerzę. Wszyscy wyczuwali, że mistrzowi bardzo zależało, aby spożyć ten posiłek z dwunastu najbliższymi uczniami. O dziwo, Jezus nazywał go ucztą paschalną, choć święto przypadało dopiero nazajutrz wieczorem. Kobiety jednak już dawno zauważyły, że mimo całej pobożności nauczyciel nie zawsze przejmował się tradycjami.

Oczekujące oddawały się wspomnieniom, rozmawiając o cudach mistrza, których były świadkami. Jego matka Maryja przysłuchiwała się im w milczeniu. Od czasu do czasu na jej ustach pojawiał się pełen melancholii uśmiech. W końcu młoda Maria zdobyła się na odwagę i zapytała ją:

– Nie opowiesz nam, jaki był Jezus, kiedy był dzieckiem? Znamy go tylko jako tego, kim jest teraz, i trudno nam sobie wyobrazić, że kiedyś mógł być psotnikiem.

Nawet Marta, która zwykle ganiła siostrę za jej zuchwałość, spojrzała wyczekująco na matkę mistrza.

– O tak, powiedz nam, czy był wesołym, czy raczej poważnym chłopcem? – zapytała z ciekawością Zuzanna.

– Bywał i tym, i tym – odparła Maryja. – Kiedy dorastał, często szukał ustronnych miejsc. Na moje pytania o to, co robił przez tyle godzin na polach, odpowiadał tylko: „Modliłem się!”. Chętnie pomagał ojcu w warsztacie, był jego prawą ręką, ale nigdy nie ukrywał, że nie uważa pracy cieśli za swoje życiowe powołanie. A psotnikiem też potrafił być, o tak!

– Jesteśmy bardzo ciekawe! – uśmiechnęła się Maria z Magdali.

– Musiał mieć wtedy dwanaście lat – zaczęła Maryja. – Po raz pierwszy zabraliśmy go na święto Paschy do Jerozolimy. Kiedy po uroczystościach wyruszyliśmy w drogę powrotną do domu, byliśmy przekonani, że Jezus jest w grupie pielgrzymów, ze znajomymi. Dopiero wieczorem, kiedy zatrzymaliśmy się na odpoczynek, spostrzegliśmy, że nigdzie go nie ma. Co innego nam pozostawało, skoro troszczyliśmy się o niego, niż wrócić nazajutrz do Jerozolimy, bo chłopiec najwyraźniej został w mieście. Dotarszy tam, znaleźliśmy go...

– ... w świątyni – dokończyła cicho Sara i przestraszyła się, bo jej szept rozbrzmiał w całej izbie. Ale matka Jezusa jedynie skinęła do niej przyjaźnie.

– Tak, w świątyni – potwierdziła. – Siedział tam pośród nauczycieli, słuchał ich, zadawał im pytania i z zapalem uczestniczył w dyskusjach. Zaczęłam mu robić wyrzuty. Jego ojciec i ja byliśmy chorzy ze zmartwienia, bo nie wiedzieliśmy, gdzie się podziewa. „Szukaliście mnie? – odparł zdziwiony. – Nie wiedzieliście, że powinienem być w domu mojego Ojca?” Odtąd nigdy niczego mu już nie wyrzucałam.

Towarzyszki Maryi słuchały jak urzeczone. „Mój dom będzie domem modlitwy, a wy robicie z niego jaskinię zbójców”. Czy to dziwne, że mistrz stracił panowanie nad sobą, kiedy zobaczył, co się stało ze świątynią z czasów jego dzieciństwa?

Wieczór dawno już zapadł, a Jezusa i jego uczniów wciąż nie było widać. Kobiety ogarniało coraz gorsze przeczucie. Raz po raz spoglądały z troskanym wzrokiem w stronę drzwi, ale nikt się w nich nie pojawiał. Żadna z oczekujących nie wypowiadała tego, co wszystkie wyczuwały –

Świadek

coś musiało się stać.

21

Tubero zostawił go w spokoju na ponad dzień, Stefaton myślał więc, że trybun przestał się nim interesować. W południe przekonał się jednak, że tkwił w błędzie – tamten wezwał go do swojego gabinetu.

– Objąłem dowództwo nad oddziałem, który będzie pomagać straży świątynnej w ujęciu pewnego człowieka. Ty będziesz mi towarzyszył jako osobisty sługa! – oznajmił.

Stefaton był zupełnie wyczerpany, bo ostatnie noce spędził głównie na ponurych rozmyślaniach. Wiedział, że nocna wyprawa po raz kolejny nie pozwoli mu spać, a już jutro czekała go wyczerpująca egzekucja.

– Mogę zapytać, kogo aresztujemy? – zapytał szorstkim głosem.

– Rabbiego z Galilei.

Tubero nigdy nie krył swojej niewytłumaczalnej niechęci do Jezusa. Być może skwapliwie wykorzystał wczorajszy dzień, żeby zdobyć kolejnych sprzymierzeńców w walce z nauczycielem.

Nagle Stefaton zupełnie się rozbudził. Sara! Może po długich i bezskutecznych poszukiwaniach znajdzie ją wreszcie wśród towarzyszy nazarejczyka. Jeżeli Jezus, odarty z autorytetu proroka, będzie gnął w lochu, dziewczyna straci powód, żeby być jego uczennicą. Co prawda, szkoda mu było człowieka – Jezusowi nie brakowało charakteru i odwagi – ale musiał przecież wiedzieć, że w Jerozolimie stąpa po niebezpiecznym gruncie.

Dawno już zapadł duszny wieczór, kiedy dotarli do celu, oświetlając sobie drogę pochodniami. Oddział prowadzony przez Judasza Iskariotę, jednego z uczniów Jezusa, a złożony z około czterdziestu ludzi, wszedł na teren ogrodu Getsemani. Był to gaj oliwny położony na wschód od miasta, między doliną potoku Cedron a Górą Oliwną. Zdrajca wskazywał kierunek; lewicy, strażnicy świątynni, mieli przy sobie lekką broń, natomiast dziesięciu rzymskich legionistów, którzy im towarzyszyli, było uzbrojonych po zęby. Tubero, w hełmie z czerwonym pióropuszem, szedł krok w krok za Judaszem, zaś u jego boku kroczył sługa arcykapłana, Malchos. W imieniu swojego pana, Kajfasza, miał dopilnować, żeby wszystko odbyło się tak, jak należy.

Stefatonowi pozwolono przyasać krótki miecz, bo przecież nie mogli przewidzieć rozwoju wydarzeń. Młody człowiek był rozgorączkowany, podobnie jak kiedyś przed spektaklem. Nie należało się jednak spodziewać poważnego starcia; zdrajca twierdził, że z rabbim będzie jedynie garstka najbliższych uczniów. Czy należała do nich Sara? Stefaton postanowił, że zrobi wszystko, żeby ochronić dziewczynę, jeżeli sytuacja stanie się naprawdę groźna.

Już z daleka ujrżeli wysoką, szczupłą sylwetkę, stojącą pod połyskującymi, srebrnymi liśćmi drzewa oliwnego. Stefaton od razu zorientował się, że to Jezus. Każdy, kto choć raz go widział, musiał go rozpoznać. Rabiego otaczało kilku mężczyzn, zapewne uczniów; mistrz był pogrążony z nimi w rozmowie. Po krótkim wahaniu Judasz skierował się prosto ku nim. Za nim podążyli, ciężko stąpając, strażnicy i legioniści. W tej chwili rabbi nie miał już szans, aby się im wymknąć.

Ale Jezus, nawet gdy dojrzał nadchodzących, nie myślał o ucieczce, lecz zupełnie spokojnie wyruszył im naprzeciw; Stefaton po raz kolejny nie mógł nie pomyśleć o nim z podziwem. Stojący przy rabbi uczniowie – byli mim naliczyli ich niecały tuzin; nie było wśród nich kobiet – wyraźnie się zaniepokoiłi. Oddział zatrzymał się kilka kroków przed nimi.

Zapanowała upiorna cisza, mącona tylko przez odgłosy cykad i trzask płonących pochodni, wokół których krążyły ćmy. Wreszcie z grupy przybyłych wystąpił Judasz; stanął przed mistrzem, położył mu dłoń na ramieniu i pocałował go w policzek. Wyglądało na to, że Jezus jest zaskoczony tym gestem.

– Przyjacielu, po co przyszedłeś? – zapytał.

Malchos dał swoim ludziom znak.

– To on! – zawołał. – Bierzcie go i zwiążcie mu ręce!

Nikt jednak nie odważył się poruszyć. Stefaton dostrzegł w ich oczach lęk. Być może i oni uważali rabiego za proroka.

– Na co czekacie?! – warknął sługa Kajfasza.

Tubero był wyraźnie rozbawiony.

– Twój ludzisko mają jakiś problem? Teraz rozumiem, dlaczego arcykapłan nie chciał, żebyście zajęli się tym sami! – zadrwił.

Malchos spojrział na niego gniewnie, po czym wyciągnął miecz, podszedł do Jezusa i przystawił mu ostrze do piersi.

– W imieniu Wysokiej Rady arestuję cię, Jezuso, synu Josefa! – oświadczył.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Coś błysnęło i Malchos z okrzykiem bólu wypuścił miecz z ręki. Trybun donośnym głosem wydał rozkaz i już po kilku sekundach legioniści z bronią w rękę otaczali Jezusa i jego uczniów.

Tym, który zaatakował sługę arcykapłana starym, zardzewiałym mieczem, był uczeń zwany Szymonem Piotrem. Malchos z wykrzywioną buźnią twarzą klęczał na ziemi, przyciskając dłoń do prawego ucha, z którego obficie spływała krew.

– Włóż miecz na swoje miejsce – zganił bojowo nastawionego towarzysza Jezus. – Kto chwyci za miecz, od miecza ginie! Czy myślisz, że nie mógłbym wezwać na pomoc mojego Ojca, a dałby Mi zaraz więcej niż dwanaście legionów anielskich? Ale jak wypełniłyby się wtedy Pisma? – zapytał.

Tubero spojrział pytająco na Stefatona, bo rabbi mówił po aramejsku. Podkomendny szeptem przetłumaczył mu słowa tamtego. Rzymianin się roześmiał.

– Powiedz mu, żeby poprosił swojego czcigodnego ojca o wysłanie tych legionów specjalnie dla mnie! – zawołał. – Dwanaście hufców aniołów! To byłby widok!

Dalsze słowa uwięzły mu w gardle, kiedy zobaczył, że rana Malchosa,

której dotknął Jezus, pochyliwszy się ku słudze, całkowicie znikła. Sługa Kajfasza ostrożnie chwycił się za ucho, a następnie z niedowierzaniem obejrzał czubki swoich palców.

Jezus znów odwrócił się do żołnierzy i strażników.

– Wyszliście z mieczami i kijami jak na rozbójnika, żeby mnie schwytać – powiedział. – Kiedy nauczałem w świątyni, nie aresztowaliście mnie. Ale to jest wasza godzina i panowanie ciemności. – Spojrzał na Judasza, który go zdradził, ale ten odwrócił głowę.

– Związać go i zabrać, bo będziemy tak stać do jutra! – krzyknął trybun do swoich legionistów. I ci jednak zwlekali. – Do roboty, idioci! A może i wy dacieście się omamić jego sztuczkom? Łapcie też od razu tego pieniacza z mieczem!

W tej samej chwili Szymon Piotr wziął nogi za pas, co pozostali uczniowie potraktowali jako znak, żeby rozbiec się we wszystkich kierunkach.

– Ja go złapię! – zawołał Stefaton. Choć nikt nie wydał mu takiego rozkazu, rzucił się w pościg za Piotrem. Ponieważ miał młodsze nogi, dopadł mężczyznę zaraz za gajem i rzucił się na niego. Tamten nie był jednak słabeuszem; zaczął się bronić, ale nagle potknął się o korzeń i runął jak długi na ziemię. Stefaton dobył miecza i przystawił ostrze do szyi sapiącego przeciwnika.

– Jedna z uczennic ma na imię Sara! Gdzie ją znajdę? – zawołał.

Szymon Piotr zacisnął usta na znak, że nie ma zamiaru odpowiadać na to pytanie. W jego oczach malowała się gniewna rozpacz.

– Mów, bo poderżnę ci gardło!

– Dlaczego nie zostawisz go w spokoju? – rozległ się nagle głos z prawej strony. Stał tam inny uczeń, który zauważył, że przyjaciel jest w niebezpieczeństwie. Stefaton rozpoznał go. To on wtedy, na wzgórzu pod Kafarnaum, określił Jezusa mianem słowa, które stało się ciałem.

– Już dobrze, Janie – wydyszał Szymon Piotr. – Pan mnie w końcu ostrzegł, widocznie na to zasłużyłem. „Kto chwyta za miecz...”

Stefaton zawahał się i opuścił broń.

– Gdzie znajdę uczennicę imieniem Sara? – zapytał, zwracając się do obu uczniów jednocześnie i dobitnie akcentując każde słowo.

Leżący dźwignął się, chwytając rękę podaną mu przez towarzysza.

– Proszę, powiedzcie mi! – powiedział błagalnie, ale uczniowie wyraźnie chcieli jak najszybciej opuścić to miejsce. Młody żołnierz daremnie czekał na odpowiedź, aż tamci w końcu zniknęli w ciemności nocy.

Mimo rozczarowania Stefaton doskonale ich rozumiał – dlaczego mieliby zdradzać jednemu z oprawców ich mistrza miejsce pobytu uczennicy? Kiedy wrócił do ogrodu, po respekcie, który mieli dla rabbiniego legioniści i strażnicy, nie pozostał już ani ślad. Pośród drwin popychano związanego do przodu, ku domostwu arcykapłana.

– Uciekł? – chciał wiedzieć Tubero.

– Tak, trybunie – odparł ze skruczą Stefaton.

Było już dawno po północy, kiedy pierwsi roztrzęsieni uczniowie wrócili

do Betanii. Nie było z nimi mistrza, nie było także Szymona Piotra. Młody Jan, ujrawszy dręczone złymi przecuciami kobiety, zlitował się nad nimi i powiedział o tym, co zaszło.

Opowiadał ze ściśniętym gardłem, że wieczorem zatrzymali się w pewnym domu, aby – jak życzył sobie mistrz – spożyć tam wieczerzę. Przez cały czas Jezus był poważny i zamyślony; wciąż mówił o pożegnaniu i śmierci. Poleciał im, żeby w przyszłości spożywali takie posiłki na jego pamiątkę. Chleb nazwał swoim ciałem, a wino swoją krwią. Następnie zaczął mówić o zdradzie; zapowiedział, że jeden z grona najbliższych wyda go w ręce jego przeciwników. Później udali się do ogrodu Getsemani, gdzie mistrz długo modlił się w samotności. Kiedy skończył, zjawili się strażnicy świątyni i Rzymianie. Przeprowadził ich Judasz Iskariota. Aresztowali Jezusa.

– Judasz! – syknęła oburzona Zuzanna. To ona odzyskała mowę jako pierwsza spośród kobiet. – Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego mistrz wybrał go na ucznia!

Wyczerpany Jan pocierał sobie czoło.

– Wszyscy go opuściliśmy – powiedział głucho. – Uciekliśmy jak... jak zające!

– A co mogliście zrobić? – odezwała się Maria, ale jej próba pocieszenia przyjaciela była skazana na porażkę.

– Ty byś nie uciekła, Mario! Ty nie, dobrze to wiem! – pokręcił głową Jan.

Sara się z nim zgadzała. Jej towarzyszka z Magdali miała zapewne więcej odwagi niż wszyscy pozostali.

– Co oni teraz z nim zrobią? – zapytała ucznia przestraszona dziewczyna.

Jan chyba dopiero teraz uświadomił sobie jej obecność. Spojrzał na nią tak, jakby coś sobie przypomniał i potrzebował dłuższej chwili, żeby zrozumieć treść pytania.

– To zależy od tego, o co go oskarżą. Przypuszczam, że zajmie się nim Wysoka Rada. – Jan wciąż wpatrywał się w Sarę, jakby chciał jej coś powiedzieć, ale w końcu zrezygnował.

– A twoje serce przeszyje miecz! – odezwał się nagle czyjś głos.

Spojrzenia wszystkich powędrowały ku matce Jezusa, która wcześniej przysłuchiwała się słowom Jana jak skamieniała. Kobiety spojrzały na siebie zawstydzone, bo żadnej z nich nie przyszło do głowy, żeby zatroszczyć się o Maryję.

– I cóż oni mogą mu zrobić? – wykrzyknęła z pasją Maria, siostra gospodarza. – Jest przecież Mesjaszem!

22

Stefaton obudził się z niespokojnego snu, poczuwszy, że ktoś szarpie go za ramię. Gdzie był? Dlaczego spał pod gołym niebem, oparty o mur? W bladym świetle świtu zobaczył nad sobą nieogoloną twarz jakiegoś legionisty.

– Wstawaj, mimie! – oznajmił tamten. – Wygląda na to, że tutaj już z nim skończyli!

Natychmiast wróciły wspomnienia minionej nocy, wstrząsającego zajścia w Getsemani. Schwytanego rabbiego zaprowadzono najpierw do domu Annasza, a następnie do rezydencji Kajfasza. Właśnie przed tą ostatnią – przypominającą pałac budowlą, położoną opodal zachodniego muru Górnego Miasta – nadal się znajdowali. Stefaton przypomniał sobie również swoje bezskuteczne próby poznania miejsca pobytu Sary.

– Przesłuchiwali go przez całą noc – wyjaśnił legionista. – Teraz domagają się, żebyśmy zabrali go do Piłata, do pretorium. Ruszaj się, bo inaczej trybun zacznie się wściekać!

Stefaton czuł się tak, jakby chwilę wcześniej łamano go kołem. Przed wejściem do budynku stali Tubero i inni, przejmując już od arcykapłan-skich sług Jezusa. Wyprowadzono go ze związanymi rękami.

– Do namiestnika? – zdziwił się młodzieniec. – Przecież mówiono, że to wyłącznie sprawa Żydów!

– Teraz widocznie już nie. – Jego rozmówca zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. – Ty też to widziałeś? Mam na myśli ucho tego sługi...

Stefaton udał, że nie dosłyszał pytania. Miał doprawdy inne zmartwienie niż zastanawianie się nad rzekomymi cudami. Dołączył do reszty oddziału. Tubero nie wyglądał bynajmniej na zmęczonego; cała historia najwyraźniej go ekscytowała.

– Gdzie się podziewasz, Greku? – zawołał. – To nie jest Antonia, w moim oddziale panuje dyscyplina i porządek! W drogę, zabieramy rabbiego do namiestnika!

Trzeba było oddać Jezusowi, że nie dał sobie odebrać godności. Choć jego szata – jak zauważył Stefaton – cała była pokryta brudem i płwocinami, a rany i krwinki na twarzy pozwalały się domyślać, że otrzymał wiele ciosów, choć prowadzono go ulicami Górnego Miasta na powrozie niczym zwierzę na rzeź, szedł wyprostowany, bez słowa skargi. Ten człowiek naprawdę miał w sobie coś z króla.

Do rezydencji prokuratora nie było daleko. Mimo wczesnej godziny na ulicach panował ożywiony ruch, ponieważ był to dzień przygotowania do święta Paschy. Stefaton pomyślał, że wiadomość o pojmaniu Jezusa przez Rzymian na pewno szybko rozejdzie się po mieście.

Podobnie jak poprzedniego dnia, adiutant przeszkodził Piłatowi przy porannym posiłku, tym razem meldując mu przybycie oddziału eskortującego więźnia.

– A to, prokuratorze – podał mu zwój papirusu – przesyła ci arcykapłan.

Piłat wziął pismo, złamał pieczęć, szybko przebiegł wzrokiem po literach, po czym oddał dokument posłańcowi.

– Do sali rozpraw z nim! – zakomenderował niechętnie.

Jego żona poczekała, aż adiutant się oddali.

Piłat machnął z lekceważeniem ręką.

– Och, jeszcze jedna kłótnia między Żydami – oznajmił, ale przeczuwał, że Klaudia nie zadowolony się tym wyjaśnieniem. Włożył do ust daktyla i starał się przeżuwać go jak najdłużej.

– Czy chodzi o tego Jezusa? – zapytała kobieta, można by pomyśleć, że niemal z lękiem.

– Przysporzył sobie kilku znaczących wrogów.

– Dlaczego przyprowadzili go do ciebie?

– Podobno buntuje się przeciwko Rzymowi, nazywając się królem. – O bluźnierstwie w piśmie nie było już mowy.

– Ale to przecież kompletna niedorzeczność, prawda? – dopytywała Klaudia.

Jej lękliwa ciekawość zdziwiła Piłata.

– Cóż, sam go zapytam, co on sobie myśli – odparł. – Dlaczego ten rabbi tak cię interesuje?

Kobieta głośno westchnęła i prokurator natychmiast pożałował, że ją o to zapytał.

– Śnił mi się w nocy – padła odpowiedź.

– Nie powinnaś ciągle zajmować się swoimi snami, Klaudio – powiedział Piłat, który w rzeczywistości odnosił się do widzeń żony z dużym respektem. Już kilka razy okazały się one prorocze, jak choćby tamtego radosnego dnia, w którym Sejan mianował go namiestnikiem Judei; a także, w mniej radosnych okolicznościach, w związku z akweduktem – kobieta przewidziała, że przez zagarnięcie pieniędzy ze skarbcza świątynnego jej mąż przysporzy sobie problemów.

– Ten Galilejczyk jest niewinny! – ciągnęła niewzruszenie Klaudia. – Zostaw go w spokoju, bo krew tego człowieka na zawsze zostanie na twoich rękach!

– Jeżeli nic nie zrobił, nie ma się czego obawiać. Wybacz mi teraz, ale nie mogę się doczekać ponownego spotkania z moim gorliwym przyjacielem Tuberonem.

Piłat wolałby, żeby jego żonie przyśnił się odjazd trybuna. Jak najszybciej chciał się również pozbyć opasłego senatora, który niczym pasożyt zagnieździł się w jego pałacu. Niestety Klaudia śniła jednak o czym innym i namiestnik postanowił potraktować to poważnie.

Jezus już stał pośrodku sali. Niewyspani żołnierze, którzy go przyprowa-

dzili, zasalutowali prokuratorowi, kiedy ten wszedł. Wyraz jego twarzy zdradzał, jak bardzo Piłat nie miał ochoty zajmować się tą sprawą. Przybyły szybko zlustrował wzrokiem rabbiego, po czym pokonał trzy stopnie prowadzące na miejsce sędziego, wyglądził toęę i zajął przewidziane dla siebie miejsce.

– Arcykapłan doniósł mi, że przesyła mi króla – zaczął. – Już pękam z ciekawości. Trybunie?

– Prokuratorze! – Tubero wystąpił, wyciągając oskarżycielsko palec w stronę Jezusa. – Żydzi przez całą noc zastanawiali się, co zrobić z tym Galilejczykiem!

– Sądząc po tym, jak wygląda – stwierdził Piłat – nie tylko się zastanawiali.

– Dać się nazywać królem to jedna rzecz, a samemu się nim tytułować to co innego – oświadczył trybun. – Sanhedryn doszedł do wniosku, że ten człowiek stanowi zagrożenie dla pokoju i porządku publicznego, bo podburza lud. Poza tym nawołuje do niepłacenia podatków!

„Kłamca!” – o mało nie wykrzyknął Stefaton. Dlaczego Tubero przekreśla słowa rabbiego?

– Czy to prawda? – Piłat jakby znudzony wpatrywał się w swój zdobiony szlachetnymi kamieniami pierścień. – No cóż, jak wiadomo, podatków nikt nie lubi płacić.

– Rabbi utrzymuje, że jest prawdziwym władcą, a to prowokacja wobec Rzymu! – nie ustępował trybun.

Piłat potarł sobie czoło.

– Serdecznie dziękuję za przypomnienie, trybunie! – skwitował ironicznie. – Jeżeli pozwolił, to teraz chętnie sam go zapytam o to, co miały znaczyć jego słowa. Rabbi! – Jego uwaga skupiła się teraz wyłącznie na więźniu. – Wygląda na to, że przez swoje zarozumiałe wystąpienia napytałeś sobie biedy – powiedział po grecku. – Czy warto było? Czy ty naprawdę jesteś królem?

Stefaton nie odrywał oczu od Jezusa i nie wierzył własnym uszom, kiedy ten odpowiedział namiestnikowi:

– Ty tak mówisz.

Tubero triumfalnie podniósł głowę, zaś Piłat znów zaczął oglądać pierścień na swojej dłoni.

– Królem czego? – zapytał. – Izraela? Kto cię nim uczynił? Czy możesz mi pokazać dokument, w którym nadano ci ten tytuł? Nie, oczywiście, że nie, a zatem nie jesteś królem. A to chyba wyjaśnia sprawę, prawda, rabbi?

Prokurator spojrział na Jezusa pytająco, ale ten milczał.

– Odpowiedz namiestnikowi! – krzyknął Tubero, gwałtownie szturchając więźnia.

Piłat machnął z lekceważeniem ręką.

– Jego odpowiedzi i tak na nic nam się zdadzą. Czy ten człowiek wzywał do buntu? Nie! Panowie z Wysokiej Rady poprzestają na mglistych sugestiach. Czego oni ode mnie chcą? Czy kiedykolwiek dbali o interesy Rzymu? Dlaczego w ogóle przysyłają mi tego człowieka?

– Czy nie dowodzą w ten sposób swojej odpowiedzialności? – zaproponował trybun.

– Wykazują się odpowiedzialnością zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o ich

interesy – zakpił namiestnik.

– Sam zgodziłeś się na jego zatrzymanie, a w dodatku oddałeś do ich dyspozycji żołnierzy – zauważył Tubero.

– Bo myślałem, że będą mogli go oskarżyć o coś konkretnego, a tymczasem nie wydaje mi się, żeby tak było. A tak przy okazji, przypomniało mi się, że powierzyłem ci kierowanie dzisiejszą egzekucją.

– Możesz być pewien, trybunie, że do godziny trzeciej wszyscy zawisną na krzyżu, prokuratorze – odparł trybun. – Nie zawiodę twojego zaufania.

– Tak, już raz to powiedziałeś, a ja ci ufam. Muszą umrzeć przed godziną dziewiątą, w przeciwnym razie zarządysz *crurifragium*. – Skazańcy umierali w ciągu kilku minut, jeśli nie mieli już sił opierać stóp na podpórce.

– Czy nie powiedziałeś, że nie mogą się spodziewać aktów łaski? – zdziwił się Tubero.

– Ze względu na święto nie pozostaje nam nic innego, trybunie. Musisz o tym pamiętać.

– Wedle rozkazu, prokuratorze. A co z tym rabbim?

– Każę go uwolnić.

– Wysoka Rada zapewne wdrze się do twojego pałacu! – zauważył młodzieniec.

– Nie martw się, trybunie, nie wejdą tutaj. Ryzykują swoją czystość. Inaczej barankiem paschalnym musieliby nakarmić psy – odparł namiestnik.

Kpiący uśmiech na twarzy Piłata nie ukrywał jednak jego zdenerwowania. Prokurator zastanawiał się gorączkowo, jak się pozbyć kłopotu. W końcu przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– Przecież on pochodzi z Galilei – powiedział.

– Z Nazaretu, żeby być ścisłym – dodał Tubero.

– W takim razie nie widzę powodu, dla którego nie miałbym przekazać sprawy Antypasowi. To on jest władcą Galilei, a teraz akurat przebywa w mieście. Zaprowadźcie rabbięgo do niego! Jeśli ten Galilejczyk uważa, że jest królem, będzie mógł spokojnie porozmawiać o tym z tetrarchą.

– Ale...

– Słyszałeś, co powiedziałem, trybunie! – uciął Piłat. – Zrelacjonuj sprawę Antypasowi i poproś go w moim imieniu o zajęcie stanowiska. Jeżeli uzna, że rabbi musi zostać ukarany, to niech nie waha się wydać sprawiedliwego wyroku!

– Jak sobie życzysz, prokuratorze! – Tubero dał swoim ludziom znak ręką. – Zabieramy go do tetrarchy!

Przed pretorium, z którego właśnie wyprowadzano Jezusa, zdążył się już zebrać wielki tłum. Co najmniej w tej chwili pogłoska stała się potwierdzoną informacją – rabbi cudotwórca został uwięziony! Niezależnie od tego, co mu zarzucano, zainteresowali się nim nawet Rzymianie. Niektórzy ze zgromadzonych wykrzykiwali słowa oburzenia, inni z kolei wyli z uciechy i bili brawo, jak gdyby oglądali zabawne widowisko teatralne.

Świadek

Tubero rozkazał swoim podkomendnym wyciągnąć miecze, aby nikt nie wątpił w ich gotowość do stłumienia każdej próby buntu.

Trzy kobiety – Maria z Magdali, matka Jezusa i Sara – na próżno starały się przedrzeć przez cizbę. Udało im się ostatecznie dostrzec wysoką postać Jezusa prowadzonego przez żołnierzy, lecz z powodu nieopisanego zgiełku ich wołanie nie mogło dotrzeć do jego uszu. Nagle Sara dostrzegła wśród eskortujących Stefatona. On z kolei wpatrywał się w tłum, jak gdyby szukał kogoś wzrokiem – czyżby jej?

Na mgnienie oka ich spojrzenia się spotkały. Oszołomiona dziewczyna odwróciła się i ukryła za przyjaciółką z Magdali. Myśl, że jej ukochany należał do oprawców mistrza, była nie do zniesienia. Sara położyła dłoń na mocno bijącym sercu.

23

Za każdym razem, kiedy Herod Antypas przebywał w Jerozolimie, zamieszkiwał w starym Pałacu Hasmoneuszy – imponującej, zwieńczonej dwoma wieżami budowli, która znajdowała się mniej więcej w połowie drogi między rezydencją Piłata a Górą Świątynną.

Stefaton nie był pewien, czy dziewczyna, którą zauważył przed pałacem Kajfasza, była rzeczywiście Sarą, bo za szybko zniknęła mu z oczu. Młody człowiek poważnie zastanawiał się nad tym, czy nie odłączyć się od oddziału i zacząć jej szukać – i pewnie by tak uczynił, gdyby drogi nie zagradzała mu żywa ściana ludzi. W dalszym ciągu doświadczał więc niepewności; ulgi nie przynosił mu bynajmniej widok więźnia, który przecież ponosił winę za jego rozterki. Gdyby choć mógł odczuć szczerą pogardę dla Jezusa!

Zdziwiło go, że Piłat wykręcił się od wydawania wyroku. Co postanowi Antypas? Ani prokurator, ani tetrarcha zwykle nie patyczkowali się z nikim, kiedy mieli okazję do demonstracji swojej siły. Stefaton wiedział o tym z własnego przykrego doświadczenia. Mógł tylko mieć nadzieję, że los oszczędzi mu osobistego spotkania z tetrarchą. O ile ten w ogóle zechce się zająć sprawą Jezusa. Być może miał już dość samozwańcych proroków; zamieszanie wokół Chrzciciela przysporzyło mu – jak było powszechnie wiadomo – tylko problemów.

„Gdyby był już wieczór” – pomyślał młody człowiek. Po tej strasznej nocy czuł się fatalnie; był całkowicie wyczerpany. A przecież czekały go jeszcze egzekucje – za jednym razem mieli przybić do krzyża aż trzech łajdaków. Jak to wszystko znieść?

Kiedy dotarli do Pałacu Hasmoneuszy, Tubero zażądał od strażników, żeby puścili go przed oblicze tetrarchy. Zaprowadzono go więc wraz z więźniem do komnat Antypasa; reszcie oddziału kazano czekać na dziedzińcu. Tam młodzieniec, oparłszy się o jedną z kolumn, przysłuchiwał się rozmowom innych żołnierzy, którzy zakładali się między sobą o to, co tetrarcha postanowi w sprawie Jezusa.

Rozmowy nagle ucichły, gdy oczekujący dostrzegli dwie kobiety, które przechodziły przez podwórze w towarzystwie jakiegoś oficera, a których uroda sprawiła, że żołnierze szeroko rozdziawili usta. Stefaton rozpoznał małżonkę Antypasa Herodiadę i jej córkę Salome. Rozpoznał też Joram, żydowskiego oficera, który przed dwoma laty eskortował go do Jerozolimy.

A więc jego dawny znajomy przebywał w mieście. Młody człowiek pomyślał, że Joram z wielką niechęcią musiał wypełniać zadanie usługiwania tym dwóm niemoralnym istotom. Z dawnego sentymentu miał ochotę zawołać do niego coś pociesającego, choć przecież sam bardzo potrzebował pociechy. Nie zaszczyciwszy Rzymian ani jednym spojrzeniem, Joram zniknął z kobietami w położonym naprzeciwko skrzydle pałacu. Dopiero

wtedy mężczyźni odzyskali mowę.

– Aż chciałoby się być choć przez chwilę na miejscu Antypasa! – powiedział jeden z nich.

– Widzieliście tę małą? To musiała być Salome! Czy ona nie jest niegrzeczna boginią? Niech żyje Wenus! – dodał drugi.

– Uwważaj, Marku, takie odzywki mogą cię kosztować głowę, i wcale nie byłbyś pierwszy! – zarechotał trzeci.

Ich zarty sprawiały Stefatonowi ból. Dziś mierzył go cały świat.

Kiedy Tubero wrócił, jego twarz przypominała chmurę gradową. Wciąż towarzyszył mu związany Jezus, tym razem jednak rabbi miał na sobie bogato zdobiony, purpurowy płaszcz.

– Co się tak gapicie? – warknął trybun na podkomendnych. – Wracamy do Piłata, ale już!

Nikt nie podał informacji, dokąd zabrano Jezusa. Niektórzy gapie twierdzili, że zaprowadzono go do pałacu Antypasa. Maria z Magdali spodziewała się, że oddział niedługo wróci, kobiety zdecydowały się więc czekać przed rezydencją namiestnika. Drżącą o los syna matkę wzięły do środka, starając się dodawać jej otuchy uściskiem dłoni. Tłum już zaczął się przeredzać, kiedy nagle ujrzały przed sobą twarz roztrzęsionego mężczyzny. Doskonale ją znały – to był Szymon Piotr, który nie wrócił wraz z innymi na noc do Betanii.

Ich towarzysz wyglądał jak żywy trup. Bez oporów, ale matowym głosem, patrząc przed siebie pustymi oczami, ten nieustraszony zwykle człowiek opowiedział przyjaciółkom o tym, czego jeszcze nie wiedziały. Jak relacjonował, wybrał się w nocy do willi arcykapłana, dokąd zaprowadzono mistrza. Przez kilka godzin czekał na podwórzu na rozwój wydarzeń, ale choć naciągnął sobie kaptur głęboko na twarz, to i tak został rozpoznany. Wtedy nie raz, a trzy razy zaprzeczył, że jest uczniem Jezusa.

– Musiałeś się ratować! – Maria dodawała mu otuchy, podobnie jak poprzedniej nocy pocieszała strapionego Jana.

– On mi to przepowiedział – odparł głucho Piotr. – Podczas wieczerzy zapowiedział mi, że do świtu trzy razy się go wyprę. „Prędzej za ciebie umrę!”, zawołałem wtedy oburzony. I co? Już kilka godzin później wszyscy go opuściliśmy! Kiedy zaprzeczyłem po raz trzeci, zapał kogut.

– Udowodniłeś, że nie jesteś tchórzem – nie rezygnowała jego przyjaciółka. – Próbowałeś bronić mistrza mieczem przed dużym oddziałem żołnierzy.

Tamten ze smutkiem potrząsnął głową.

– To jeszcze jedno głupstwo, za które Pan mnie skarcił – odparł. – A potem spojrział na mnie wzrokiem, który mówił: „Wciąż jeszcze nie rozumiesz?”. Nie jestem go godzien.

Sara uznała, że musi zabrać głos.

– Jesteś jego pierwszym uczniem – przypomniała. – Mistrz nie wybrał cię bez powodu. Nikt z nas nie jest doskonały. On ci wszystko wybaczy.

Szymon Piotr spojrział na nią tak, jakby była współwinna całemu nie-

szczęściu.

– Jeden z jego oprawców pytał o ciebie, Saro – powiedział pośepnie.

Dziewczyna przestraszyła się, choć te słowa wcale nie były dla niej niespodzianką.

– Będę się za niego modlić – usłyszała własny głos.

– Wrócili! – wrzasnął ktoś na całą ulicę, mając na myśli oddział, który przed niecałą godziną zaprowadził Jezusa do pałacu Antypasa. Wśród oczekujących rozniosła się wieść, że żołnierze weszli do pretorium jednym z tylnych wejść.

Zadowolenie Piłata nie trwało długo. Jeszcze zanim Tubero wrócił z rabim, przed bramą pałacu pojawili się zniecierpliwieni wysłannicy Sanhedrynu, żeby poznać wyrok. Ponieważ namiestnik go nie wydał, a Antypas także nie miał takiego zamiaru, sprawa nadal tkwiła w martwym punkcie. Jakby już sam ten fakt nie był wystarczająco irytujący, przed obliczem prokuratora pojawiła się wkrótce kolejna delegacja – tym razem krewni jednego z trzech skazanych na śmierć przestępców. Powołując się na prawniczy zwyczaj, zapoczątkowany jeszcze za starego króla Heroda, a polegający na uwalnianiu na święto Paschy jednego ze skazańców, rodzina prosiła o ulaskawienie bandyty. Zuchwałość przybyłych tak rozwścieczyła Piłata, że o mało nie rozkazał, aby ich wrącono do lochu.

Zwyczaj amnestionowania więźniów zniósł na początku swojego urzędowania sam namiestnik – do czego doprowadziłoby uwalnianie buntowników i morderców? – a akurat w tym dniu musiano mu o nim przypomnieć. Nie mniej rozzłościł go jego gość, senator Sykstus Salwiusz, który wstawszy dopiero z łóżka, stał się świadkiem jego wybuchu złości i skwitował całą sytuację rubasznym śmiechem. Jak gdyby Tyberiusz wysłał go do Judei po to, aby nabijał się z tego dziwnego kraju i jego przepracowanego namiestnika! Piłat słuchał śmiechu Salwiusza, zaciskając mocno zęby. A teraz na dodatek znów stał przed nim ten uparty rabbi!

Piłat chodził przed nim w tę i z powrotem.

– Herod uznał go za niewinnego? – zapytał trybuna. Ten stał wraz z żołnierzami w półkołu, wokół więźnia. Stefaton starał się pozostawać w cieniu.

Tubero skinął niechętnie głową.

– Antypas chciał, żeby na jego oczach uczynił cud, ale rabbi nawet się nie poruszył i cały czas milczał jak grób – oświadczył.

– Czegóż to oczekiwał tetrarcha? – chciał wiedzieć prokurator.

– Kazał przynieść dzban wody i zażądał od niego, żeby zamienił jego zawartość w wino.

– To podobne do Antypasa! Podobnie zresztą jak płaszcz, którym go okrył. Powiedziałbym, że to taki przyjacielski gest króla wobec króla. A więc okazuje się, że czym innym jest tytułować się jako Galilejczyk królem, a czym innym wymyślać tetrarsze od cudzołożników!

– Ten płaszcz był w zasadzie pomysłem jego małżonki, Herodiady – wyjaśnił Tubero. – Antypas dziękuje ci za zaufanie, prokuratorze, ale prosi,

żeby ci przekazać, iż nie czuje się kompetentny do rozpatrzenia tej sprawy.

Oczywiście, że nie. Czy Pilata mogło to dziwić? Przecież tetrarcha był li sem. Dlaczego miałby pakować się w pułapkę?

– Przed pałacem zebrał się już wielki tłum. Członkowie Rady, kapłani, gapie – zauważył trybun.

– Już poleciłem wzmocnić strażę – odparł namiestnik.

– Żądają, żebyś osądził go publicznie.

Bez tego chyba nie mogło się już obyć. Upór tych ludzi był niewiarygodny, a w Tuberonie, który nienawidził Żydów, paradoksalnie tłuszcza znalazła sprzymierzeńca. Nie było rady, sprawa musiała zostać jakoś załatwiona. Pilat nie mógł dopuścić do tego, żeby Sanhedryn uczynił z niego swoje narzędzie do pozbycia się niewygodnego rabiego.

Prokurator głośno zaklaskał w dłonie, a natychmiast pojawił się obok niego cały zastęp sług.

– Zanieście fotel sędziowski do loggii! – rozkazał. – Będę sprawował sądy na zewnątrz!

Pilat na chwilę zatrzymał się przed Jezusem, a Stefatonowi wydawało się, że musi przezwyciężyć jakiś wewnętrzny opór, żeby spojrzeć więźniowi w oczy.

– Mógłbyś ułatwić sobie sprawę, rabbi Jezusie – oznajmil. – Pytałem cię o to już raz, a teraz pytam po raz drugi: Czy jesteś królem? A może nawet królem Żydów?

Z odpowiedzi, którą usłyszał, przebijała nie tyle przekora, ile politowanie.

– Czy mówisz to sam od siebie, czy też inni powiedzieli ci tak o mnie?

Pilat mimowolnie rzucił trybunowi błagalne spojrzenie.

– Czy ja jestem Żydem?! – krzyknął na podsądnego, stukając się palcem w pierś.

– Przynajmniej odzyskał mowę – zadrwił Tubero.

– To członkowie twojego narodu wydali mi ciebie, Jezusie – ciągnął namiestnik. – Co takiego uczyniłeś oprócz tego, że tytułujesz się królem?

Stefaton był bardzo ciekaw odpowiedzi. Wtedy, na wzgórzu pod Kafarnaum, Jezus nie pozostawił żadnego kłopotliwego pytania bez odpowiedzi, a niedawno w świątyni wręcz zawstydził swoich przeciwników. Jak Pilat sobie z nim poradzi?

– Moje królestwo nie jest z tego świata. Gdyby było z tego świata, moi słudzy walczyliby – oświadczył rabbi.

– Z Rzymianami? Żle by się to dla nich skończyło – zakpił prokurator. – Jeżeli cię dobrze rozumiem... a pytam cię już ostatni raz... naprawdę nazywasz siebie królem?

– To ty mówisz, że jestem królem. Po to się urodziłem i po to przyszedłem na świat, żeby dać świadectwo prawdzie – odparł Jezus.

Pełen rozbawienia chichot, który usłyszał za swoimi plecami namiestnik, zdradził, że drogę na miejsce odnalazł senator Salwiusz. Pilat wziął głęboki oddech. Co jeszcze przygotowali dziś dla niego bogowie?

– A co to jest prawda?

Odpowiedzi na to pytanie prokurator najwyraźniej nie oczekiwał, bo oznajmiono mu, że fotel stoi już w loggii. Z cichym przekleństwem na ustach namiestnik wyszedł na zewnątrz i zwrócił się w stronę zgromadzo-

nego tłumy.

Pojawienie się Piłata sprawiło, że gwar przed pretorium się wzmógł. Przed loggią zebrało się kilkaset osób, przeważnie prostych ludzi, ale w pierwszym rzędzie stali członkowie Rady, kapłani i zwierzchnicy świątyni, a pośrodku nich Kajfasz. Arcykapłan miał na sobie czarną szatę i zaczętnie spoglądał ku górze w stronę Rzymianina. Obok niego niczym adiutant stał jego poprzednik i teść, Annasz. Z obu dostojnikami Piłat stoczył już niejeden spór, ale ogólnie rzecz biorąc, rozumieli się nie najgorzej. Wysoka Rada była zdana na jego życzliwość, zaś namiestnik nie mógł sobie pozwolić na to, aby jej członkowie zaczęli go zwalczać. Teraz wszystko wskazywało na to, że ten pragmatyczny sojusz jest poważnie zagrożony.

Piłat uniósł dłoń, żeby uciszyć tłum. Kiedy zaczął mówić, patrzył prosto na arcykapłana.

– Przyprowadziliście do mnie rabiego Jezusa, żebym go osądził – zaczął. – Przesłuchałem go i nie stwierdzam żadnej jego winy.

– Gdyby nie był przestępcą, nie wydalibyśmy go tobie! – zaproponował Kajfasz.

– Określanie się w sensie filozoficznym królem z punktu widzenia prawa rzymskiego nie jest przestępstwem – odparł prokurator. – Uważacie go za bluźniercę? To bez wątplenia przykre i obraża waszą wiarę, ale tak naprawdę nie jest moim problemem. Powywracał w świątyni stragany handlarzy i wam naubliżał? I to mnie nie obchodzi, bo od tego macie straż świątynną. Dlaczego sami go nie osądzicie, skoro złamał wasze Prawo?

Kajfasz, zanim odpowiedział, szybko naradził się ze swoim teściem.

– Bo nam nie wolno nikogo zabić – odparł wreszcie.

Zaskoczony tą nagłą otwartością, Piłat zmarszczył czoło.

– Chcecie, żebym wydał na niego wyrok śmierci? – zapytał.

Teraz głos zabrał Annasz.

– Gdybyś zbadał sprawę dokładniej, prokuratorze, wiedziałbyś, że ten człowiek ma na sumieniu więcej przestępstw niż tylko nazwanie się królem lub synem Bożym – powiedział.

Cały Annasz! Namiestnik nigdy nie mógł ścierpieć tej starej żmii.

– Nawet Herod Antypas uznał go za niewinnego – zauważył.

Tamten nie był jednak na tyle głupi, by wpaść w tak zastawioną pułapkę. Uwaga, że tetrarcha nie jest Żydem, nie byłaby stosowna przez obliczem namiestnika.

– Jezus z Nazaretu jest podżegaczem ludu – oświadczył zamiast tego teść arcykapłana. – Szerzył swoje prowokacyjne nauki w całym kraju, a ostatnio również w Jerozolimie. Wielu zwolenników uważa go za Mesjasza. Nigdy im tego nie zabronił. Zasłużył na śmierć!

– Wiesz, prokuratorze – dodał chytrze Kajfasz – że w moim narodzie jest wielu ludzi, którzy twierdzą, że Mesjasz wypędzi z naszego kraju Rzymian!

Kilku ukrytych w tłumie ludzi zaczęło bić brawo. Piłat wielkodusznie udał, że tego nie słyszy – cóż innego mu pozostawało?

– Moim zadaniem nie jest zwalczanie mitów waszego narodu, arcykapłanie! – zawołał.

– Zadajemy sobie pytanie, czy tak samo zapatrywaliby się na to cesarz i prefekt Sejan, prokuratorze. Kiedy przesłuchiwałeś Jezusa, a my wszyscy jesteśmy tego świadkami, otwarcie zapowiedział, że powróci u boku Boga, żeby ustanowić tu swoje królestwo.

– Nie wspominając już o jego zamiarze zburzenia świątyni! – uzupełnił Annasz.

– Kiedy już wasz Jezus będzie zstępował z nieba – odparł namiestnik – możecie być pewni, że moje legiony zgotują mu należyte powitanie!

W tłumie rozległy się śmiechy.

– Kiedy aresztowano go w Getsemani, jego uczniowie byli uzbrojeni w miecze – utrzymywał Kajfasz. – Czy zwolennicy niegroźnych filozofów noszą przy sobie broń? Zamierzasz czekać, aż wybuchnie powstanie, a potem twierdzić, że cię nie ostrzegaliśmy?

Przed loggię przyprowadzono tykowatego mężczyznę w stroju faryzeusza.

– Posłuchaj tego człowieka, prokuratorze – zażądał arcykapłan. – Był świadkiem, jak Jezus nauczał w świątyni o tym, żeby nie płacić podatków cesarzowi!

Faryzeusz chrząknął.

– To prawda, panie – odezwał się. – Powiedział: „Dlaczego dajecie cesarzowi coś, co tak naprawdę należy do Boga?”

Z tłumy dały się słyszeć głosy protestu.

– Wcale tak nie powiedział!

– Oszust!

– Chyba masz problemy ze słuchem!

Również wśród członków Rady najwyraźniej nie było jedności.

– Mnie przekazano jego słowa zupełnie inaczej! – zawołał potężnie zbudowany mężczyzna. – Nigdy nie wzywał do niepłacenia podatków!

– A mnie przekazano, że często spotykałeś się z nazarejczykiem, Nikodemie – syknął stary Annasz.

– To prawda, a rozmowy z nim były bardzo zajmujące – odparł tamten.

– Ja w każdym razie nie powiedziałem tu fałszywego świadectwa przeciwko mojemu bliźniemu.

– Czy ty twierdzisz, że... – zaczął teść arcykapłana.

– Moi panowie! – przerwał im Piłat. – Rezydencja namiestnika to nie bazar. – O jednomyślnym potępieniu Jezusa nie mogło być mowy. – Czy masz jeszcze innych świadków? – zapytał obojętnie Annasza.

– Na co mi oni, skoro nie daje się wiary ich słowom? – wzruszył ramionami arcykapłan.

Gwar narastał. Piłat uniósł dłoń, nakazując ciszę. W jego głowie rozbrzmiewał głos: „Zostaw go w spokoju, bo krew tego człowieka na zawsze zostanie na twoich rękach!”. Wiedział, że jego żona stoi gdzieś w ukryciu i wszystkiemu się przysłuchuje.

Nagle przyszła mu do głowy myśl. Pomysł. Nie, znalazł rozwiązanie tego nieznośnego problemu, który spadł na niego niczym uciążliwe przeziębienie. Spojrzył przez ramię do tyłu, gdzie przebieg rozprawy śledzili Tubero, senator Salwiusz i żołnierze. Związany rabbi stał między nimi nieruchomo, jakby był odlany ze spiżu. Nie sposób było powiedzieć, co

nim kierowało, w każdym razie nie sprawiał wrażenia kogoś, kogo życie właśnie ważyło się pośród gwałtownych kłótni.

– Trybunic... – szepnęła Piłat.

Tubero zbliżył się do niego.

– Tak, prokuratorze?

– Jak się nazywa przywódca tej zawszonej bandy morderców, których masz dziś ukrzyżować? – zapytał namiestnik.

– Skąd mam to wiedzieć?

– Dowodzisz oddziałem egzekucyjnym i nie znasz imion trzech skazańców? – Piłat zmarszczył brwi i zwrócił się do pozostałych: – Czy ktoś z was zna jego imię?

– Nazywa się Bar Abbas, prokuratorze – odezwał się Stefaton, bo nikt inny nie pospieszył z odpowiedzią.

– Bar Abbas! Dziwne imię, ale niech będzie... Pewien dawny zwyczaj – zawołał Piłat do tłumu – pozwala mi uwolnić wam na święto Paschy jednego więźnia! – Z satysfakcją zauważył cień przemykający po twarzach arcykapłana i jego towarzyszy. Kiedyś na próżno usiłowali go przekonać, żeby zachował tę tradycję, dlatego trudno im było dziś przeciw niej protestować. – Chciałbym go przywrócić. Daję wam do wyboru dwóch skazańców. Jeden to bandyta i morderca, Bar Abbas, który jeszcze dziś ma umrzeć na krzyżu. Drugim jest Jezus, oskarżany o to, że ogłosił się królem Żydów!

– Przede wszystkim o to, że podburza lud! – Twarz Kajfasza była czerwona z gniewu, ale namiestnik nie zwracał na niego uwagi.

– Zdecydujcie – powiedział – którego z tych dwóch mam uwolnić? Bar Abbasa czy Jezusa? Wybór należy wyłącznie do was!

Pytanie padło nieoczekiwanie, dlatego na kilka sekund zapadła cisza. Potem jednak zebrani zaczęli się przekrzykiwać: „Bar Abbasa!” – wołali jedni, „Jezusa!” – domagali się inni, wybuchł piekielny hałas, a gdzieniegdzie w tłumie ludzie zaczęli się szamotać. Ku swojemu ubolewaniu Piłat uświadomił sobie, że krewni, którzy prosili o ulaskawienie bandyty, stali w środku i krzyczeli najgłośniej. Gdybyż kazał wtedy aresztować tych ludzi! Dłonią dał znak jednemu z żołnierzy, którzy pilnowali porządku pod pretorium. Czoległa się fanfara, oznaczająca przerwę w rozprawie.

Na łysej czasce Piłata, który pospieszenie wrócił do pałacowej sali, perlily się niezliczone kropelki potu.

– Ci Żydzi jeszcze mnie wpędzą do grobu! – poskarżył się.

– Nic nie wiem o jakimś zwyczaju amnestii – oświadczył oschle Tubero.

– Skąd miałbyś wiedzieć? – odparł namiestnik. – Jesteś jeszcze młodzieńcem i po raz pierwszy przebywasz w Judei. Boski Tyberiusz nie raz pouczał mnie w swojej mądrości, żebym szanował tradycje tego kraju, nieprawdaż, senatorze?

Otyły Salwiusz również się pocił, bo mimo wczesnej godziny było już upalnie i parno.

– Tak, pouczał – potwierdził. – Choć tym razem przypomniałeś sobie o tym dość późno. Co chcesz zrobić?

Piłat skinieniem głowy wskazał na Jezusa.

– Zabierzcie go na dziedziniec. Niech go ubiczują tak jak zwykłego skazańca. Potem natychmiast przyprowadźcie go do mnie – polecił. Jeszcze by tego brakowało, żeby ten rabbi nie skamlał ze strachu jak każdy inny,

którego życie wisiało na włosku.

– Wysoka Rada domaga się nie jego biczowania, lecz stracenia! – powiedział Tubero z naciskiem.

– Kto tu jest sędzią? – Piłat demonstracyjnie zwrócił się do Stefatona, bo dostrzegł w nim niskiego rangą żołnierza. – Ty mi powiedz, kto tu jest sędzią!

– Ty, prokuratorze – odparł tamten.

– Słyszeliście? Nawet ten chłopak wie, że ja jestem sędzią! Ani arcykapłan, ani Annasz, ani nikt inny, tylko ja! A tamten ma jeszcze żyć, kiedy z nim wrócicie!

Jezusa znów wyprowadzono. Piłat i Salwusz zostali w pomieszczeniu. Dopiero teraz prokurator zauważył, że w sali jest jeszcze jego żona. Powołał do niej podszedł.

Kobieta posępnym głosem zwróciła się do senatora:

– Jeśli pozwolisz, to chętnie zamieniłabym z namiestnikiem kilka słów w cztery oczy.

– Naturalnie, szlachetna Klaudio – odparł tamten. – Zresztą i tak chciałem obejrzeć biczowanie. Czy to nie osobliwe, jakie męki gotowi są znieść fanatycy?

Żona Piłata popatrzyła za nim ponuro.

– Jeśli ubiczuję rabiego, Klaudio, będą zadowoleni i dadzą mu spokój – odezwał się jakby na usprawiedliwienie prokurator, gdy zostali sami. – Sama słyszałaś, oni są jak drapieżniki. Zrobiłem, co mogłem. W ten sposób przynajmniej ujdzie z życiem.

Kobieta była jeszcze bledsza niż zwykle. Prawie niedostrzegalnie pokręciła głową.

– Obawiam się, że jest już za późno – powiedziała. – Niech jego krew spadnie na tych, którzy ponoszą za to winę!

24

Namiestnik ponownie wszedł do loggii, żeby zająć miejsce na fotelu sędziego; tłum zaczął się już niecierpliwić. Tym razem Piłat nie był sam. Towarzyszył mu trybun, który prowadził przed sobą wysokiego, straszliwie zmaltretowanego człowieka – Jezusa.

Maryja, jego matka, głośno zaszlochała. Maria z Magdali przycisnęła ją do piersi, żeby oszczędzić jej widoku, który sama ledwo mogła znieść. Prerażona Sara mogła tylko zakryć sobie dłonią usta.

Mistrz miał na sobie purpurowy płaszcz. O tym, że nosił go dla drwiny, świadczyło nie tylko rozbawione spojrzenie trybuna, lecz także wykonana ze splecionych gałązek cierni korona, którą włożono mu na głowę. Wbiła się tak głęboko w skórę, że barwa twarzy Jezusa przybrała kolor podobny do płaszcza. Mogło się zresztą wydawać, że ciało więźnia składa się z samych krwawiących ran, a skrepowane na brzuchu dłonie – z żywego mięsa. Mimo straszego bólu, który musiał odczuwać, Jezus błędził wzrokiem po tłumie, jakby kogoś w nim szukał. Kiedy jego spojrzenie zatrzymało się na trzech kobietach, Sara zadrżała. Czy ten umęczony człowiek mógł być Mesjaszem? Czyżby wszyscy się pomylili? On, który leczył zranionych na ciele i duszy, on, uzdrowiciel, sam był teraz pokryty ranami. Ale miłość dziewczyny była niezłomna, a w tej okrutnej chwili, w której po stracie Stefatona po raz kolejny walił się dla niej świat, być może nawet większa niż kiedykolwiek.

Namiestnik cierpliwie uspokajał zgromadzonych, ale rozgorączkowany tłum cichł bardzo powoli. Piłat wyciągnął rękę i wskazał na Jezusa.

– Oto człowiek! – zawołał. – Zobaczcie, czy ta żalсна postać może być Synem Bożym? Kazałem go ubiczować, to wystarczająca kara dla awanturników w jego rodzaju. Nie widzę powodu, żeby go skazać na śmierć!

– W takim razie nadal mamy na ten temat odmienne zdanie! – oświadczył niewzruszony Kajfasz.

– Żądamy uwolnienia Bar Abbasa! – rozległ się okrzyk z ciżby, a inne głosy natychmiast go pochwyciły. – Bar Abbasa! – skandowali teraz nie tylko krewni skazańca. Piłat niechętnie przyjął do wiadomości, że skrzętnie wykorzystano minione pół godziny, żeby podburzyć większość zgromadzonych przeciwko uwolnieniu rabbiniego. Prawdopodobnie stał za tym podstępny Annasz. Namiestnik powinien był wiedzieć, że on i jego zięć nie będą próżnować; wszystko musiało się odbyć zgodnie z ich zamiarami. A on jeszcze sądził, że okazał wyjątkowy spryt!

Tłum nie dawał się uspokoić. Piłat musiał nakazać odegranie kolejnej fanfary, żeby pośród zgietku w ogóle móc dojść do słowa.

– Co w takim razie mam zrobić z Jezusem? – zapytał.

– Ukrzyżuj go! – odpowiedziały niezliczone głosy. – Na krzyż z Galilejczykiem!

Nie docenił ich. Był wściekły na siebie, bo dał się podejść jak nowicjusz. Kajfasz z triumfem spojrzał w górę. Piłat nie mógł znieść jego spojrzenia, dlatego nakazał trybunowi znów wprowadzić więźnia do środka. Powiewając togą, namiestnik pospieszył w ślad za nimi.

Fakt, że po ubiczowaniu Jezus w ogóle trzymał się jeszcze na nogach, graniczył w oczach Stefatona z cudem. Były mim widział już mężczyzn, atletycznych, silnych mężczyzn, którzy nie przeżyli takich razów.

– Mów, co chcesz, ale jego bóg najwyraźniej dodaje mu sił – szepnęła do młodzieńca sąsiad.

Piłat stanął w rozkroku przed oskarżonym.

– Masz, co chciałeś, ty mesjaszu! – krzyknął. – Za wszelką cenę chcę twojej śmierci! Czy warto było?

– Niech żyją dawne zwyczaje! – odezwał się Tubero, nie kryjąc uśmiechu satysfakcji. – Obawiam się, że wrzawa robi się jeszcze większa, jeśli nie dotrzymasz obietnicy, prokuratorze.

Obok imienia Bar Abbasa rozbrzmiewały teraz jeszcze wiwaty na cześć Tyberiusza. Jak gdyby Żydzi nagle pokochali cezara! Piłat był przekonany, że bogowie zapragnęli dziś zrobić z niego głupca.

– Aż serce rośnie! – zakpił senator Salwiusz. – Czyżby ci ludzie mieli się teraz stać lojalnymi, wiernymi poddanymi? Cezar będzie zachwycony, gdy mu o tym opowiem!

Trybun teatralnie pokręcił głową.

– Czy będzie równie zachwycony, kiedy się dowie, że w Judei pojawił się samozwańczy król? – zapytał.

– Oszczędźcie mi tych głupkowatych uwag! – wrzasnęła na nich Piłat. – Jeśli ktoś wątpi w moją lojalność wobec cezara, niech to powie otwarcie. A jeśli nie, to milczcie, bo to ja, na wszystkich bogów, wydaję tutaj wyroki!

Jeszcze raz zwrócił się do Jezusa.

– Zdradzisz nam wreszcie, gdzie leży twoje osobliwe królestwo? – dociękał. – Skąd pochodzisz?

Więzień nie dał mu odpowiedzi.

– Nie odpowiadasz? Czy nie wiesz, że mam władzę cię uwolnić albo ukrzyżować?

Jeżeli ktoś z obecnych sądził, że Jezus nie otworzy już ust, mylił się.

– Nie miałbyś żadnej władzy nade Mną, gdyby ci jej nie dano z góry – wyszeptał krwawiącymi wargami.

Piłat otaksował go wzrokiem, kręcąc bezradnie głową. Do sali wszedł jeden z jego oficerów i zasalutował namiestnikowi.

– Ludzie zaczynają się awanturować, prokuratorze – oznajmił. – Doszło już do rękoczynów. Czy mamy aresztować sprawców?

Zapytany potarł czoło. Dalsze próby były bezcelowe, ta mała próba sił była przegrana. Z powodu upartego Galilejczyka nie zaryzykuje nowych zamieszek. Sprawa z akweduktem przysporzyła mu dość kłopotów. Niech Kajfasz i jego przyjaciele świętują dziś swój mały triumf, przy najbliższej okazji odpłaci im z nawiązką. A Klaudia? Nie mogła od niego oczekiwać, że będzie uzależniał swoje decyzje od jej snów.

– Trybunie! – zawołał. – Ukrzyżujesz tego człowieka zamiast Bar Abba-

Świadek

sa! Oczekuję twojego meldunku, kiedy już będzie po wszystkim!

– Wedle rozkazu, prokuratorze!

Ten zarozumiał, lubujący się w chłopcach gołowąs i bratanek potężnego Sejana też dostał to, czego – nie wiadomo z jakiego powodu – tak bardzo chciał. Piłat nawet nie zaszczylił go spojrzeniem. Odczuwał nieodpartą potrzebę umycia spoconych rąk. Najpierw jednak musiał jeszcze raz wyjść do tłumu, żeby ogłosić wyrok.

25

Po chwili Bar Abbas, niedawny przywódca bandy przydrożnych zbójców, nie mógł uwierzyć własnym uszom. Zdejmując mu kajdany, zapewniono go, że jest wolny. Ponieważ więzień był przekonany, że to tylko okrutny żart strażników, zaczął się bronić i musiał zostać wywleczony z lochu siłą. Uwierzył w swoje szczęście dopiero wtedy, gdy zobaczył swoich krewnych, witających go z nieopisaną radością pod twierdzą Antonia; potem u ich boku czym prędzej opuścił miasto. Tymczasem na ramiona obu jego kompanów włożono poprzeczne belki krzyża i popędzono ich na Golgotę.

Na dziedzińcu pretorium, gdzie Tubero energicznie wydawał rozkazy, pojawił się tymczasem centurion Kasjusz Longin ze swoim sługą Sadokiem. Przybyły nie był zbyt zadowolony z obrotu spraw, ale zarządzenie namiestnika, że oddziałem egzekucyjnym ma dowodzić arogancki trybun, brzmiało jednoznacznie.

– Ach, centurionie! – powitał go Tubero. – Jesteś wreszcie!

– Rozkaz uwolnienia Bar Abbasa bardzo mnie zdziwił – oświadczył setnik.

– Nie masz rozumieć, lecz słuchać. Gdzie pozostali więźniowie?

– Będą czekać na ciebie na Golgocie. Była też mowa o jakimś rabbim, który ma zostać ukrzyżowany razem z nimi...

– Rabbi? O nie, to król Żydów! – odparł kpiąco trybun. – Ty jesteś przecież ekspertem od ich spraw, prawda, centurionie?

– Gdzie on jest?

Tubero wskazał na grupę żołnierzy, których śmiech niósł się po całym dziedzińcu.

– Oddają właśnie ostatnie honory Jego Wysokości!

Longin postanowił przyrzeć się temu człowiekowi z bliska. Zaklął cicho, bo dziś wyjątkowo źle widział. Kiedy pogrąży się w całkowitym mroku?

Żołnierze, którzy otaczali tak zwanego króla Żydów, szydzili sobie z niego w najlepsze. Zalany krwią skazaniec kuczał przed nimi, okryty purpurowym płaszczem. Przyjrzawszy się całej scenie, setnik powrócił do Tuberoa.

– Tego człowieka biczowano więcej niż to jest w zwyczaju, trybunie – oznajmił. – Jest u kresu sił.

– Czego ty nie powiesz! – odparł chłodno tamten.

– Wykluczone, żeby niósł swoje *patibulum* – ciągnął nieustępliwie Longin.

– Jeszcze zobaczysz, co potrafi ten król i mesjasz!

– Po co założono mu wieniec z cierni?

– Cóż, królowi chyba potrzebna jest korona! – Trybun wykrzywił usta w drwiącym uśmiechu.

– Biją go kijami po głowie!

– Odmawiasz im tej drobnej przyjemności? – udał zdziwienie bratanek Sejana. – A teraz dość już, centurionie, zabieramy się do pracy! Gdzie komendant? Czy prokurator nie rozkazał mu wyraźnie, aby dołączył do oddziału egzekucyjnego?

– Kohortus Mellus cierpi na ciężki rozstrój żołądka. Z pewnością poradzimy sobie i bez niego.

– Ach tak, rozstrój żołądka? – zapytał podejrzliwie Tubero.

– To się zdarza – odparł spokojnie setnik.

– Dopilnuj teraz, żeby naszego króla dobrze przywiązano do *patibulum*! – zażądał trybun.

Longin niechętnie wydał odpowiedni rozkaz. Stefaton oraz Sadok chwycili przygotowaną wcześniej czworokątną belkę i podeszli z nią do skazańca. Legioniści tymczasem odebrali Jezusowi purpurowy płaszcz od Antypasa.

Tubero zażądał konia. Jeden z sług przyprowadził parsającego czerwonego deresa.

– Twój koń może się spłoszyć, trybunie, wygląda na nerwowego – uważał centurion. – Jeżeli chcesz, każę przyprowadzić mojego rumaka.

– Nie po raz pierwszy wsiadam na koński grzbiet – odparł szorstko tamten. – Ruszamy, straciliśmy już dość czasu!

W oknie swojej komnaty stała żona Pilata, przyglądając się, jak oddział opuszcza dziedziniec. Po jej policzkach spływały łzy, bo człowiek, którego widziała w swoich snach, niósł na swoich zmasakrowanych ramionach ciężką belkę i chwiejnym krokiem szedł na spotkanie ze śmiercią.

Stefaton, który ciągnął wraz z Sadokiem wózek i tym samym zamykał pochód, raz po raz rozglądał się, wypatrując wśród gapiów znajomej twarzy. Gdzieś w tłumie – był o tym przekonany – musiała się znajdować Sara. Na ulicach roilo się od ludzi nie tylko z powodu święta; wiadomość o skazaniu słynnego rabiego rozeszła się po mieście lotem błyskawicy. Zwracała zwłaszcza uwagę liczba stojących przy ulicach zapłakanych kobiet. Stefaton dostrzegł w ciżbie również zrozpaczoną twarz ucznia imieniem Szymon Piotr. Czyżby ten znów chciał pospieszyć mistrzowi na ratunek z mieczem w dłoni? Młody człowiek przypomniał sobie słowa, które w Getsemani wypowiedział do towarzysza Jezus. Nic jednak nie wskazywało na to, by i dziś Piotr doczekał się interwencji dwunastu legionów anielskich.

Na czele oddziału jechał trybun; jego czerwony pióropusz był widoczny już z daleka. Longin i jego ludzie czujnie eskortowali skazańców, co chwila spychając z drogi gapiów. Jeszcze zanim dotarli do Bramy Efraima, Jezus dwukrotnie upadł. Tubero, z pejcem w dłoni, odwracał się niecierpliwie; brutalnie odpędził kobietę, która klęknęła na ziemi obok więźnia, żeby otrzeć chustą jego zakrwawioną twarz.

– Stawiam dziesięć denarów, że nie dojdzie do Golgoty. – Sadok obserwował wszystko z taką ekscytacją, jak gdyby śledził właśnie wyścigi rydwanów w hipodromie.

– Gdybyś widział, jak gorliwie okładali go batem – odparł głucho jego

towarzysz – jeszcze podniósłbyś stawkę.

Przeszli właśnie przez bramę miasta, kiedy całkowicie wyczerpani rabbi upadł po raz trzeci. Stąd było już widać skałę Golgoty, najeżoną skierowanymi ku niebu palami. Longin szybkim krokiem podszedł do swoich sług.

– Jeden z was musi ponieść krzyż – polecił z naciskiem.

– Nie jestem przestępcą, panie! – zaprotestował Sadok.

– Sprzeciwiasz mi się? – Oficer spojrział na niego gniewnym wzrokiem.

– Już dobrze, ja to zrobię – powiedział Stefaton, kierując się nagłym natchnieniem. Zaimponuje Sarze, kiedy ta zobaczy go niosącego krzyż jej mistrza.

Kiedy centurion wrócił na miejsce z młodzieńcem, dwóch żołnierzy odwiązywało właśnie Jezusa od belki.

– Co to ma znaczyć? – ofuknął setnika Tubero.

– Mój sługa poniesie za niego krzyż – oznajmił tamten.

– Nie robi tego. Poza tym od teraz to mój sługa.

– Twój sługa? – Longin spojrział na niego zdumiony.

– Zapytaj prokuratura – odparł trybun. – Hej, ty! – Uchwytem pejcza wskazał stojącego na skraju drogi mężczyznę, który wydał mu się dostatecznie silny. – Ty będziesz niość krzyż za Galilejczyka! No już, chodź tu! – zawołał.

Mężczyzna, który – sądząc po stroju – wracał właśnie z pracy na polu, prowadził z sobą dwóch chłopców. Malcy trwożliwie uczepili się ojca.

– Nie ruszajcie się z miejsca, dopóki nie wrócę – polecił mężczyzna dzieciom. Kiedy legioniści wkładali mu belkę na ramiona, Stefaton wrócił do swojego wózka. Dlaczego trybun traktował go jak własność? I co miał z tym wspólnego namiestnik?

– Chyba chcesz się podlizzać centurionowi – stwierdził z krzywym uśmiechem Sadok.

– Gdybym tego chciał – burknął jego kolega – zacząłbym to robić już dwa lata temu.

Tymczasem Jezus znów stanął na nogi. Nie był jeszcze zupełnie u kresu sił – bez *patibulum* mógł iść dalej. Skąd czerpał tyle sił?

– To straszne, można by z niego zrobić świetnego gladiatora – powiedział z zalem Sadok.

Droga, która prowadziła teraz pod górę, zwężała się do szerokości ścieżki. Stefaton przepuścił towarzysza i pchał wózek od tyłu. Nagle zrównała się z nim jakaś kobieta. Wyglądała na tak poważną i zdeterminowaną, że młodzieniec nie był w stanie kazać jej się wynosić. W dłoniach nieznamo trzymała małą amforę.

– Dasz to rabbiemu, żeby się napił? – wyszeptala błagalnie.

– Jesteś jego uczennicą! – stwierdził Stefaton.

– Jestem Maria. A to wino zaprawione mirrą, które złagodzi jego ból. – Przynagliła rozmówcę wzrokiem, żeby wziął od niej naczynie.

Stefaton się zawahał.

– Gdzie jest Sara? – zapytał. – Jeżeli mi powiesz, gdzie ją znajdę, zrobię to, czego ode mnie chcesz.

– Zaufaj, że to ona cię znajdzie, jeśli będzie tego chciała!

– Twoje wino za informację. Daję ci wybór! – powtórzył z naciskiem młodzieniec.

Maria pozostała nieugięta.

– Daj mu wino. Jeszcze możesz zostać zbawiony! – oświadczyła.

Stefanon poczuł nagle ukłucie w sercu. Czy kiedyś tak samo nie zwrócił się do niego Chrzyciel? Uczennica zacisnęła usta, jej spojrzenie było niczym ostrze miecza. Młody człowiek szybko wyciągnął rękę po amforę i położył ją w wózku obok innych sprzętów. Maria wmieszała się w tłum.

– Czego chciała od ciebie ta kobieta? – Rozmowa nie umknęła uwadze Sadoka.

– Ach, niczego – odparł pospiesznie Stefanon.

– Mów prawdę, przyjacielu: Co ci dała?

– Wino dla rabbiego.

– To zakazane – powiedział Sadok, patrząc spod przymrużonych powiek. – Będziesz miał z tego powodu duże kłopoty!

– Jeśli jesteś moim przyjacielem, to po prostu trzymaj język za zębami – zażądał jego towarzysz.

Ich uwagę odwróciło zamieszanie, które wybuchło nagle w przedniej części pochodu. Koń trybuna pośliznął się na skalistym podłożu; jeden z legionistów chwycił cugle dźwigającego się na nogi zwierzęcia, żeby je uspokoić. Jeździec jednak klęczał na ziemi i z wykrzywioną z bólu twarzą trzymał się za prawe przedramię.

Tubero miał wielką ochotę przeklinać cały świat i z pewnością by tak czynił, gdyby nie przeszywający ból – brakowało mu tchu, żeby wyrzucić z siebie obelgi.

Centurion Longin patrzył na niego bez większego współczucia, trzymając w dłoniach hełm, który spadł tamtemu z głowy podczas upadku.

– Chyba złamałeś rękę – powiedział rzeczowo. Nie trzeba było zresztą być lekarzem, żeby to stwierdzić. Tubero zagryzł wargi. – Powinieneś być mnie usłuchać, trybunie. Mój Polluks wspinał się tędy już setki razy – dodał setnik.

– Na co czekasz? – syknął tamten. – Krzyże czekają!

– Czy któryś z moich ludzi ma cię odprowadzić do twierdzy?

– Czy nie jestem dowódcą, centurionie? – warknął Tubero. – Moja ręka nic tu nie zmienia! – Młody Rzymianin dźwignął się z trudem i wyrwał Longinowi hełm z rąk. Centurion skinął na swoich ludzi. Skazaniec i mężczyzna niosący jego krzyż zostali pognani do przodu. Od miejsca straceń dzieliło ich już tylko ostatnie, niewielkie wzniesienie.

Tubero utkwiał wrogie spojrzenie w mijającym go Jezusie – cierpiącym, krwawiącym, bliższym śmierci niż życiu, ale nie złamanym. Przeklęty król! Tubero stwierdził, że instynkt go nie mylił – to właśnie ten mężczyzna był ofiarą, której oczekiwał od niego Baal az-Zubab. Pojawił się jak na zawołanie.

Nagle ich spojrzenia spotkały się. Trybun poczuł lodowaty dreszcz. Czyżby skazaniec czytał w jego myślach? Dlaczego nie kierował swojego jeszcze żywego wzroku na drogę, której pokonywanie i tak kosztowało go mnóstwo wysiłku? Tubero nie ukrywał, że uważa go za zagrożenie. Ujął

Jezusa w ogrodzie Getsemani. Pomagał nawet energicznie oprawcom Piłata, którzy okładali biczem przykutego do pręgierza rabiego. Dlaczego zatem nie dostrzegali we wzroku tego umęczonego człowieka nienawiści ani nawet śladu pogardy?

Kiedy tamten przeszedł obok niego, Tubero poczuł nagle, że ból w przedramieniu ustąpił. Nieufnie podniósł rękę, żeby ją obejrzyć – była nienaruszona.

Na Golgocie już na nich czekano. Legioniści powstrzymywali napierających gapiów przed zbliżaniem się do miejsca kaźni. Fulwiusz, najstarszy stażem członek oddziału egzekucyjnego, stanął przed centurionem.

– Wszystko przygotowane! – oznajmił donośnie i otaksował wzrokiem dyszącego mężczyznę, który niósł *patibulum*. – Czy to ten rabbi? Ten biedak wygląda raczej na chłopca.

– To tamten – oznajmił Longin, wskazując na Jezusa.

– Przecież król sam nie nosi swojego krzyża – zauważył drwiąco jeden z żołnierzy.

– Może i tak, ale zaraz zawisnąć na nim w całym swoim majestacie. – Fulwiusz podszedł do skażanica, żeby bliżej mu się przyjrzeć. Jezus zataczał się – prawdopodobnie miał gorączkę – ale wciąż trzymał się na nogach i spokojnie znosił wzrok Rzymianina.

– Korona z cierni, tak? Niezły pomysł! Na bogów, co oni z nim robili? – dziwił się legionista.

– Zaczynamy – odezwał się niecierpliwie Longin. – Ty – zwrócił się do pomocnika Jezusa, któremu tymczasem zdjęto już z ramion belkę – mozesz stąd zniknąć! Wracaj do swoich dzieci.

Sapiąc ciężko, mężczyzna spojrział na skażanica, jak gdyby żał mu go było zostawić. Dopiero ostry kuksaniec wymierzony przez jednego z żołnierzy skłonił go do opuszczenia miejsca straceń.

– Rozbierzcie tego króla – nakazał Fulwiusz dwóm legionistom. Wzrokiem znawcy obejrzał zakrwawioną tunikę. Bądź co bądź, była ona doskonałym wyrobem tkackim, wykonanym bez użycia nici, barwionym sokiem z orzecha. Później – jak to było w zwyczaju – mieli rzucać kośćmi o to, kto ją otrzyma. Kiedy pozbawiony odzienia Jezus, już tylko w przepasce, stanął przed swoimi katami, z ran po biczowaniu na nowo zaczęła wypływać krew.

Fulwiusz pokręcił głową.

– Czy oni obdzierali go ze skóry? – jęknął. – Na Marsa, ktoś chciał nas pozbawić pracy!

– Zanim przybijecie go do krzyża, zdejmijcie mu tę przeklętą koronę! – polecił Longin.

Jego zastępca wskazał na obu współników Bar Abbasa, którzy przywiązani do poprzecznych belek leżeli, jęcząc w pyle u stóp pali.

– Trzech łotrów, to się nie zdarza co dzień! – powiedział. – Kogo mamy wziąć do środka? Czy są jakieś instrukcje?

– Zapytaj trybuna – odparł setnik. – On tu dowodzi.

Uwagi centuriona nie umknął fakt, że Tubero zrobił się dziwnie cichy. Stał za nim, z obojętnym wyrazem twarzy, jak gdyby był tylko widzem.

– Trybunie? – Fulwiusz podszedł do młodzieńca. – Jak brzmi twój rozkaz?

Tubero spojrział na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Który z tych gagatków ma zawisnąć pośrodku? – powtórzył żołnierz.

– Król – zabrzmiała ledwie słyszalna odpowiedź.

– Jasne, król, któżby inny! Wedle rozkazu, trybunie! – potwierdził Fulwiusz, rzucając Longinowi spojrzenie, które mówiło; „Co się z tym chłopem dzieje?”.

Setnik sam zadawał sobie to pytanie. Najwyraźniej złamana ręka dawała się młodemu dygnitarzowi we znaki bardziej, niż chciał przyznać. Z drugiej strony – o dziwo! – wcale nie wyglądała już na zranioną.

Fulwiusz zaklaskał w dłonie.

– No dobra, ludzie, słyszeliście, co powiedział trybun! – zawołał. – Króla dajemy na środek. Zaczynamy od jego dwóch towarzyszy. Dostaną honorowe miejsca po bokach władcy!

Wkrótce potem rozległy się uderzenia młotka i przeraźliwe krzyki.

– Wypij to, rabbi! Pospiesz się!

Stefaton podał Jezusowi drewnianą miseczkę, do której przelał otrzymane od Marii wino. Inni wciąż jeszcze byli zajęci obu bandytami. Pozostała im tylko krótka chwila.

– Wypij, to złagodzi twój ból! – nalegał młody człowiek, przykładając rabbiemu miseczkę do ust. Ale Jezus, kucający w oczekiwaniu na egzekucję przed swoją belką, prawie niezauważalnie potrząsnął głową. Stefatonowi wydawało się, że tamtemu jest go żal. Jak gdyby to sam Jezus nie był tym, który zasługiwał na największe współczucie.

– A co ty tam robisz? – Ostry głos Fulwiusza sprawił, że młodzieniec się wzdrygnął. Żołnierz gwałtownie wyrwał mu miseczkę w dłoni, powąchał jej zawartość i skosztował. – No, proszę! – powiedział, oblizując usta. Upił jeszcze jeden łyk, a potem powalił Stefatona na ziemię niespodziewanym uderzeniem pięści.

– Co to ma znaczyć? Dlaczego go bijesz? – oburzył się nadchodzący Longin.

– Nasz mim chciał dać królowi wino z ziołami, centurionie! – wyjaśnił zapytany.

– A nawet jeśli, to co? – zapytał setnik. – Ruszcie się, kolej na rabbiego! Nie mamy całego dnia!

Stefatonowi dudniło w głowie, przez chwilę otaczała go zupełna ciemność.

– Co ci mówiłem? – jakby z oddali usłyszał głos Sadoka. A potem kolejne uderzenia młotka. Kiedy doszedł do siebie, Jezus wisiał już na krzyżu.

– Ojciec, przebac im, bo nie wiedzą, co czynią! – Jezus, wypowiadając te słowa, patrzył na Jerozolimę, jak gdyby mimo żalosnego położenia, w którym się znajdował, stanowiła ona jego własność. Stefaton przypominał

Świadek

sobie, że wtedy, na wzgórzu pod Kafarnaum, nauczyciel oznajmił, iż Jerozolima to miasto wielkiego Króla.

26

– Pizon Aleator, a któżby inny? On zawsze wygrywa. Zadaję sobie pytanie, czy z jego kości jest wszystko w porządku. W swojej przeklętej ciemnicy ma mnóstwo czasu, żeby je oznaczyć. – Sadok przyglądał się z ciekawością, jak w pewnym oddaleniu od krzyży Fulwiusz i czterej inni żołnierze grali w kości o zakrwawioną odzież skazańca. W tym czasie Stefaton wodził wzrokiem po tłumie. Gdzie jest Sara?

Do strażników zagradzających drogę na plac straceń podeszła grupa około dziesięciu wysłanników ze świątyni z żądaniem, żeby przepuścić ich pod krzyż rabbiego. Ponieważ Tubero, który obojętnie – ba!, apatycznie – siedział na pobliskim głazie, najwyraźniej nie chciał podejmować już jakichkolwiek decyzji; pozwolenia udzielił im Longin. Jednocześnie na miejsce kaźni dotarła grupa oficerów Piłata, którzy podali centurionowi drewnianą tabliczkę.

– Rozkaz prokuratora: macie umieścić to na krzyżu Galilejczyka! – oznajmił jeden z nich.

Ślepnące oczy setnika z trudem rozszyfrowały napis: „Jezus Nazarejczyk, król Żydów”. Był sporządzony po łacinie, a oprócz tego w językach hebrajskim i greckim.

– Wedle życzenia! – odparł Longin. Niezależnie od tego, z kogo Piłat chciał w ten sposób zadrwić – z rabbiego, z jego oskarżycieli czy ze wszystkich naraz – rozkaz był rozkazem. Centurion skinieniem dłoni przywołał Fulwiusza, którego przegrana w kości wprawiła w zły humor.

– Masz, każ to przybić do krzyża! – polecił, wskazując głową środkowy pal.

– Rex... *Iudaeorum* – przeczytał tamten nie bez wysiłku, a na jego ustach znów wykwitł drwiący uśmiech. – Już się robi! – powiedział i z tabliczką w dłoni podszedł do Sadoka.

– Zobacz, chłopcze, potrafisz to przeczytać? – Pokazał mu napis. – Rex *Iudaeorum*! Uważam, że coś takiego powinien umieścić na krzyżu Żyd, poddany tego wspaniałego króla! Ktoś taki jak ty! Bierz drabinę i przybij mu to nad głową!

– Nie jestem Żydem – odezwał się cicho Sadok.

– A właśnie, że jesteś! – warknął Fulwiusz. – Osioł nie stanie się koniem, nawet gdyby bardzo chciał. Już, do roboty!

Wyraźnie było widać, że w młodzieńcu toczy się wewnętrzna walka. Zanim jednak po raz kolejny sprzeciwił się sadystycznemu legionście, Stefaton pociągnął go za ramię.

– Pomogę ci! – szepnął do niego.

Kiedy wspólnie oparli drabinę od przodu o drewnianą konstrukcję, Sadok wspiął się po niej z tabliczką po pachą i długim gwoździem w ustach. Jego towarzysz podał mu młotek. Sługa centuriona z cichym przekleństwem przybił kawałek drewna zaledwie o szerokość dłoni nad głową

ukrzyżowanego.

– Pięknym jesteś królem! – syknął, po czym wrócił na dół.

Jeden z kapłanów zwrócił się z oburzeniem do Longina:

– Król Żydów? Powinno być napisane, że twierdził, iż jest królem Żydów!

– W takim razie idź do prokuratora i poskarż się jemu – odparł niewzruszony setnik.

– To na nic – zauważył inny z wysłanników. – Wiemy przecież, że Piłat ma osobliwe poczucie humoru. – Zmrużył oczy i spojrzał na skazańca. Jezus wciąż jeszcze był całkowicie przytomny. – No i co, królu Izraela, Mesjaszu, Synu Boży... A może zapomniałem o jakimś tytule? – odezwał się z drwiną.

– Burzyciel świątyni! – podsunął jego sąsiad.

– To prawda, świątynię też chciał zburzyć. Dziś może ją sobie obejrzeć z krzyża. Czy to prawda, Jezusie, że chciałeś ją odbudować w ciągu trzech dni? Jeśli dokonałeś tylu cudów, o ilu opowiadają ludzie, to dlaczego nie chcesz pomóc sam sobie?

– Tak, dlaczego nie zejdziesz z krzyża, skoro jesteś Mesjaszem? – wydyszał ukrzyżowany po lewej stronie rabbiego.

– Zamilcz, Gestasio – skarcił go jego kompan. – Czy nie widzisz, że to pobożny i święty człowiek?

– Gdyby był pobożnym i świętym człowiekiem – zaśmiał się jeden z kapłanów – to by tam nie wisiał. Jeśli jednak zejdziesz z krzyża, Jezusie, będziemy wiedzieli, że jesteś Mesjaszem, a my wszyscy się myliliśmy. Arcykapłan przyjdzie do ciebie na kolanach, żeby błagać cię o przebaczenie!

– Dość! – zawołał Longin. Ci kapłani, uczeni w piśmie, faryzeusze i zwierzchnicy świątyni przyszli tylko po to, żeby sobie szydzić z ukrzyżowanego nieszczęśnika. Jakże bardzo musieli go nienawidzić! Oficer pomyślał jednak, że nawet od ukrzyżowanego Jezusa bije większa charyzma niż od tamtych. – Wracajcie za pierścień straży! – zarządził.

– O ile wiem, egzekucją dowodzisz nie ty, lecz młody trybun z Rzymu. – Dobrze poinformowany kapłan wskazał na Tuberona, który siedział z boku na gładzie.

Tamten nieoczekiwanie poparł jednak podwładnego.

– Słyszeliście, co powiedział centurion – oświadczył głuchym głosem.

Kapłani wymienili pytające spojrzenia i zgodzili się milcząco, że nie będą zadzierać z Rzymianami. Tak czy owak, mogli donieść arcykapłanowi, że wszystko przebiegło zgodnie z planem. Bez słowa pożegnania odwrócili się i z powiewającymi na wietrze szatami opuścili miejsce straceń.

– Jezusie, pamiętaj o mnie, kiedy przyjdiesz do swego królestwa! – odezwał się nagle jeden ze skazańców.

Longin chciał już zbesztać bandytów – kiedy wreszcie przestaną dręczyć rabbiego? – ale zanim zdążył otworzyć usta, Jezus odparł:

– Jeszcze dziś będziesz ze mną w raju, Dyzmo!

„No cóż, każdy dostanie to, na co zasłużył” – pomyślał setnik.

Jeden z legionistów zameldował przybycie kolejnego gościa, Sekstusa Salwiusza. Dwóch niewolników pomogło senatorowi opuścić lektykę. Salwiusz, przyglądając się trójce ukrzyżowanych, otarł sobie chustką pot z czoła.

– Na Merkurego, już cuchną! – skrzywił się.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić, senatorze? – zapytał bezbarwnym głosem Longin.

– Gdzie jest trybun?

– Tam, za nami. Źle się czuje – wyjaśnił centurion.

– A Mellus? Jest tutaj? Prokurator wyraźnie rozkazał, żeby brał udział w egzekucji...

– Kohortus ma ciężki roztrój żołądka.

– Jaka szkoda! – zawołał Salwiusz. – Namiestnik chyba nie będzie zadowolony z niedyspozycyjności swoich podwładnych. I to akurat w takim dniu! – Grubas cmoknął z dezaprobatą. – Ile czasu potrwa, zanim zdechną?

– Trudno powiedzieć, senatorze. Lecz ze względu na święto prokurator...

– Wiem, wiem, *crurifragium*! Ohydna procedura, ale chyba konieczna. No cóż, ja tak długo tu nie zostanę. Powiedziałeś, że trybun źle się czuje?

– Tak, senatorze – potwierdził Longin.

Salwiusz skinieniem dłoni przywołał setnika do siebie.

– Tak między nami mówiąc, ten rozpieszczony chłopczyk daleko nie zajdzie, jak myślisz? – zapytał.

Longin nie miał zamiaru podlizywać się mu ani tym bardziej wpaść w pułapkę. Gdybyż nieproszony gość wreszcie zniknął! Trudno mu było jednak rozkazywać temu opastemu wieprzowi.

– Nie mogę ani nie chcę tego oceniać, senatorze – odpowiedział.

– A co z rabbim? Czy po wydaniu wyroku trochę spokorniał? – chciał wiedzieć Salwiusz.

– To zależy, co przez to rozumiesz. Przed chwilą prosił swojego boga, żeby nam wszystkim wybaczył.

Salwiusz zarżał rozbawiony i znów spojrzał na Jezusa.

– Chcesz, żeby niebiosa nam wybaczyły, rabbi? – zawołał. – Co takiego mają nam wybaczyć? Umierasz tutaj, bo Rzym wydał na ciebie wyrok! Czyżbyś stawiał się ponad Rzymem?

– Zostaw go, proszę – starał się go uspokoić Longin.

– Ja jeszcze z nim nie skończyłem, centurionie! – odparł tamten.

Co takiego uczynił ten Jezus, że tylu ludzi chciało go upokorzyć? Nie wyglądało na to, żeby rabbi miał zamiar odpowiedzieć senatorowi; patrzył na niego tylko spod opuchniętych powiek.

– Twój bóg nie ma mi nic do wybaczenia, Żydzie! – ciągnął Salwiusz. – Za kilka godzin będziesz martwy. Kiedy robaki dobiorą się do twojego truchła, ja wciąż będę żył, a twój bóg nic nie będzie mógł na to poradzić!

– Ależ go zżera pycha – szepnął Stefaton do swojego towarzysza. Salwiusz krzyczał tak głośno, że wszyscy zwrócili na niego uwagę.

– Ale ma rację – wzruszył ramionami Sadok.

Tymczasem południowe słońce zasłoniły chmury. Na zachodzie niebo głoźnie pociemniało. Odległy grzmot sprawił, że Salwiusz przerwał swoją tyradę.

– Idzie burza – stwierdził i ruchem ręki przywołał swoich lektykarzy. – Idziemy, zabierzcie mnie stąd! – Miał już dość załamań pogody.

Czas powoli mijał. Niebo robiło się coraz mroczniejsze. Od czasu do czasu rozświetlały je dalekie błyskawice, a nad Golgotą zerwał się gorący wiatr, sypiąc kurz w twarze zgromadzonych.

– Eloi, eloi, lema sabachtani! – zawołał zadziwiająco mocnym głosem Jezus, kierując oczy w czarne niebo. Jego ciało przeszył gwałtowny dreszcz.

Fulwiusz zaśmiał się głucho.

– Teraz i twój Eliaz już ci nie pomoże, królu Żydów! – zawołał.

Inni żołnierze, którzy wcześniej drwili ze skazańca, znacznie spuścili z tonu. Jezus zamknął oczy, jego usta poruszały się bezgłośnie. Stefaton domyślił się, że skazaniec odmawia modlitwę.

Tubero w bezruchu kucał na skale, odwrócony plecami od ukrzyżowanych i wpatrzony w nadciągającą burzę. Zrobiło się prawie tak ciemno jak w nocy. Prawie tak jak tamtej nocy. Obrazy jeszcze raz stanęły mu przed oczami...

Wtedy, dwa tygodnie temu u wybrzeży Cypru, wszystko zaczęło się podobnie. Rozszalała się nad nimi być może najstraszniejsza burza, jaką pamiętała załoga. Bezbronni wobec potężnych żywiołów, ukryci pod pokładem statku, drżeli o własne życie. Kapitan kazał wyrzucić za burtę niewolnika, licząc, że w ten sposób obłaskawi bogów. Ale jeden z towarzyszy podróży, stary Arab, który do tej pory niewiele się odzywał, oświadczył nagle, że ofiara z niewolnika nie ułagodzi niczyjego gniewu.

– W takim razie może powinniśmy wrzucić do wody ciebie! – wrzasnął przerażony senator. Musieli do siebie krzyczeć, żeby ich głosów nie zagłuszał huk fal.

– Możecie spróbować, ale obawiam się, że i moje życie nie wystarczy Baal az-Zubabowi – odparł niewzruszony starzec. Zrozumieli, że ten niezwykle mężczyzna musi być kapłanem jakiegoś tajemniczego kultu.

– Co w takim razie możemy zrobić, żeby zadowolić boga, o którym mówisz? – zapytał kapitan.

– Ofiara musi być królem! – padła odpowiedź.

– Ach, czyżby to było aż takie proste? Tak się jednak pechowo składa, że wśród moich pasażerów nie ma ani jednego monarchy! – zadrwił marynarz.

– Przysięgnijcie Baal az-Zubabowi, że złożycie mu ofiarę w ciągu miesiąca, a przeżyjecie burzę! – oświadczył spokojnie Arab.

Być może jego bóg był rzeczywiście potężniejszy niż wszyscy inni, którzy zresztą i tak nigdy nie pomagali, gdy się ich o coś prosiło.

– Przysięgam Baal az-Zubabowi, że złożę mu tę ofiarę! – oznajmił zdecydowanym głosem Tubero. W końcu chodziło o ich życie.

– A kogóż twój bóg uznaje za króla? – Pomimo strachu Salwiusz, jak rasowy adwokat, chciał się zabezpieczyć.

– Każdego, kogo uczynią nim ludzie – brzmiała zagadkowa odpowiedź Araba; znacznie ułatwiała im zadanie.

Czarne chmury dotarły nad Golgotę. Głos setnika sprawił, że Tubero wrócił do terażniejszości.

– Jak myślisz, trybunie? – zapytał Longin. – Czy to przypadek, że w środku dnia zrobiło się tak ciemno?

Tubero nasłuchiwał, czy w jego głosie nie zabrzmiał wroga nuta, ale tym razem takiej nie wychwytał.

– Nie jestem prorokiem, centurionie – odparł. – Być może ten rabbi jest jednym z nich, ale ja nie.

Obok nich pojawił się Pizon Aleator.

– Jaka kobieta prosi, żeby ją przepuszczono do skazańca – zameldował z powagą w głosie. – Twierdzi, że jest jego matką.

Longin zgodził się skinieniem głowy, zaś Tubero znów pogрузzył się w dręczących rozmyślaniach.

Z powodu zbliżającej się nawałnicy szeregi gapiów przerzedziły się, dzięki czemu strażnicy mogli rozluźnić pierścien wokół placu. Uwagę Stefatona zwróciła grupa płaczących kobiet, które stały w pewnej odległości od krzyża. Był z nimi również uczeń imieniem Jan. Innych towarzyszy Jezusa nie było, zapewne nie znieśliby widoku konającego mistrza. Pizon Aleator podszedł do krzyża wraz z Janem i jedną z kobiet.

– To jego matka – szepnął Sadok do swojego kolegi, ale oczy tamtego znów kogoś szukały. I w końcu odnalazły – Stefaton ujrzał Sarę. Stojąc obok Marii, tej, która podała mu wino z korzeniami, dziewczyna wpatrywała się z przerażeniem w umierającego. Młody człowiek pomyślał z udręką, że na niego nawet nie chce spojrzeć.

Ciałem ukrzyżowanego wstrząsały coraz silniejsze drgawki. Mimo to Jezus najwyraźniej był jeszcze w stanie rozmawiać ze swoją matką i uczniem.

– Chodź, posłuchamy, co mówią. – Ciekawość Sadoka była trudna do zniesienia. Jeszcze trudniej było jednak wytrzymać wzgardę Sary, były mim podążył więc ze swoim towarzyszem. Maryja przycisnęła czoło do przybitych do krzyża stóp syna, jak gdyby własnymi łzami chciała zmyć z nich krew. Na ten widok Stefaton poczuł wstrząs, a zarazem rozgniewał się na siebie – czy nie zakazał sobie odczuwania wszelkiej litości? Jak inaczej przetrwa to wszystko, co działo się wokół niego?

Uczeń zwany Janem objął pocieszająco matkę skazańca, na której twarzy widniały plamy jego krwi.

– Pragnę – wyszeptał Jezus. Jak to możliwe, że z tak wyschniętym gardłem był jeszcze w stanie mówić?

– Poproś swojego Eliasza, on ci da wyborne wino! – zadrwił Fulwiusz.

– Dajcie mu poski! – polecił gniewnie Longin.

– Tak jest, centurionie! – zawołał jego zastępca i spojrzął na Stefatona. – Ach, nasz młody Grek! Czy to nie ty martwiłeś się o jego samopoczucie? Słyszałeś, co powiedział centurion. Teraz możesz podać temu człowiekowi coś do picia. – Nałożył leżącą w pobliżu gąbkę na gałązkę hizopu, zanurzył ją w wiadrze i podał młodzieńcowi. – Masz, daj mu, skoro Eliasz każe na siebie czekać. Nie smakuje co prawda jak prawdziwe wino, ale lepsze to niż nic.

Stefatonowi drżały ręce, kiedy podnosił nasyconą octem gąbkę i przykładła ją do ust ukrzyżowanego. Wtedy w Tyberiadzie, w dniu, który zmienił całe jego życie, to on wisiał na krzyżu i pił podany mu ocet. Ale

rabbi wbrew temu, co powiedział, nie odczuwał chyba wielkiego pragnienia, bo odwrócił głowę. Być może zresztą oszczędzał siły, które mu pozostały, żeby nabierać powietrza w płuca.

– Pij! – zachęcił go Stefaton i dodał szeptem: – Tym razem nie jest to wino zaprawione mirrą, tylko woda z octem, ale co innego mogę dla ciebie zrobić?

I rzeczywiście, po tych słowach Jezus upił trochę płynu. Potem spojrzal w czarne jak smoła niebo i zawołał ostatkiem sił:

– Ojczy, w Twoje ręce oddaję mego ducha!

W tej samej chwili rozległ się ogłuszający grzmot.

– Która godzina? – zapytał Longin jednego z żołnierzy.

– Około dziewiątej, centurionie – padła odpowiedź.

– Dobrze. W takim razie zakończmy całą sprawę, zanim trafi w nas piorun. – Setnik zwrócił się do swojego zastępcy: – Fulwiuszu! Dopilnuj, żeby połamano im kości nóg!

Fulwiusz skinął głową, wziął dwie maczugi i podał je swoim podkomendnym.

– *Crurifragium*, ludzie! I pospieszcie się! – zawołał. – Dziś będziecie mogli wcześniej wrócić do Antonii!

Nad Golgotą rozległ się makabryczny odgłos miażdżonych kości i przeraźliwe wycie ukrzyżowanych; niebo rozświetliła błyskawica, a potem dały się słyszeć kolejne grzmoty.

– Na co czekacie?! – wrzasnął Fulwiusz. – Królowi też!

– Ale... ale on już nie żyje! – odpowiedział jeden z legionistów.

– No i co z tego? Połamcie mu nogi, osły, żebyśmy mieli pewność!

– Poczekajcie! – Longin stanął między ociągającymi się oprawcami, dzierżąc w dłoniach *pilum*. Przez chwilę i on się zawałał, po czym wbił ostrze w bok Jezusa. Skazaniec nie poruszył się; z rany prosto w twarz centuriona wytrysnął strumień krwi i jakiejś przejrzystej cieczy. Przestraszony setnik wypuścił włócznię z ręki, jak gdyby nagle zmieniła się w rozżarzone żelazo.

– Miałeś rację, centurionie – odezwał się Fulwiusz, rozbawiony niezręcznością przełożonego. – Jest martwy jak trup!

W tej samej chwili z nieba na ziemię polały się strumienie wody. Błyskawice i grzmoty stawały się coraz potężniejsze. Nagle gdzieś głęboko pod nimi rozległ się groźny pomruk i ziemia zaczęła się trząść.

Uśmiech zniknął nawet z twarzy Fulwiusza. Podobnie jak wszyscy inni, mężczyzna wpatrywał się szeroko otwartymi oczami to w niebo, to w ziemię, jak gdyby z lęku o to, że skały pod jego stopami rozstąpią się i go pochłoną. Później żaden z obecnych nie potrafił powiedzieć, jak długo trwało całe zjawisko. Wszyscy byli tylko zgodni co do tego, że rabbi nie zszedł z krzyża, aby ich ukarać.

Trzęsienie ziemi ustąpiło tak nagle, jak się pojawiło. Niebo pojaśniało, burza ucichła, a między rozpraszającymi się chmurami znów wyszło słońce. Galilejczyk wisiał martwy na krzyżu, głowa opadła mu na piersi. Z wyjątkiem Jana i kilku kobiet opuścili go wszyscy, którzy za nim chodzili.

– Ten człowiek był Synem Bożym! – Stefaton usłyszał znajomy głos.

Młody człowiek odwrócił się. Joram! Musiał stać za nim przez cały czas i być świadkiem śmierci Jezusa. Na Golgotę wysłał go zapewne Antypas albo ktoś z jego rodziny.

– Niestety, boży syn jest martwy na amen – odparł bezceremonialnie Sadok. Kiedy burza się uciszyła, a on stwierdził, że wciąż żyje, szybko wrócił do swawolnego nastroju. – Bóg chyba będzie musiał spłodzić nowego!

I Stefaton, i Joram, nie zwracali na niego uwagi. Oficer, wciąż jeszcze głęboko poruszony, powiedział do młodego człowieka:

– Wygląda na to, że nasze losy w osobliwy sposób się połączyły, przyjacielu. Wtedy Chrzciciel, dziś Jezus z Nazaretu. Obaj byli świętymi ludźmi!

W innych okolicznościach Stefaton ucieszyłby się z widoku dawnego znajomego, ale teraz, po wszystkim, co stało się od zeszłego wieczoru, nie miał ochoty ani na duchowe rozmowy, ani na sentymenty.

– Jeżeli nasze losy rzeczywiście się splotły, Joramie, to nie oznacza to nic dobrego dla świętych twojego narodu! – odparł sucho.

Spojrzał w stronę kobiet, które wiernie trwały pod krzyżem nawet podczas burzy. Niektóre z nich już nie płakały ani nie zawodziły, i zaintonowały pieśń żalobną. Sara i Maria stały splecione w mocnym uścisku; widać było, że ich świat legł w gruzach. Mimo wstrząsu wywołanego smutnym i tragicznym losem mistrza musiały jednak na nowo ułożyć sobie życie. Stefaton nie mógł już wytrzymać – musiał pomówić z Sarą. Podszedł do dziewczyny zdecydowanym krokiem, lecz gdy ta go ujrzała, natychmiast spochmurniała.

– Saro! – zawołał młodzieniec.

– Zabiliście go, Stefatonie!

Czy wypowiedziała te słowa na poważnie? Naprawdę obarczała go winą za śmierć rabiego? Nie wiedziała, że nie miał innego wyboru niż służba Rzymianom? Oczywiście, wiedziała to doskonale, ale żal i smutek odebrały jej zdolność do trzeźwego myślenia.

– Tabito! Proszę, posłuchaj mnie!

Jeżeli sądził, że wypowiedzenie pieszczotliwego imienia, które nadał Sarze, ułagodzi jej gniew, to głęboko się mylił. Dziewczyna gwałtownie potrząsnęła głową, z jej zapłakanych oczu wyzierała nieopisana rozpacz.

– Nie, Stefatonie – odparła. – Nie chcę słuchać tego, co masz mi do powiedzenia, bo nie ma nic do powiedzenia. Jesteś takim samym mordercą jak tamci. Zabiliście najwspanialszego człowieka, jaki kiedykolwiek stąpał po tej ziemi. Nie chcę cię więcej widzieć! – Odwróciła się gwałtownie; to zabolalo go bardziej niż okrutne słowa.

To nie była ta sama Sara, którą przez dwa lata nosił w swoich myślach i snach. Zresztą i on nie był tym samym Stefatonem, z którym ona spotykała się w Tyberiadzie. Świat ich rozdzielił. Młodzieniec bezpowrotnie stracił ukochaną. Poczul w duszy wielką pustkę. Martwy Jezus znaczył dla Sary więcej niż żywy Stefaton. Pustka była tak głęboka i wszechwładna, że były mim nie potrafił nawet odczuwać zazdrości. Jak ogłuszony powrócił do swojego oddziału.

W świątyni po przerażeniu wywołanym chwilowo przez trzęsienie ziemi zaczęto już zabijać zwierzęta ofiarne, kiedy w pretorium Piłata pojawił się

Tubero.

– No i co, trybunie? – zapytał namiestnik. – Jakieś nadzwyczajnie wydarzenia?

– Nie, prokuratorze. – Młody człowiek obojętnie znosił uważne spojrzenie Piłata.

– Wyglądasz na zmęczonego, trybunie – zaczął znowu namiestnik. – A może tak cię przestraszyło trzęsienie ziemi?

– Życzyłeś sobie, żeby ci złożyć raport, kiedy już będzie po wszystkim – przypomniał Tubero.

– To dobrze, że przychodzisz akurat teraz. Na zewnątrz czeka jeden z członków Wysokiej Rady. Poprosił mnie o ciało Galilejczyka, żeby je pochować. Trudno zrozumieć tych Żydów, ale postanowiłem przystać na jego prośbę. Musisz tylko potwierdzić, trybunie, że on już nie żyje. Tak mówi prawo.

– Rabbi Jezus jest martwy, prokuratorze – odparł Tubero. – Umarł około godziny dziewiątej.

– Dobrze, w takim razie sprawa jest wyjaśniona. – Piłat nie spuszczał oka z rozmówcy. – Nasz przyjaciel Salwiusz doniósł mi, że na Golgocie sprawiałeś wrażenie chorego.

– Tak samo jak ty, prokuratorze, kiedy wydawałeś wyrok na tego Galilejczyka.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Czyżbyś nagle zaczął uważać go za niewinnego?

Tubero milczał.

– Pytałem cię o coś, trybunie – nie ustępował namiestnik.

– Czy to ważne, czy uznaję go za niewinnego, czy nie? To ty powierzyłeś mi dowództwo.

– Które na Golgocie oddałeś centurionowi Longinowi – zauważył Piłat.

– Jeśli chcesz, możesz się poskarżyć mojemu stryjowi – powiedział bez emocji młodzieniec. – Własnoręcznie przekażę mu twój list, masz na to moje słowo.

– To nie będzie konieczne, trybunie – stwierdził prokurator. – Nie mam zamiaru utrudniać ci życia. Ręka rękę myje, wiemy to obaj. A więc wkrótce wracasz do Rzymu?

– Taki mam zamiar – potwierdził Tubero.

Ta wiadomość sprawiła namiestnikowi widoczną ulgę.

– Ach, przypomniało mi się, że miałem sporządzić pismo potwierdzające twoje prawa do tego greckiego mima – odczwał się. – Otrzymasz je jeszcze dziś.

– Nie musisz czuć się dłużej związany obietnicą, prokuratorze – oznajmił trybun. – Odjadę bez niego.

Piłat zmrugał oczy.

– Czy jest jakiś szczególny powód zmiany twego zdania? – dociekał.

– Tak, ale nie musisz go znać. To moja decyzja.

– Jak uważasz, trybunie – westchnął Piłat. – Możesz odejść!

Tubero opuścił pretorium. Nie był już tym samym człowiekiem, co kilka godzin wcześniej.

Jeżeli Piłat sądził, że uśmiercenie rabiego zadowoli jego oponentów, to grubo się mylił. Już nazajutrz rano przed pretorium pojawiła się przysłana przez Kajfasza delegacja Wysokiej Rady, która domagała się audiencji u namiestnika; to było dziwne już choćby ze względu na trwający szabat. Prokurator wyszedł do nich z kwaśną miną.

– Czego sobie życzycie? – zapytał.

– Przypomniało się nam, że ten oszust Jezus twierdził, iż w trzy dni po śmierci powstanie z martwych – odpowiedział jeden z przybyłych.

Piłat mógł powstrzymać drwiącego śmiechu.

– Naprawdę tak powiedział? Czyżbyście się go bali?

– Nie ma powodu kpić sobie z tego, prokuratorze – zauważył rzecznik delegacji. – Jego uczniowie mogą wykraść jego ciało i twierdzić, że on żyje! To oszustwo byłoby jeszcze gorsze niż wszystkie poprzednie, których się dopuścił.

– A co ja mam z tym wspólnego? – zainteresował się namiestnik.

– Czwoliłeś na pochowanie go, teraz więc każ pilnować grobu przez trzy dni, żeby nikt nie zakrzętnął się wokół ciała – padła odpowiedź.

Pozwolenie na godny pochówek rabiego był małym aktem zemsty z jego strony. Jeśli jednak Piłat chciał mieć spokój, tym razem będzie musiał spełnić ich żądania.

– Powiedźcie arcykapłanowi, że dostanie to, czego chce – oświadczył. – A teraz zejdźcie mi z oczu!

Powrót do pretorium nie poprawił mu humoru. Nawet martwy rabbi wciąż go nękał. Klaudia cierpiała z powodu nowego przyływu melancholii i Piłat postanowił chwilowo schodzić jej z drogi. Z kolei trybun zachowywał się wczoraj dziwnie łagodnie, jak gdyby ktoś wypędził z niego całą arogancję. Prawdopodobnie zadanie na Golgocie – jak zresztą przewidywał namiestnik – zupełnie go przerosło. A może ten Galilejczyk rzucił na wszystkich jakiś czar? Czyżby sterował i manipulował nimi nawet z krzyża? Ostatecznie sam prokurator musiał przyznać sam przed sobą, że Jezus posiadał niezwykłą charyzmę.

A zatem tak naprawdę w pilnowaniu jego grobu wcale nie było nic złego. W każdym razie trzeba zapobiec szerzeniu się wszelkich pogłosek, bo inaczej martwy Jezus mógł mu przysporzyć jeszcze więcej problemów niż żywy. Prokurator wiedział już też, komu powierzy dowództwo nad strażą – kohortus Mellus tym razem nie będzie mógł się wymówić rozstrojem żołądka. Dotychczas Piłatowi zawsze udawało się nauczyć pokory tych, których chciał zdegradować.

W kolumnadzie nieśmiało, wręcz trwożliwie podszedł do namiestnika jeden ze służących w pałacu niewolników.

– Czy masz mi coś do zameldowania? – zapytał opryskliwie Piłat.

– Panie, senator... – zaczął tamten.

Prokurator stłumił w sobie jęk. Salwiusz! Czego ten pasożyt mógł chcieć od niego tak wcześnie rano? No cóż, bądź co bądź, był chyba jedynym, na którym rabbi nie zrobił wrażenia. Po odwiedzeniu Golgoty otyły Rzymianin wrócił do pałacu głodny, ale w wysmienitym humorze.

Wiadomość wciąż nie chciała przejść niewolnikowi przez gardło.

– Mów wreszcie, chłopcze, o co chodzi z senatorem?! – zawołał zniecierpliwiony Piłat.

– Znalazłem go martwego w łóżku, panie!

Jeszcze i to! Piłat chciał się go pozbyć, ale w mniej dramatycznych okolicznościach. Tymczasem Salwiusz postanowił pęknąć z przejedzenia akurat w jego pałacu.

Rankiem po ukrzyżowaniu Stefaton obudził się z głębokiego snu człowieka wyczerpanego, choć wciąż czuł się niewypoczęty. W nocy dręczyły go dziwne sny; sugestywne obrazy sprawiały, że głośno krzyczał. Sadok kilkakrotnie potrząsał towarzyszem, żądając, żeby ten się uciszył.

We śnie Stefaton widział samego siebie na krzyżu, pod którym stali jego dawni towarzysze – Gelon, Eugenia, Szapur i Selenos. Nie żalowali go jednak, wręcz przeciwnie, byli rozbawieni jego położeniem. „Przecież to tylko sztuka teatralna” – pocieszał go Gelon ze snu, choć wyraźnie nie była to prawda, bo przecież w dłoniach i stopach młodzieńca tkwiły grube żelazne gwoździe. „Później zrobię ci masaż” – obiecywała ze śmiechem Eugenia. Czy nie widziała, że na palu wisiał nie Laureolus, lecz prawdziwy Stefaton? Ukrzyżowany rozpaczliwie szukał wzrokiem Sary, ale nigdzie nie mógł jej dostrzec. W końcu ujrzał, jak nadchodzi; wesolo machała do niego rękami, ale nagle, kiedy stanęła już pod krzyżem, z przerażeniem zasłoniła dłońią usta. „Zabiliście go!” – rzuciła oskarżycielskim głosem pod adresem Gelona i innych, ale mimowicie zdecydowanie wypierali się winy. „Moja droga, my tylko gramy to, co publiczność chce zobaczyć!” – wyjaśniła pobłaźliwie Eugenia.

Takie i podobne dziwaczne, niepokojące obrazy męczyły go przez całą noc. Uświadomienie sobie po przebudzeniu, że to były tylko nocne majaczenia, nie przyniosło mu ulgi. Przecież rzeczywistość ze wszystkimi wydarzeniami minionych dni nie była lepsza od sennego koszmaru. Ba!, Sara, która we śnie przynajmniej przejmowała się jego losem, tak naprawdę nie chciała już o nim słyszeć.

W Antonii wszystko toczyło się utartym torem. Tu i ówdzie mówiono o wczorajszej burzy, o trzęsieniu ziemi, a ktoś twierdził, że zasłyszał, iż wielka zasłona, dzieląca w świątyni miejsce najświętsze od reszty przybytku, rozdarła się od góry do dołu. O ukrzyżowaniu Jezusa i obu bandytów prawie natomiast nie mówiono; takie egzekucje były dla żołnierzy codziennością. Ci jednak, którzy przebywali na Golgocie, byli w odczuciu młodego człowieka dziwnie milczący i zamyśleni. Nawet Sadok mówił mniej niż zwykle. Wieczorem centurion wezwał Stefatona do swojego gabinetu.

– Twój pobyt w Antonii wkrótce się skończy – oznajmił. Mówił

ochrypiłym głosem, jak gdyby miał pajęczyny w gardle, ale jego spojrzenie, zwykle zmaczone, było teraz zadziwiająco jasne. – Za dziesięć dni jeden z oddziałów pomocniczych wyruszy do Damaszku. Pójdiesz z nimi do Tyberiady, a potem będziesz wolny. Zyczę ci wszelkiego szczęścia, mój chłopcze. Będzie mi Ciebie brakowało!

Wszelkie szczęście Stefaton właśnie utracił. Myśl o tym, że znów znajdzie się w domu, nie przyniosła mu ulgi. Gdyby tamten zaproponował mu, aby dalej u niego służył, młody człowiek byłby gotów poważnie się nad tym zastanowić.

– Trybun nie miał nic przeciwko mojemu zwolnieniu? – zdziwił się.

– Nie, wręcz je poparł.

To było dziwne. Stefaton spodziewał się, że Tubero nadal będzie próbował utrudniać mu życie. Ale już na Golgocie trybun zachowywał się zadziwiająco powściągliwie. Na chwilę zapanowało milczenie. Młodzieniec poczuł, że on i Longin myśleli o tym samym; zdobył się więc na odwagę.

– Czy sądzisz, że ten Jezus był prorokiem, panie? – zapytał niepewnie.

Oficer otarł czoło wierzchem dłoni i wpatrywał się w jakiś punkt za oknem. Stefaton myślał już, że tamten udaje, iż nie usłyszał pytania, ale dowódca w końcu się odezwał się cicho:

– Nie wiem, czy był prorokiem. Jeśli tak, to dlaczego dopuścił, żeby to wszystko się wydarzyło? Dlaczego nie wrócił do Galilei, kiedy zaczęto przeciwko niemu knuć? Czy był prorokiem? Wiem tylko, że był wyjątkowym człowiekiem. Nie zasłużył na śmierć.

Stefaton również zniżył głos.

– Już go spotkałem wcześniej – wyznał. – Wygłosił płomienną mowę na wzgórzu pod Kafarnaum. Już wtedy ludzie mówili o wielkich cudach, których podobno miał dokonywać. Masz rację, panie, lepiej by zrobił, gdyby pozostał w Galilei. Jerozolima nie jest dobrym miejscem na cuda. – A ja nie straciłbym wtedy na zawsze Sary, dodał w myślach.

Longin spojrział mu w oczy zdecydowanym wzrokiem.

– Mylisz się, mój chłopcze – oświadczył. – Jerozolima to najcudowniejsze miejsce na świecie.

– Tak w każdym razie twierdzą Żydzi. – Stefaton uśmiechnął się blade.

– Musisz o czymś wiedzieć. O czymś, o czym dotąd nikt nie wie – odparł centurion, biorąc głęboki oddech. – Kiedy wbiłem Galilejczykowi włócznię w bok, krew wytrysnęła mi prosto w twarz. Od tamtej pory widzę wszystko jasno i wyraźnie, jak gdyby moje chore oczy zostały zastąpione przez oczy młodzieńca!

Były mim nie potrafił nic na to odpowiedzieć, choć nie wątpił w prawdziwość słów setnika.

– Jego krew mnie uzdrowiła, chłopcze – ciągnął ten ostatni. – Nie potrafię tego wyjaśnić. Wiem jednak, że już niedługo odejdę ze służby, a wtedy będę miał dużo czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Gajusz Mellus wraz z czterema legionistami zajął stanowisko przed skalnym grobem nazarejczyka, położonym w starych kamieniołomach, do-

słownie o krok od Golgoty. Kohortus był świadom tego, że to szykana ze strony Pilata – komendant twierdzy miał w końcu do roboty co innego niż strzeżenie grobu przestępcy. Już rozkaz dołączenia do oddziału egzekucyjnego miał na celu upokorzenie go. Nie było wielu ludzi, którzy wiedzieli o jego przeszłości, namiestnik jednak niestety należał do garstki wtajemniczonych. W oczach prokuratora Mellus był sentymentalnym mięczakiem, dlatego tamten nie przepuszczał żadnej okazji, żeby mu przypomnieć o pewnym wydarzeniu z jego życia.

Było to przed piętnastu laty. Przez dwa lata Neron Klaudiusz Germanik, cioteczny wnuk boskiego Augusta, pacyfikował z ośmioma legionami wstrząsaną buntami Germanię. Młody Mellus miał wtedy jeszcze wielkie ambicje. Germanik powierzył mu dowództwo nad jednym z obozów, które stanowiły zaplecze dla jego wojsk – miejsce to nosiło nazwę Novaesium.

Mellus pokochał młodą kobietę z plemienia Chattów, która służyła jako niewolnica w obozie. Ponieważ jej imię było dla niego nie do wymówienia, nazywał ją Ewah. Nigdy nie zapomniał płomienia namiętności, który rozpałał jej oczy, kiedy coś do niej szeptał. Żołnierz powziął mocne postanowienie, że po zakończeniu wyprawy wykupi dziewczynę i pojmie za żonę.

Pewnego dnia w obozie zjawili się dwaj legaci Germanika. Nazajutrz rano jednego z nich znaleziono zaszytletowanego w jego namiocie. Podejrzanie padło na jednego z germańskich sług, ponieważ ten zniknął bez śladu w lesie; zarządzone poszukiwania pozostały bezskuteczne. Aby dać odstrasżający przykład, drugi legat nakazał ukrzyżować wszystkich przebywających w obozie niewolników.

Prośba Mellusa o oszczędzenie Ewah została szorstko odrzucona i już niedługo ukochaną komendanta przywiązano nagą i zhańbioną do jednego z naprędcie skleconych krzyży. Żołnierz czuł nieopisaną rozpacz. Widok umierającej dziewczyny był dla niego nie do zniesienia, zwłaszcza że jej konanie mogło trwać kilka długich dni. W nocy Mellus przekradł się do krzyża, przekupił strażnika i z płaczem podał jej truciznę. Jej zielone, cierpiące oczy po raz ostatni spojrzały na niego z wdzięcznością.

Kiedy następnego dnia zaczęto wypytywać strażnika, ten nie zdołał zbyt długo utrzymać języka za zębami. Już w kilka tygodni później Gajusz Mellus znajdował się w drodze do Jerozolimy. Od tego czasu nie było rzeczy, której nienawidziłby bardziej niż przybijania ludzi do krzyża.

– Co za paskudne zadanie! – złościł się jeden ze strażników pełniących służbę przed zamkniętą okrągłym głazem grotą grobową Galilejczyka. – A wszystko z powodu jednego szalonego Żyda, który był na tyle głupi, żeby się podawać za króla. – Mówiąc to, szczerzej okrył się peleryną, bo wieczer zrobił się chłodny. Żołnierze zapalili już pochodnie.

– Przestań narzekać! – zganiał go sąsiad, który jednak wcale nie był w lepszym humorze. – Dawaj, teraz twoja kolej!

W zasadzie Mellus powinien był im zakazać gry w kości. Czego się jed-

nak mogli obawiać? Nawet gdyby – co za absurdalna myśl! – pojawili się uczniowie rabbiego, żeby wykraść jego ciało, to żołnierze bez trudu poradziliby sobie z tymi łobuzami.

– Co z tobą, komendancie? – zapytał któryś z towarzyszy. – Nie chcesz z nami pograć? Czeką nas jeszcze długa noc!

– Nie, dziękuję – odparł Mellus.

– Dlaczego nie? Pizona Aleatora tu nie ma, możesz tylko wygrać! – Żołnierze wybuchnęli ponurym śmiechem.

– Rzucajcie beze mnie i cicho, z łaski swojej!

To dziwne, ale Mellusowi nagle wydało się, że ktoś go obserwuje. Może powinien jednak poważniej potraktować swoje zadanie? Wprawnym żołnierskim okiem rozejrzał się dookoła, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Nieopodal, na tle ciemniejącego nieba, rysowała się najeżona palami krzyży sylwetka Golgoty. Odpychające miejsce. Jerozolimę, która leżała po przeciwnej stronie, otulała cisza kończącego się szabat, a na bezchmurnym niebie lśniła okrągła jak denar tarcza księżyca. Nic nie budziło podejrzeń, wszędzie panował spokój.

Mellus westchnął w głębi duszy, że oddałby życie, gdyby bogowie jeszcze raz pozwolili mu oglądać rozgwieżdżone niebo z ukochaną Ewah u boku.

Nowa droga

Idźcie więc i pozyskujcie uczniów we wszystkich narodach!

Mt 28,19

28

Po męce Jezusa

Właściciel gaju oliwnego i jego żona Lea płakali ze szczęścia, kiedy do drzwi rodzinnego domu zapukała ich zaginiona córka Sara. Ich radość z tego, że wróciła cała i zdrowa, a do tego w radosnym nastroju, powstrzymała ich od czynienia dziewczynie wyrzutów. Przez dłuższy czas rodzice trzymali ją mocno w objęciach i dopiero po chwili matka zawołała ze szlochem:

- Moje dziecko, gdzie ty byłaś?
- Niech Pan będzie błogosławiony! – odezwał się Efraim.
- Ujrzałam Boże zbawienie! – odparła Sara.

W kilka dni później do Tyberiady dotarł Stefaton. Przed bramami młody człowiek opuścił swój oddział i po raz pierwszy od dwóch lat wszedł do swojego rodzinnego miasta.

To było dziwne, ale powrót i odzyskana wolność nie budziły w nim żadnego uczuć. Mężczyzna czuł się pusty i wyczerpany, nic go nie poruszało. Przyszłość z Sarą była stracona, a przeszłość wciąż go dręczyła. Odnosił wrażenie, że pograża się w beznadziei. Ale bądź co bądź, znów zobaczy Agriope... oraz ojca, który – Stefaton miał taką nadzieję – zechce się z nim pojednać.

Wyglądało na to, że nikt go nie poznaje. O ile kiedyś niemal na każdym kroku ktoś go zaczepiał, to teraz włókł się ulicami niczym obcy. Czyżby aż tak się zmienił? Nie zależało mu na dawnej sławie, ale fakt, że ludzie go ignorowali, tylko umacniał w Stefatonie poczucie, że jest czymś w rodzaju ducha. Widmem, które na tym świecie nie pozostawi po sobie żadnych śladów.

Kiedy ktoś wreszcie zwrócił na niego uwagę, nawet tego nie zauważył. Za jego plecami ulicę przecięła lektyka niesiona przez czterech niewolników. Nagle czyjaś masywna dłoń spoczęła od tyłu na ramieniu Stefatona. Młody człowiek odwrócił się obojętnie.

– Moja pani chce z tobą rozmawiać! – Olbrzym, do którego należał ten gardłowy głos, spoglądał na niego z lekceważeniem. Osobisty strażnik Fausty Decili zapewne nadal mógłby uprzykrzyć życie każdemu przeciwnikowi na arenie.

– Nie mam twojej pani nic do powiedzenia – oświadczył młody człowiek. Brennus jednak jakby nie dosłyszał pytania, złapał go za rękę i popchnął w kierunku lektyki; jej zasłony były rozsunięte. Fausta uśmiechała się tak, jak uśmiechają się ludzie oglądający sztuczki w wykonaniu zdolnego psa.

– Ależ schudłeś, Stefatonie! – odezwała się. – I jaką masz ponurą twarz! Ciesz się jednak, że znów jesteś w Tyberiadzie. Trupa, która teraz występuje w teatrze, to prawdziwa zgroza!

– Dopiero co wróciłem, szlachetna Fausto. Co mogę jeszcze dla ciebie zrobić poza tym, że utwierdzam cię w samozadowoleniu moim widokiem?

– Och, mógłbyś znów mnie kiedyś odwiedzić! – Rzymianka uśmiechnęła się. – Zapewne zdążyłeś już dojrzeć do niektórych rzeczy.

– Z serca dziękuję, ale moja dojrzałość wciąż pozostawia wiele do życzenia – odparł Stefaton i odwrócił się, żeby odejść. Brennus jednak zatrzymał go siłą.

– Pani jeszcze się z tobą nie pożegnała! – oznajmił groźnie.

– Byłeś w Jerozolimie? No i jak podobały ci się tamtejsze kobiety? – dopytywała Fausta. – Masz przecież słabość do Żydówek, czyż nie?

– Tym, co w nich najbardziej cenię, jest ich cnotliwość.

– Ho, ho, w takim razie musisz mieć za sobą dwa straszne lata!

– Były straszniejsze, niż możesz sobie wyobrazić – odparował.

– Nie możemy zapomnieć o naszej małej sprzeczce? – zaproponowała kobieta. – Mogłabym się postarać, żebyś znów trafił na scenę. Uwierz mi, cała Tyberjada będzie ci padać do stóp jeszcze żarliwiej niż wtedy!

– Jeśli sól utraci swój smak, to czym go przywrócić? – powiedział Stefaton. – Nie przydaje się na nic, najwyżej na to, żeby ludzie ją podeptali!

Fausta ze zdumieniem uniosła brwi.

– Służyłeś w wojsku czy u filozofa? – zadrwiła.

– Co się stało z moimi towarzyszami? – chciał wiedzieć młodzieniec.

Świadek

- O ile wiem, odzyskali wolność.
 - Gdzie teraz są?
 - Nie wiem. To zresztą zupełnie nieważne. Twoja przyszłość nie zależy od nich.
 - Co cię tak interesuje moja przeszłość? - burknął Stefaton. - A teraz wybac, spieszy mi się do rodziców.
 - Poczekaj! - W jej głosie można było usłyszeć ton współczucia. - Słyszałam, że twój ojciec jest chory. Być może wkrótce będziecie potrzebować pomocy.
 - Chcesz przez to powiedzieć, że powinienem się wtedy zwrócić z nadzieją do ciebie?
 - Jeżeli okażesz się na tyle mądry - westchnęła Rzymianka. - Choć zaczęłam mieć co do tego wątpliwości. - Skinęła ręką na Brennusa, żeby pozwolił młodzieńcowi odejść.
- Rodzinne miasto nie mogło zgotować Stefatonowi bardziej ponurego powitania.

Agriope przyjęła młodzieńca okrzykiem nieopisanego ulgi; mocno ścisnęła przybysza w objęciach, nie chcąc go z nich wypuścić. Spotkanie z macochą było dla Stefatona pierwszym od długiego czasu powodem do radości. Mężczyzna pocałował ją w czoło i objął jej twarz dłońmi, aby sycić się jej widokiem.

- Te zmarszczki to ze zmartwienia - powiedziała Agriope ze smutnym uśmiechem.

- Nadal jesteś piękna! - zapewnił ją pasierb.
- Nie myśl, że ci uwierzę! Ale ty strasznie zmarniałeś, chłopcze.
- Co z ojcem?

Kobieta głęboko westchnęła.

- Miał wylew. Jest sparaliżowany, prawie nie może chodzić ani mówić. Ach, Stefatonie, bogowie nie życzą nam dobrze!

- Bogowie nie są nam nic dłużni - odparł młody człowiek. - Czy mogę go zobaczyć?

Ojciec spał na swoim posłaniu. Agriope pochyliła się nad nim i delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Demetriosie, zobacz, kto wrócił do domu! - szepnęła pogodnie.

Powieki leżącego uniosły się. Kiedy Demetrios rozpoznał syna, z jego gardła zaczęły dobiegać nieartykułowane dźwięki, zdradzające radosną ekscytację.

Stefaton ukląkł i złapał go za rękę.

- Ojcie! Mam nadzieję, że jeszcze jestem godzien być twoim synem! - zawołał.

Po twarzy starca spływały łzy. Syn pomógł mu wstać, żeby mogli się uściskać.

Później młody człowiek siedział sam na sam z Agriope. Mieli sobie dużo do opowiedzenia, choć niewiele z tych rzeczy mogli ich cieszyć.

– Przed kilkoma miesiącami – opowiadała Agriope ochryplym głosem – pojawił się u nas Gelon i zaczął robić twojemu ojcu wyrzuty. Zarzucał mu, że twój ojciec nie zrobił nic, żeby w porę wyciągnąć całą trupę z więzienia, krzyczał na niego. Ukochana Gelona, Eugenia, nie przeżyła pobytu w lochu i tamten, wściekły, szukał winnego jej śmierci. Twój ojciec zapewnił go, że na próżno się za nimi wstawiał, ale tamten mu nie uwierzył i zaczął grozić. Twój ojciec tak się tym zdenerwował, że dostał wylewu. Od-tąd jest w takim stanie, w jakim go zastałeś.

Stefatonem wstrząsnęła wiadomość o śmierci Eugenii, która była dla niego jak starsza siostra.

– Nigdy nie powinniśmy byli przybijać tego przeklętego Laureolusa do krzyża! – zawołał skruszony. – Czy Gelon jest jeszcze w mieście?

– Mówią, że z dwoma pozostałymi przeniósł się do Seforis i dołączył do tamtejszej trupy – oznajmiła Agriope.

Stefaton ucieszył się, bo nie miał najmniejszej ochoty ich spotkać.

– Ale teraz powiedz coś o sobie, chłopcze! Co się z tobą działo? – zapytała macocha.

– Jeszcze nie potrafię o tym mówić, Agriope.

– Stefatonie, spójrz mi w oczy. – Uniósł na nią spojrzenie. – Spotkałeś Sarę, prawdę?

– Skąd to wiesz?

– Nie wspomniałeś o niej dotąd ani słowem – odparła kobieta. – Ja natomiast wiem, że opuściła swoich rodziców. Musiałeś ją spotkać, bo inaczej byś o nią zapytał.

– Jesteś bardzo bystra – powiedział z podziwem jej pasierb.

– Bzdura! Mówią o tym twoje smutne oczy.

Stefaton patrzył w próżnię.

– Pamiętasz tego rabbiego Jezusa, który chodził wtedy po Galilei i nauczał? – odezwał się w końcu.

– Tego cudotwórcę? Oczywiście, wszyscy o nim mówili!

– Sara dołączyła do niego. Została jego uczennicą – wyjaśnił młodzieniec i zaczął opowiadać. Najpierw z wahaniem, bo każde słowo sprawiało mu ból. Im dłużej jednak mówił, tym większą odczuwał potrzebę wyrzucenia z siebie wszystkiego. Komu oprócz Agriope mógł się w końcu z tego zwierzyć?

– Śmierć Jezusa była najstraszniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałem – zakończył, czując ciarki na plecach. – Sara nigdy mi nie wybaczy, że byłem wśród jego oprawców.

Macocha wyciągnęła ręce, a młodzieniec je uchwycił.

– Posłuchaj mnie, Stefatonie – powiedziała. – Przypadkiem dowiedziałam się, że wróciła do domu. Niedawno widziałam ją z matką na targu. Powinieneś z nią pomówić.

– Nigdy! – Młody człowiek przeraził się myśli, że kobieta, którą kochał, po raz kolejny może go nazwać mordercą. Tego by nie zniósł. Dziewczyna wyraziła się jasno – nie chciała go już nigdy widzieć!

– Nie jest wykluczone, że na to, co się stało, patrzy teraz innymi oczami – nie rezygnowała kobieta. – Przecież nie miałeś wyboru, musiałeś robić to, co ci rozkazano!

Świadek

– Nie mogę, Agriope. Muszę spróbować o niej zapomnieć, bo inaczej będę cierpiał aż do ostatniego dnia życia. To wszystko i tak jest już wystarczająco straszne.

Macocha pogłaskała go po głowie.

– A jeżeli ona tylko czeka na to, że do niej przyjdiesz?

– Wykluczone – powiedział Stefaton.

– Jestem kobietą i lepiej potrafię to ocenić – nie poddawała się Agriope.

– Jeżeli się wstydzisz, powinienesz spróbować innego sposobu.

– A mianowicie?

– Idź do miejsca, w którym się kiedyś spotykaliście. Jeżeli nadal cię kocha, będzie cię tam szukać.

Stefaton nie robił sobie wielkich nadziei, ale nie miał nic do stracenia. Postanowił więc, że uczyni tak, jak poradziła mu doświadczona macocha.

Agriope miała dobre intencje, ale jej przypuszczenia – jak się można było spodziewać – okazały się błędne. Stefaton spędził już trzeci wieczór w miejscu spotkań z Sarą nad brzegiem jeziora, ale dziewczyna wciąż nie przychodziła. I oczywiście nie przyjdzie. Przecież to było miejsce, w którym – młodzieniec miał co do tego całkowitą pewność – nie spotkają się nigdy. Jego ukochana będzie go unikać tak jak pogańskich świętyń, bo przypominałoby jej jednego z katów Jezusa.

Siedząc na przybrzeżnym głazie, Stefaton smętnie wspominał tamten wieczór, kiedy woda jeziora żarzyła się czerwienią. Wtedy wszystko było jeszcze możliwe. Zapewniali się nawzajem o swojej miłości, nie przecuwając, jak blisko czai się nieszczęście.

Młody człowiek wsłuchiwał się w szum wschodniego wiatru, który marszczył tafłę wody; patrzył na leniwie unoszące się na falach ptaki i głęboko wdychał zapach jeziora. Tutaj, dokładnie w tym miejscu, stała Sara, kiedy na niego czekała.

Stefaton myślał o wydarzeniach trudnych tygodni. Przez ostatnie dni pobytu w Antonii czuł się tak, jakby majaczył w gorączce. Wszystko wydawało się takie nierzeczywiste. Również w dniach po ukrzyżowaniu działy się osobliwe rzeczy. Przywrócony rzekomo centurionowi wzrok – czy to możliwe, że Kasjusz Longin widział tylko wytwory swojej fantazji? Do tego dziwne zachowanie komendanta Mellusa i jego ludzi, których odkomenderowano do pilnowania grobu Jezusa – wrócili do Antonii następnego dnia rano z twarzami bladymi jak pergamin, oczami jakby wpatrzonymi w zaświaty i zacisniętymi ustami; wyglądali tak, jakby poprzedniej nocy spotkali swoich przodków. Nazajutrz rano zniknęli. Opowiadano, że Piłat przeniósł wszystkich w inne miejsce, ale dlaczego i dokąd, tego nikt nie potrafił powiedzieć.

Pożegnanie Stefatona z Sadokiem było raczej powściągliwe.

– Nigdy więcej nie obrażaj Rzymianina, bo znów będziemy musieli się znosić! – Chociaż tamten uśmiechał się, zapewne wypowiedział te słowa śmiertelnie poważnie.

Jerozolima! Stefaton spędził tam dwa lata, ale wydały mu się one dłuższe niż połowa życia. Teraz znów był w Tyberiadzie, ale nic nie było takie jak przedtem. Chwywanie się czegoś, co się nie mogło ziścić, nie miało sensu; Stefaton postanowił, że po raz trzeci i ostatni wróci do domu, bo Sara na pewno nie przyjdzie.

Jakże się myli!

– Wreszcie wróciłeś! – usłyszał nagle.

Wstał gwałtownie i ujrzał przed sobą ukochaną.

– Wiedziałaś, że tu jestem? – zapytał. Jego serce waliło jak oszalałe.

– Miałam taką nadzieję!

– A więc jesteś gotowa mi przebaczyć?

Sara potrząsnęła głową.

– Nie, Stefatonie. Chciałabym, żebyś to ty przebaczył mnie – oświadczyła.

– Ale...

– Powiedziałaś do ciebie tamte słowa na Golgocie, bo straszliwie cierpiałam. Były głupie. – Po chwili milczenia dodała: – On chciał, żebyśmy przebaczyli sobie nawzajem, sam przebaczył również swoim wrogom na krzyżu.

– Tak, i każdy mógł to usłyszeć. – A więc pogodziła się z jego śmiercią i jak wszyscy Żydzi będzie teraz musiała czekać na nowego Mesjasza. Czy mógł mieć nadzieję, że między nimi znów wszystko będzie dobrze? A może to był znów tylko dręczący sen? – Jezus był wyjątkowym człowiekiem, Saro. Dobrym człowiekiem. Żałuję, że musiałem być przy tym, kiedy przybijano go do krzyża. Jego śmierć była zupełnie bezsensowna.

– On umarł za nasze grzechy – zaprotestowała dziewczyna, akcentując każde słowo. Było zupełnie zrozumiałe, że nie chciała przyjąć do wiadomości, iż śmierć jej mistrza nie miała sensu. Uśmiechnęła się jednak, a serce Stefatona podskoczyło z radości.

– Jest jeszcze coś, co chciałem ci powiedzieć – ciągnął młody człowiek.

– Tak, Stefatonie?

– Byłem zazdrosny o tego Jezusa, ale dziś wiem, że zupełnie niesłusznie – oświadczył. – On wydobywał z ludzi dobro, jeśli tylko na to pozwalali. Musisz czuć się dumna, że mogłaś być jego uczennicą. W dalszym ciągu cię kocham, Tabito. – Bał się, że uśmiech w jednej chwili zniknie z jej ust, ale tak się nie stało.

– Bardzo pragnęłam, żebyś to powiedział – wyznała Sara. – Nawet się o to modliłam!

Stefaton przez chwilę szukał właściwych słów.

– A więc mogę liczyć na twoją sympatię? – zapytał ostrożnie.

– Więcej niż sympatię! – zawołała dziewczyna. – Przecież ja też cię kocham i zawsze będę cię kochać! – W dłoni trzymała małą gazelę. – Przez cały czas nosiłam ją przy sobie. Nie było dnia, w którym bym o tobie nie myślała. Ile razy widziałam w marzeniach, jak stoimy tu nad jeziorem, a teraz moje modlitwy zostały wysłuchane!

Wreszcie przezwyciężyli onieśmienie i padli sobie w ramiona. Nie wstydziła się łez, bo jakże inaczej mogli wyrazić ulgę, którą czuli? Stefaton sądził wcześniej, że rozdzielił ich kaprys losu, ale teraz czuł się tak, jak gdyby teraz zwyciężył przeznaczenie, choć to zwycięstwo przypadło mu w udziale bez własnej zasługi.

– Chciałabym cię o coś prosić, Stefatonie – odezwała się Sara.

– Jeśli chcesz, Tabito, pójdę dla ciebie po gwiazdy z nieba! – zawołał młody człowiek.

– To coś o wiele prostszego. Jutro wybieram do Kafarnaum, na tamto wzgórze, na którym wtedy słuchaliśmy mowy Jezusa. Czy mógłbyś pójść tam ze mną?

Stefaton pomyślał, że musi się chyba pogodzić z jej nadwrażliwością; miała do niej prawo. Pomimo to odważył się zaprotestować.

– Widok tego miejsca sprawi, że poczujesz się smutna, Saro.

– Mylisz się, uczyni mnie o wiele szczęśliwszą! I ciebie też!

– Będę czuł się szczęśliwy, przebywając z tobą – odparł Stefaton. – Ale

Świadek

musielibyśmy tam iść cały dzień. Powinnaś wiedzieć, że mój ojciec nie czuje się dobrze, a ja już na tak długo go zostawiłem...

Chciał wyrazić dalsze obiekcje, ale dziewczyna położyła mu palec na ustach.

– Weź ojca ze sobą – zaproponowała. – Postaramy się o osła, który go tam zawiezie. Weź też swoją matkę, przecież ją kochasz! – I dodała: – Czas jest bliski, Stefatonie!

W jej głosie była tak uroczysta powaga, że młodzieniec – choć życzenie Sary wydało mu się dziwaczne – nie zadawał już więcej pytań. Gdyby zażądała od niego, żeby poszedł z nią na koniec świata, też by nie odmówił.

Litościwe słońce zanadto nie prażyło, a niebo miało kolor Jeziora Galilejskiego. Stefaton oceniał, że na mieniących się barwami wiosny zboczach wzgórza zebrało się około pięciuset ludzi – mniej niż wtedy, kiedy nauczał tu Jezus, ale i tak wcale nie mało. Niektórzy cicho nucili psalmy. Co ich tu przywiodło? Co przywiodło tu Sarę? Przecież chyba nie nowy mesjasz?

Młody człowiek czuł się nieswojo. Tamci wyżej – czy to nie byli uczniowie Jezusa? Ależ tak, bez wątpienia! Stefaton rozpoznał Szymona Piotra, młodego Jana i innych, którzy byli ze swoim mistrzem w ogrodzie Getsemani. Nie mógł dostrzec tylko zdrajcy, ale czy było w tym coś dziwnego?

Co ich tu sprowadzało? Może Piotr zamierzał wygłosić mowę, w której będzie wspominał zmarłego rabbiego? Jerozolima była daleko, tutaj nikt mu tego nie zabroni. Towarzysze Jezusa na pewno chcieli, żeby jego nauki nie popadły w zapomnienie. Wśród uczniów mistrza Stefaton dostrzegł również jego matkę.

– Rozpoznają mnie! – szepnęła do Sary. Po co go tu sprowadziła?

– Zaufaj mi – uspokoiła go dziewczyna.

Z koców i poduszek siedzieli choremu Demetriosowi wygodne posłanie w trawie. Agriope siedziała obok starca, trzymając go za rękę. Przybyli również rodzice Sary. To dziwne, ale obecność pogan najwyraźniej im nie przeszkadzała; wręcz przeciwnie, zamienili z rodzicami Stefatona kilka serdecznych słów. Zgromadzeni w ogóle sprawiali wrażenie radosnych i beztrudnych. Na twarzach uczniów nie było ani śladu smutku, nawet matka Jezusa nie wyglądała na przygnębioną. Czyżby tak szybko pogodzili się z jego bezsensowną śmiercią?

– Witajcie! – odezwał się nagle ktoś.

– Mario! – zawołała Sara.

Dziewczyna powitała przyjaciółkę czułym uściskiem. Stefaton próbował unikać wzroku Marii, ale czuł, że ta intensywnie się w niego wpatruje.

– Witaj, Stefatonie – usłyszał jej głos. Teraz musiał na nią spojrzeć, jeśli nie chciał zrobić z siebie głupca. Nie przychodziły mu jednak do głowy żadne sensowne słowa.

– Podając mu gąbkę – szepnęła do niego uczennica Jezusa – uczyniłeś to, żeby się wypełniło Pismo!

Pomimo najszczerzych chęci mężczyzna nie miał pojęcia, co tamta miała na myśli, ale powiedziała to bez wyrzutu i bez drwiny. Co się działo z tymi ludźmi? Wzywanie do przebaczenia to jedno, ale jego praktykowanie to coś zupełnie innego. Stefatonowi wydawało się, że Maria była mu niemal wdzięczna za to, co zrobił.

– Żałuję, że tam byłem – odpowiedział bezradnie. Przybyła uśmiechnęła się w ten sam zagadkowy sposób, co chwilę wcześniej Sara, kiedy usłyszała jej słowa. Młodzieniec czuł się coraz bardziej zagubiony.

Świadek

– Żeby się wypełniło Pismo? Co ona chciała przez to powiedzieć? – szepnął do ukochanej. Ta przytuliła się do niego.

– W Piśmie jest napisane, że Mesjasz musiał wycierpieć to wszystko – odparła.

– Dlaczego?

– Żeby nas wybawić.

Wybawca, który umarł na krzyżu? Gdzie coś takiego napisano? Przecież to nie miało najmniejszego sensu. A tak w ogóle – to od czego Jezus ich wybawił? Bo przecież na pewno nie od Rzymian. Czyżby jego ukochana Tabita i wszyscy ci ludzie popadli w obłąd? Czyżby okrutna śmierć mistrza pozbawiła ich rozumu?

Tłum czekał. Na co?

– Wydarzy się coś nadzwyczajnego – odezwała się z przejęciem Agriope.

Zanim Stefaton zdążył zapytać ją o powód tego przeczucia, dostrzegł kolejną znajomą twarz. Musiał się jej jednak uważnie przyjrzeć, żeby się upewnić, iż jest to naprawdę Joram. Było tak zapewne dlatego, że po raz pierwszy zobaczył tamtego w ubraniu cywila. Czyżby znajomy oficer nie służył już u Antypasa?

Kiedy młodzieniec jeszcze się nad tym zastanawiał, tłum nagle całkowicie umilkł. Sara położyła dłoń na ramieniu ukochanego, a Stefaton wyraźnie poczuł bicie jej serca. A może to jego serce waliło tak mocno?

Jego spojrzenie powędrowało za wzrokiem dziewczyny.

Na szczycie wzgórza pojawił się jakiś człowiek w białych szatach. Uczniowie otoczyli go półkolem, po czym pełni wyczekiwania usiedli. Mężczyzna powoli odwrócił się do tłumu. Przez mgnienie oka Stefaton myślał, że skamienieje z przerażenia, ale potem zrozumiał, że oczy tamtego mówią: „Nie bój się!”.

Zmartwychwstały rozłożył ręce; na przegubach wyraźnie było widać rany po ukrzyżowaniu.

– Pokój wam! – powitał zgromadzonych.

Posłowie autora

Dlaczego Syn Boży musiał umrzeć? Wierzący w Chrystusa zadają sobie to pytanie już od dwóch tysięcy lat. Apostołowie początkowo nie wiedzieli nic o dogmatach, prawdach wiary i Bożym planie zbawienia. W uszach rozbrzmiewał im za to wyraźnie – i to zapewne do końca życia – głos ich mistrza. Trudności z teologiczną interpretacją męki Jezusa mieli zapewne także uczniowie w drodze do Emaus, choć Zmartwychwstały wyłożył im pisma Starego Testamentu. Odpowiedzi zaczęły się pojawiać dopiero – jak można sądzić – wraz ze wzrostem liczby gmin chrześcijańskich i pod wpływem działania Ducha Świętego. Dlatego napisana bez intencji egzegetycznych powieść, zakończona sceną ukazania się Zmartwychwstałego ponad pięćset osobom (por. 1 Kor 15,6), może pozostawić tylko chwilowo oszołomionych lub przepełnionych euforią świadków, którzy dopiero później będą w stanie odkrywać głębsze znaczenie tajemnicy śmierci i zmartwychwstania Jezusa.

Bohaterowie powieści

W Biblii nie znajdziemy imion Sary ani Stefanona. W mojej książce Sara jest tą bezimienną kobietą, która w relacji Synoptyków namaszcza Jezusa w Betanii drogocennym olejkiem. Ewangelisci nie są najwyraźniej do końca zgodni co do jej tożsamości. U Łukasza jest to kobieta, która „była w mieście grzesznicą” (autor zapewne ma na myśli prostytutkę). Marek i Mateusz nie posługują się tym pojęciem, choć doskonale pasowałoby ono do ich koncepcji teologicznej. Tylko Jan utożsamia kobietę z Marią, siostrą Łazarza, która nigdzie jednak nie zostaje nazwana grzesznicą.

W tradycji Kościoła Stefanon to imię żołnierza, który podał gąbkę z octem wiszącemu na krzyżu Chrystusowi. W przeciwieństwie do włócznika Longina, który zdobył sobie sławę zwłaszcza w pobożności katolickiej i uzyskał status świętego, Stefanon przez wieki pozostawał czystą kartą. Dziwi szczególnie fakt, że nieznane są nawet legendy na jego temat.

Inni pierwotnie bezimienni, drugoplanowi bohaterowie Męki Pańskiej, tacy jak „łotr” Dyzma, Weronika (która po drodze na Golgotę otarła Jezusowi twarz chustą) czy właśnie setnik Longin, zrobili wspaniałe, inspirowane apokryfami kariery, urastając niekiedy aż do rangi męczenników. Imię Stefanona pojawia się tymczasem po raz pierwszy w piśmiennictwie zachodnim – w postaci podpisu pod miniaturą w *Kodeksie Egberta* – dopiero w X wieku.

Łuki w biografii świadka ukrzyżowania to prawdziwe błogosławieństwo dla autora, który chce urzeczywistnić swoje wielkie marzenie o napisaniu powieści z historią biblijną w tle. Postać Stefanona w tej książce jest zatem fikcyjna. Starałem się jednak nie przeinaczać czy interpretować na własną rękę opisanych w Ewangeliach wydarzeń, a zwłaszcza słów Jezusa. Różnice w poszczególnych relacjach – na przykład we wspomnianym opisie namaszczenia w Betanii – wykorzystałem natomiast do

wzmocnienia dramaturgii literackiej. Odnosi się to również do sceny podania łąbki nasączonej octem (chodzi tu prawdopodobnie o poskę, napój rzymskich legionistów, którego głównym składnikiem był ocet winny). Czy był to akt miłosierdzia ze strony rzymskich oprawców, czy też chcieli oni w ten sposób jeszcze raz zadzwic z „króla Żydów”? Do dziś odnośne interpretacje są rozbieżne. Lecz dla Świętego Jana sprawa jest jasna: Jezus na chwilę przed śmiercią wypił ocet, żeby się wypełniło Pismo! Ewangelista w swoim opisie odwołuje się do Psalmu 69, w którego wersecie 22 czytamy: „Podali mi piółun jako chleb pocieszenia, a kiedyś pragnęła, pili mnie octem”.

Opisane pod koniec pierwszej części powieści ukrzyżowanie Jehohana, syna Hagkola, jest faktem historycznym. W 1969 roku archeolodzy znaleźli w grobie nieopodal Jerozolimy kamienną skrzynię ze szkieletem tego skazańca. W kości prawej pięty wciąż tkwił żelazny gwóźdź o długości około jedenastu centymetrów. Znalezisko było sensacją nie tylko jako pierwszy namacalny dowód starożytnego ukrzyżowania, lecz także dlatego, że podważyło niektóre argumenty sceptyków, krytycznych wobec biblijnych opisów. Zostało obalone na przykład twierdzenie, że skazanemu na tę hańbiącą karę Żydowi nigdy nie urządzono by godnego pochówku. W sposób niezbity udowodniono zarazem, że ofiary były przybijane do krzyża za pomocą gwoździ, bo i w tę procedurę niektórzy wątpili.

Odpowiedź na pytanie o dokładną datę ukrzyżowania Jezusa nie ma co prawda dla osób wierzących większego znaczenia, ale i do niej chcę się krótko odnieść. Za najbardziej prawdopodobny uznaje się rok 30 lub 33. Obie teorie można poprzeć solidnymi argumentami, przy czym ważną rolę odgrywają zawarte w Ewangeliach informacje historyczne oraz kalendarz żydowski, oparty na fazach Księżyca. W tej książce zdecydowałem się na rok 30. O wyborze tej daty zdecydował głównie fakt, że Sejan, wszechwładny prefekt gwardii pretoriańskiej, został oskarżony o zdradę i stracony już przed rokiem 33. Sejan miał starszego brata imieniem Lucjusz Sejusz Tubero. W powieści nazywa się tak jego fikcyjny bratanek.

W I wieku naprawdę wystawiano sztukę rzymskiego pisarza Katullusa o Laureolusie, który poniósł śmierć przez ukrzyżowanie. Na temat jej treści wiemy niestety niewiele.

Nielatwa była decyzja o zastąpieniu hebrajskich form imion, takich jak Jezua, Miriam czy Jochanan, ich utrwalonymi w naszej tradycji odpowiednikami. Dzięki temu brzmią one jednak bardziej znajomo dla większości czytelników.

Na koniec chciałbym wreszcie podkreślić, że doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo zagadnienia religijne dzielą dziś czy wręcz skłócają ludzi (pominąwszy tych, dla których te kwestie są całkowicie obojętne). Pisanie powieści biblijnej z opisem męki Jezusa jest dla autora – zwłaszcza takiego, który nie chce być teologiem – zarazem wielką przygodą i prawdziwym balansowaniem na linie. Wszystkich, których ta czy inna scena w książce oburzyła, proszę więc o wyrozumiałość. Jestem, podobnie jak wy, tylko człowiekiem poszukującym! Interesujących nas dyskusyjnych kwestii zresztą i tak w tym życiu nie wyjaśnimy.

Świadek

Günter Krieger

* *Kodeks (Ewangelista) Egberta* to X-wieczny zbiór perykop, powstały w kręgu kultury ottońskiej [przyp. tłum.]. Zob. L. Kretzenbacher, *Zum kaum noch bekannten Namen des Kreuzigungszeugen Stefanon*, w: „Österreichische Zeitschrift für Volkskunde”, t. LV, Wien 2001 [przyp. aut.].